

# Konopielka





EDWARD REDLIŃSKI

# Konopielka

Najpierw o wstawaniu.

Co innego wstawać latem, co innego zimo. Słonko to zawsze wstaje równo, zaraz po kogutach, i to zima czy lato, tyle że latem pokazuje się od razu, latem dużo roboty, a zimo jesienio wyleguje się: nie wschodzi na niebo, bo po co? Leży sobie pod spodem, wygrzewa się po ciemku, czochra się, całkiem jak w chatach gospodarze.

Jesienio gospodarze wstają długo, po trochu, posmakować lubio. Jakby taki był, co by widział przez ściany i przez ciemno, to on by może i widział, co gospodarze robio, jak koguty w sieniach odśpiewają im trzecie pobudkę.

Przecknąwszy się, oczow nie odmykają, leżą, leżą sobie pod pierzynami jak bóchenki w piecach, jak w gniazdach jajka pod kurami, każdy rozgrzany, rozpalony, baba jemu do pleców przylipla<sup>1</sup>, dycha w szyje aż parzy, w nogach ciepło, w łokciach ciepło, pod pachami ciepło, aj dobrze, żaden nie ruszy się, nie drygnie, żeb<sup>2</sup> tego swojego przytuliska, ciepłiska Broń Boże nie zruszyć, leży, poleży jeszcze trochu, troszku, aj nie chce się z gniazda ciepłego wylazić. Ale to że tam dzieś słonko się ocknęło i czas wstawać, świdruje to, poszturchuje.

Taki, co by widział przez ściany i ciemno, zobaczyłby naraz we wszystkich chatach nogi, jak raptem myk wylażo spod pierzynow i bose szukają podłogi, macają. A już i głowy, plecy dźwigają się, prostują i nie wiadomo kiedy na wszystkich łózkach siedzą mężczyźni w gaciach i koszulach, oczy dalej mają zapluszczone<sup>3</sup>.

Nie odpluszczają, bo chcą sobie poziewać: poziewać i poprzeciągać się na siedząco, ucho, co to za siły natężają tak od środka, że głowy poodrzucają aż na łopatki, ręce rozkrzyżowały, brzuchi, plecy w długi<sup>4</sup> wygięło! Siedzą w pomroce, wygięte, naprężone, aj dobrze im, dobrze!

Naraz sprężyny puszcza: miękno, zwijają się, bezwładnie, ręce zsuwają się im między kolana, siedzą miętkie, bezwładne, jak nieżywe, jakby ich nie było, ile czasu tak siedzą? Nie wiadomo, nikt nie wie, nima<sup>5</sup> komu wiedzieć. Siedzą. Siedzą Jurczaki, Bartoszeki, Mazury, Koleśniki, Litwiny, Orele, Prymaki, Dunaje, Kozaki, czterdzieście gospodarzy na czterdzieści łózkach, oni w swoich chatach najważniejsze, wstają pierwsze: siedzą sobie, siedzą. A teraz przydałby się taki, coby słyszał przez wszystkie dźwi, ściany: taki posłyszałby raptem we wszystkich chatach uchanie, sapanie, pufanie, marmotanie: to zimno wzdrygnęło ich, poruszyło, zaczynają gospodarze ćme<sup>6</sup> rozganiać, tuman, co głowy mroczy, odprowadzają drapanie, postukiwanie, szorowanie paznokciami w kostkę, łydko o łydke, kolanem o kolano, czochranie się pod pachami, po żebrach, w pachwinach, pod kolanami. Brodo o koszule chręszczo<sup>7</sup>, jednym kulakiem<sup>8</sup> krzyży rozcierają, drugim oczy, a wyginają się przy tym jak baby w połogu, a stękają, a gęby wykrzywiają. I dobrze, ludkowie, oj, jak dobrze! W uchu powiercić jeszcze, smarkność na podłogę, kachność na szczęście i żegnawszy się ręką ciężko jeszcze, zaspano, na słowie Amen oczy odpluszczyć.

Odpluszczysz i latem widzisz brzeżinkę za rzeką i słonko: jak z trawy wstaje, pro-

Słońce

Słońce, Świt

<sup>1</sup>przylipla (gw.) — przyłgnęła, przylepiła się. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>żeb (gw.) — żeby. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zapluszczone oczy (gw.) — zamknięte oczy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>duga (gw.) — tu: kablak, lukowaty element uprzęży końskiej. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>nima (gw.) — nie ma. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>ćma (daw., gw.) — ciemność. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>chręścić (daw., gw.) — chręścić. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>kulak — pięść. [przypis edytorski]

stuje się na cztery łapy, przednie zadziera, wyciąga i po brzożach w górę, czerwone lezie. A ptastwo w krzyk, że dzień się zaczęło!

A cóż jesienio, ech, jesienio odpluszczysz się i ciemno, głucho, za oknem czarno, w chacie jeszcze czarniej. Na łożku pierzyna ledwo bieleje, choć w białej poszwie ona, a głowę żonki na poduszce nie tyle widać, co słyhać, dychanie słyhać. Przy drugim szczytku<sup>9</sup>, w nogach, dychają dzieci. Kołyski, co wisi między łożkiem a pieco, jakby nie było ani widu, ani słychu, trzeba aż nachylić się nad główkę, wtedy doleci poświstywanie przez chrapki, dychanie drobne, kociacze. Dycha, żyje, nie umarło. A na przypiecy<sup>10</sup> chrh, uchch, chrh, uchch, szum taki, jakby traczy<sup>11</sup> belkę piłowali, piła jeździła to wte to wefte. Ale to nie traczy, któż by traczował na piecy, tatko to, tato pod kożuchiem dosypiają nocy.

Za ścianą słyhać drugie wstawanie: trzeszczenie łożka, pokaszliwanie, marmotanie, ktoś zbiera się, szykuje tak samo jak ja: to Michał, brat, słyhać, bo ściana cienka, z deskow, deskami tatowa chata między synów na połowki przedzielona.

Ot i pomału się wstało. Oczy patrzy, niby widzą, ale ślepe, tylko na pamięć wiedzą, dzie kołyska, piec, ceberek<sup>12</sup>, dzie dźwi: ide półślepo, odmykam półomackiem, zawias zapiszczał, kury przestraszyły się w sieniach, szurają na drabinie, grechoczko. Wychodzę za prog, na kamień.

I teraz jakby taki był, coby słytał naraz ze wszystkich podwórzów, to on by posłytał teraz w wiosce jeden wielki szum i pomyślałby: co to? Czy grad nadciąga i wiatr wleciał do wioski? Czy deszcz zaszurał raptem po liściach? A może to wróbla wielko plago wlecieli w ogrody i szepoczą w trawie?

Nie, to nie wiatr, nie deszcz, nie wróbla. Taki, co słytał ten szum, jakby on jeszcze do tego mógł widzieć przez ściany i ciemno, taki zobaczyłby na progach i kamieniach czterdziestu gospodarzy: Jurczaków, Bartoszków, Mazurów, Koleśników, Litwinów, Orelów, Prymaków, Dunajów, Kozaków, czterdziestu chłopów by zobaczył, jak stoją boso w gaciach i koszulach i szczo szparko<sup>13</sup>, stromo w koprzywy pod płotem: tamtego dnia, prawda, koprzywy już nie było, struchlała<sup>14</sup>, biały mroz leżał na ziemi, powietrze zimne było, syrowe<sup>15</sup>, ciemność bura, nawiśnięta, od razu wiadomo, co z pogodą: będzie padało, zimny deszcz, a może i szadz<sup>16</sup>, e, myślę sobie, nie pojedzie dzisiaj do brzeziny, a na co mnie moknąć na takim ziąbie, pogoda w sam raz na stodołę, do cepa<sup>17</sup>.

Czasu przeszło nie więcej jak płachte wysiać i braś! bach! pa! słyhać dźwi w wiosce: to męszczyny kończą szczenie, wracają z nadwora<sup>18</sup>. I ja kończę, bo zimno, brr, ziąbu naszło pod koszule, prędzej do chaty! Nawet kury jeszcze nie wychodzą, siedzą w sieniach, jeszcze im na dworze za ciemno, za straszno. Wciągam nogawicy<sup>19</sup> i walonki<sup>20</sup>, na koszule palczik i kożuszek, na głowę czapkę. I teraz zachciewa się mnie zimnej wody. Kubek z goździa zdymuje, zacerpam ze skopka<sup>21</sup>, pije, cały duży kubek wlewam, lubie nasłuchiwać, jak zimno rozchodzi się po brzuchu. Rozeszło się i już ja całkiem przecknięty, mogby iść do młóczy. Ale jeszcze w stodole za ciemno, posiedzę, póki nie wywidnieje.

Na stołku przed pieco siadam, wyjmuję z kieszenia papierkę złożony w ośmioro, naddzieram rąbek, z drugiego kieszenia biorę szczypkę machorki<sup>22</sup>, skręcam, ośliniwszy

<sup>9</sup>szczytek — ścianka łożka od strony głowy lub nóg. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>przypieca (gw.) — przypiecek, rodzaj ławy wokół pieca w wiejskim domu, używanej do siedzenia i spania. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>traczy (gw.) — tracze, robotnicy z ręczną piłą do cięcia kłód drzewa. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>ceberek — zdr. od *ceber*; duże, drewniane naczynie z klepek, podobne do wiadra, najczęściej o dwóch uchach. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>szparko — szybko, zwawo. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>struchleć — gw. o roślinach: obumrzeć, zbutwieć. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>syrowe (gw.) — surowe. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>szadz — osad lodu powstały ze skroplonej mgły. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>cep — narzędzie do ręcznego młócenia zboża w celu wyluskania ziaren z kłosów, zbudowane z dwóch pałek połączonych rzemieniem lub łańcuchem. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>nadwor a. *nadwór* (gw.) — przestrzeń na zewnątrz domu; podwórze. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>nogawice (daw., gw.) — spodnie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>walonki — wysokie, ciepłe obuwie wytwarzane z wołoku (filcowanej owczej wełny), z gumowymi lub skórzanymi podeszwami albo używane jak skarpety, pod obuwie skórzane lub kalosze; noszone podczas mrozów do chodzenia po suchym śniegu. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>skopek — drewniane wiaderko używane daw. na wsi na mleko i śmietanę. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>machorka — tytoń kiepskiej jakości. [przypis edytorski]

brzeżek, żeb trzymało się, nu i mam papierosa. Teraz szukam w popiele węgielka. A jakże, większy, mniejszy, zawsze się jakiś żarzy od wczoraj. Przypalam, zaciągam się i siedzę sobie po ciemku. O czym ja myślę tak przed popielnikiem? Ha, prawdę powiedziawszy, to ja wtedy nie za bardzo myślę. Myślę nie myślę. Ot, roi się coś pod czapko: że u świniów dźwi zlatują, trzeba będzie przybić zawias. Czy Grzegorycha oddała już naftę, co pożyczła na pogrzeb, czy nie oddała. Ile jeszcze do ocielenia się Raby, prawie miesiąc? Co za czerwona ptaszka świergotała wczoraj na sokorze<sup>23</sup>, nigdy ja takiej ptaszki nie widział. A sokor, jak on choroba pogrubiał, ależ wyrosł: jak z czubka na wioskę patrzeć, jakaż ona maleńka! A bagno szerokie, bez końca, morze. Ojezu, co zemno, lece, zleciał ja z sokora i lece nad chatami jak boćko!

Sen

Gospodarz

Aha, to śni się, ni to śpie, ni nieśpie: nad wiosko lece, ale i w chacie siedzę, na stołku. W chacie? Prawdę powiedziawszy, wcale ja tej chaty nie widzę: dycha ktoś po ciemku, ale kto, co? Toż nie chodzą, nie odzywają się. A może ja w stodole? może w jamie? w boru? Ciemno, czy to wiadomo, co jest, czego nima? Nu a ja sam: jest ja czy nie? Chiba jest, tak, czuje, że coś jest: tam, gdzie głowa, jakoś widniej, jakby kądziel<sup>24</sup> białała w ciemnie. Ale nogow, plecow, ręców nie czuje.

Nie czuje, nimam, póki się nie rusze. A rusze się, bo w końcu coś wzdrygnie mno: czy to ręka się obsunie, czy głowa raptem oklapnie, porusze się i już czuje: o ręka, o nogi, o głowa! O, ja! I słysze sapanie, i wiem: te tatowe, te Handzine, te dzieciow. A papieros zgasnął, nie wiadomo, dawno czy tylko co, długo ja myślał nie myślał, śniło się nie śniło, czy nie długo. Co dalej? Znowuś rozdmuchuje popiół pod płytę, dodmuchuje się iskry, przypalam. Na dworze brzaśniej, trochę widniej, nu, można budzić.

Szturcham żonkę: wstawaj Handzia! Ona stęknie i nic, śpi jak spała. Jeszcze raz szturcham: Wstawaj Handzia, dnieje! Ona ziewa, ręce przeciąga, oczow nie odpluszcza, przeciągnąwszy się, siadać zaczyna, pierzynie podciąga na cycki, zimno, za noc piecy wystygli. I siedzi tak, półspawszy.

Ja ze stołka po chacie patrze: już widać kołyske, kożuchi na murku, łózko, Handzie na łózku.

Gospodyni

Siedzi i siedzi, niedoprykryta pierzyno, cycki rękami zakrywa od zimna, oczy wytrzeszczywszy nieżywe, szklane, niby zbudzona, a wygrzebać się z nocy nie może, jeszcze nogi brzuch nieprzecknięte. Marmocze coś, gęba się jej rusza jak krowie, co przez sen trawę żuje. Aż głowo strzącha, odmyka oczy i mówi, co jej się śniło: We śnie ja dzieci biła, czy to gości bedo?

Wyłaż, mówie, nie bedziesz gościowała pod pierzyno.

Ona stęka i ręce po kaftany, serdaki wyciąga. Na przypiecy zaruszali się kożuchi, zaświeciło łycho<sup>25</sup>, zgasło: tatko nałożyli czapkę na głowę. I oni wstają. Pięty świerzbio, co to za wroźba, pytają, jak ręce świerzbio, coś się podwędzi, ale co pięty?

Bo śpicie w walonkach, na to Handzia, zdymajcie<sup>26</sup> na noc, nie będzie świerzbiało. A tatko badają świerzby: ściągali walonki i rozsiadli się w kożuchach, trach pazurami, trach, drapio się po łydkach i piętach. Handzia, obuwszy się, skopek bierze, zbudzona a niedobudzona idzie doić, ale jak idzie? Krok, dwa i stanie: postoi, poziewa, wzdrygnie się, znowuś idzie, po drodze stołki przewraca, w szmatach się płacze, mało co widzi.

Gospodyni

Poszła, doić, póki z mlekiem nie wróci się, posiedzieć można, poroić<sup>27</sup> pod czapko. Siedzę przed pieco, śpie nie śpie, myślę nie myślę, aj dobrze. Dzień się sam zaczyna, wszystko idzie jak trzeba, jak wczoraj, jak kiedyś, jak było na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków amen.

Aż tu:

Aż tu słyhać kroki i wołanie z nadwora: Raba ociełiła się, chodź Kaziuk, prędziej!

<sup>23</sup>sokor (gw.) — sokora, rodzaj topoli. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kądziel — pęk włókien do przędzenia. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>łycho a. łycho (gw.) — łysina. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>zdymać (gw.) — zdejmować. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>roić — tu: snuć myśli; marzyć. [przypis edytorski]

Ocielila sie? Jakże ona ocieścić się mogła, kiedy adwent<sup>28</sup> tylko co zaczął się, bydłowała przed Wojciecha<sup>29</sup>, jej czas przed samymi świętami.

Co ty pleciesz kobieto, mówie, Racie brakuje prawie miesiąc!

Brakuje nie brakuje, ale cielak jest, upiera się ona. A tato pośpieszajo: leć, leć Kaziuk, musi jakiś niedonosek! A może Nie Daj Boże zrzuciła<sup>30</sup>!

Lece na gumno<sup>31</sup> dużymi krokami, zaglądam do chlewa, prawdziwie: coś czarnego w słomie leży, ale pod płotem, co odgradza krowe od kobyły, jakoś tak że, widze, obydwie i krowa, i kobyła jego oblizują! A coż u czorta za dziwo?

Może to źrebie, mówie z proga.

Jakie źrebie, na to żonka, toż kobyła nie była źrebna!

Ale czy żywe? pytam się i wchodze. Biore małe rękami pod brzuch, wynosze do proga, na widniej. Chwała Bogu, ciele, jakieś małe, marne, ale żywe, ha, ocieścić się Raba sama, bez niczyjej pomocy! Bywa.

Trzeba nieść do chaty, mówi Handzia, toż ono, chudzinka, skapieje tu z głodu chłodu!

Trzeba, mówie, bierz w chfartuch, nieść, powycieraj, ja do stodoły skocze po słome na pościele<sup>32</sup>.

Ale co się nie robi! Bierze Handzia cielaka w chfartuch, od proga idzie, a tu do dźwiów napierają i Raba, i Siwka! Że Raba ryczy, to rozumiem, ona krowa. Ale czegoż Siwka rzy, gwałtuje<sup>33</sup>, toż ona kobyła! Dźwi zamykam, słysze ryczenie i rzenie! Coż u czorta! Przyglądam się kobyłę: ona łbem kiwa, na mnie napiera, rzy, o choroba, a jaki ty masz w tym interes? Czemu ty cielaka oblizywała, słyszał kto, że żywina<sup>34</sup> cudzy płod oblizywała?

Zamykam dźwi, snopek biore. A tu już Handzia, zaniosszy ciele, wróciła się doić Mećke.

Zacznij od Raby, radze, zobaczymy czy mleko dośpiało<sup>35</sup>, czy niedonoszone.

Handzia przysiada, skopek kolanami ścisła, głowę wpiera w pachwine, doi, Raba cichnie, nasłuchuje ciurkania w skopku. Zaraz Handzia palcem próbuje smaku: dobre, z siaro<sup>36</sup>, jak trzeba.

Nu to Chwała Bogu, mówie, tylko że ciele wyżyło.

Szymona Kuśtyka zawołaj, radzi ona, najlepiej na tych sprawach znają się Szymon.

Zanosze słome, ale już tato położyli cielaczka do łóżka, pod pierzyne między dzieci, dzieci jak baki cielaka obsiedli, gębe jemu rozdziawiają, zaglądują, za ogon ciągną, nadaremno dziadko ich proszo, straszko. Na słome nie kładź, radzo mnie, słoma zmarznięta, zimna, na razie rozściel, niech ona zagrzeje się.

Słome w kątku rozścieliwszy, do Kuśtyków lece. Baranice Szymon nałożyli, fajke zgasil i za mno zaraz podążają.

A Kuśtykiem przeżywa się ich od zgiętej nogi: jedno noge mają od małego, po wrzodzie, skurczone na zawsze w kolanie, przyrośnięte pięto do półdupka, a zdrowa noga wyprostowana do przodu. I chodzą tak, dōpo przy ziemi, jedno noge wprzód rzucawszy, jakby coś próbowali wstać z przysiadu i nie mogli. Te wygodę mają, że rękami podparć się mogą, a na drodze, w polu gadają ze stojącymi na siedząco, siedzą sobie półdupkiem na obcasie jak na pieńku, tyle że do rozporków gadają, bo głowa nisko. Ale niechno dźwignę się na tym zdrowym nożysku, gruszkę urwać, w gębę dać, niechno stano na jednej nodze z tym kuśtykiem podkulonym jak bocianisko, o, dopieroż widać, jaki duży miał być z nich męszczyzna.

<sup>28</sup>adwent — okres (zwykle czterotygodniowy, liczony kolejnymi niedzielami) poprzedzający święta Bożego Narodzenia (25 grudnia a. 6 stycznia) w kościołach chrześcijańskich. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>przed Wojciecha — tj. przed dniem św. Wojciecha, obchodzonym w kościele katolickim 23 kwietnia. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>zrzuciła — tzn. poroniła. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>gumno — część gospodarstwa wiejskiego, gdzie młócono i przechowywano zboże, niekiedy obejmująca stodołę, spichlerz itp., czasem oznaczająca klepisko. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>pościele — tu: posłanie, podściółka. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>gwałtować (daw., gw.) — robić gwałt o coś, krzyczeć, awanturować się; podnosić alarm. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>żywina (gw.) — zwierzęta gospodarskie. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>dośpieć (daw., gw.) — dojrzeć. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>siara — żółtawy, gęsty płyn wydzielany przez gruczoły mleczne samic ssaków bezpośrednio po porodzie, pierwszy pokarm każdego nowo narodzonego ssaka. [przypis edytorski]

Powiedziawszy pochwalony, zaglądało Szymon do łożka, pierzyne odchyliwszy. Najpierw mordkę palcami odmykają, w zęby patrzy, od razu ogłasza: Bił ktoś Rabe i temu<sup>37</sup> zrzuciła. Kto bił?

Ja na to, że nikt cielnej krowy nie bije! Ale gorsze dziwo, mówie: Siwka przez płot obliżywała te ciele jak swoje, a jak się zabierało, rżała za nim jak matka!

O! Szymona przestraszyło. Usiedli Szymon na progu i dumają: Kobyła? Hm, kobyła. Co ma kobyła do cielaka. A pamiętacie Wrone co pod wierzbą zamarz? Ja pamiętam, co opowiadali stare: U Wrone co pod wierzbą zamarz klaczka zrodziła kiedyś czarnego barana!

E tam, może zrodziła, może nie, mówie, ja tam tego barana nie widział.

Tu już i tatko za Szymonem się ujeli: Ale byli takie, co widzieli, ostrzegają tatko, widzieli, bo im noco droge przestępował, iskry sypał!

I gdzie on teraz?

A rozsypał się.

Ale czy mogła klaczka barana urodzić?

Zaperzyli się Szymon: A to ty nie wiesz, że czort lubi noco na koniu pojeździć?

Wiem, wiem to, bo wszystkim wiadomo, że lubi: nieraz zaszedł rano do chlewa widział się, jaki koń umęczony: cały mokry, boki białe, a na mordzie i między<sup>38</sup> nogami szumowina aż syczy! Ale co z tego?

A to, tłumaczy Szymon, że u Wrone czort jeździł w osobie czarnego barana, za barana przybrany. Jeździł, jeździł, mało było hadowi<sup>39</sup> jeżdżenia na klaczce, na koniec wziął i wyruchał. A z czerciego nasienia coś urosnie, jak nie czerciatko? I urosło, w osobie czarnego baranka, i straszło na drogach!

Ale, co wy stryku<sup>40</sup>, nie straszcie, mówie do Kuśtyka, chibóż nie wierzycie, że i moje ciele straszyc będzie? Raba do byczka była wodzona, jak trzeba, zreszto nie słyhać, że czort za czarnego byczka się przybierał.

Nie, nie, ja nic takiego nie mówie, spokojo<sup>41</sup> Szymon, ale radze na taki siaki przypadek odczynić, bo jest od czego: raz że ono czarne, dwa że wczesne, trzy że kobyła lizała!

To może i kobyłę odczynić? pytają się tato.

A Szymon głowo kiwają: Kobyłę wyprowadźcie z chlewa, aby zadnimi nogami za prog i wepchnijcie nazad<sup>42</sup>, chwostem<sup>43</sup> do przodu. Tak samo i Rabe. A ciele ja odczynie odrazu.

I Szymon drapacz<sup>44</sup> spód piecy chlebowej bierze i nad cielem się wyprostowawszy, przęgnali cielaka drapaczem po skórze od głowy do ogona. W tym czasie Handzia ze skopkiem wchodzi.

I mleko odczynicie, radzo Szymon, przecedźcie przez święcony wianek, najlepiej z krzyżowego ziele<sup>45</sup>.

Handzia cedzi mleko przez wianek, jak Szymon kazali, my się patrzmy, czy jaki fokus<sup>46</sup> nie wyskoczy ze skopka, ale nic, mleko leje się jak trzeba. Ale słyhać, że krowa bardzo ryczy w chlewie, a kobyła rzy! I nie wiadomo, z głodu czy za cielakiem. Idziem z Kuśtykiem i tatkim na gumno, żywno się zająć. Zawiązał ja Rabe postronek na rogi, wywiódł z chlewa aby za próg i wepchnął tyłem, a niełatwo było wepchnąć: zapierała się, przysiadła, łeb wykręcała. To samo z Siwko: rżała, postękiwała, ukąsić za rękę próbowała. Ale choć odczynione, dalej to samo: rzo, myczo jak przedtem.

Aż jak ja im w żłoby dał, ucichli, siano gęby pozatykało. A Handzia wiadra niesie, do koryta przed chlewem ciasta nalewa i świńskie dźwi odmyka: wyskakują prosiaki,

Czary

Gospodyni, Zwierzęta

<sup>37</sup>temu (gw.) — dlatego. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>między (gw.) — między. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>had (gw.) — gad. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>stryk (daw., gw.) — stryj, brat ojca; używane także jako zwrot grzecznościowy do osób starszych. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>spokoić (gw.) — uspokajać. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>nazad (daw., gw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>chwost (daw., gw.) — ogon. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>drapacz (gw.) — tu zapewne: stara miotła. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>krzyżowe ziele (pot.) — dziurawiec zwyczajny, ziele używane w lecznictwie ludowym, uznawane też za odpędzające złe moce i zaęgnujące skutki uroków. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>fokus — tu: sztuczka magiczna; por. hokus-pokus. [przypis edytorski]

dwa małe jak koty, trzeci pół psa, na Wielkanoc pod nóż pójdzie. Jedzo, przepychają się, z ryjow im się ciasto chłapie, kury sprytnie poddziobują to spodspodu. I rozglądam się po gumnie: wszystko jak trzeba, świni jak trzeba, kobyła nie rży, krowa nie ryczy, Daj Boże, żeb ciele wyżyło i wyrosło mnie na ładne jałoszke. Bóg wam Zapłać, dziękuję dla Szymona, bo kuśtykają już do domu, a i my z tatkiem do chaty idziem, tatko bose, wysoko nogi podnoszo, jak gęsior na lodzie, bo biały mroz leży na gumnie.

A tu najmniejsze w kołysce rozkrzyczało się, tato za sznurek biero, kołyszo, ale nie, nie pomaga, wiszczy<sup>47</sup> jak wiszczało. Handzia podstawia stołek i z policy<sup>48</sup>, z najwyższej deski, kubek z cukrem zdymuje. Zdjęła i zaraz na nas popatrzyła, to na mnie patrzy, to na tatka: który jad, Jezu, nic przed wami nie uchować, no, który mączkę wyjad? A widzi, że ja pilnie słome w kącie rozścielam, tyłem się odkręcam do niej. Ty Kaziuk?

Nie nie, mówie, choć prawda, wziął ja, wzięło się trochu wczoraj pod wieczór na posłodzenie chleba. Ale co mam giąć się przed babo. A lgać nie chce. Nu to nic nie gadam.

Ona patrzy srogo na tata: Wy? Kręco głowo, że nie oni, a oczami pódłoge zamiatajo, widać też do kubka się dorwali. Ale kiedy? Jak mnie Handzia do krowy wywołała? Takie bystre? Rozsierdziła się: Nie wy? Nie ty? To kto? Oni? Dzieci powyskakiwali z łożka, wiedzo, że w kubku mączka jest, stojo pod matko bose, w koszulach, łebki pozadzierali, zapatrzone w kubek, jak psiaki w cedziłko<sup>49</sup>.

Nie gadaj tyle, ucinam ja kazanie jej na stołku: dzieci gołe, śniadanie nienastawione, a ona tu gorzkie żali<sup>50</sup> odprawia!

Wsyła Handzia mączki w białe szmatke, obciągnęła, główke nitko obowiązała, ośli-niła, żeb przesiąkło, posmoktała dla próby i wtyka małej do mordki. Poczulo słodkie, ssie, zapluszczywszy oczki, cichnie.

Ale na dwie trzy chwilki: Ziutek, najstarszy zaraz pod kołyske włazszy ciszkiem, wyrywa małej soske, chowa się pod łożko i sam smocze. Oddaj, krzyczy Handzia, oddaj, mówie! Wylaż spod łożka, bo cie tam Marmytka<sup>51</sup> po ciemku załachocze, wylaż! Aż polanem od matki dostawszy, wyrzuca soske: Handzia jo obciera, znowuś małej wtyka, mała cichnie, za to Ziutek rozżalony, ryczy aż szyby dzwonio, nie wiadomo czemu przyłączają się młodsze dzieci, zaraz też przyłączają się dzieci Michałowe za ściano, do tego jeszcze ciele zajęczało, huk, wisk w chacie, jak na odpuście, od tego wizgu komin się zatknął, dym wraca się z powrotem, ciemno, smród, nie do zniesienia. A dajże im tej mączki, może ścicho, krzycze do Handzi. I prawdziwie, tylko stanęła pod polico, po kubek ręce wyciągnęła, pisklaci ucichli jak nieme i gapio się w matke. A ona najsampierw daje im po glonie<sup>52</sup> chleba, a kiedy stanęli wkoło stołka, sypie pośrodku garstke białego, a smurgle<sup>53</sup> na wyprzedki nuż językami ślinić chleb, wtykać w mączkę i oblizywać, obgryzać!

Tatko nie wytrzymujo tego dobrego: I mnie daj, proszo, widać oskoma<sup>54</sup> ich przemogła, ręke wyciągają. Tak? A powiecie, kto z kubka podbierał, naciska Handzia, nie powiecie? Ukroiła skibke, trzyma im pod nosem: powiecie? Tato chleb łapio, złapać nie mogo, ona zabiera. Ja brał, przyznajo się, daj! A ona: to pamiętajcie, żeb więcej nie brali! I dopieroż, ośliwizszy skibke z wierzchu, posypuje mączko i daje im do ręki.

A tu już siara w saganu<sup>55</sup> się przygrzała dla cielaczka. Siadam na słomie i wzięwszy głodomorka za łeb pod pache, gębe jemu rozdziawiwszy, wlewam te mleko siare: z początku ciele dusi się, zatyka, wypłuwa, kaszła, głowe wykrcywa, aż łapie sposob na dychanie nosem i pije samo, oczy wywraca ze smaku. Za ten czas Handzia wrzuca do saganu kiszonej kapusty i skwarke, do dwóch większych saganów nasypuje kartoflow świniom i bierze się za małe. Puhuśtawszy w rękach, siada na łożku cycki dać. I tak sobie

Kłótnia

Dziecko

Dziecko

dziecko, Matka

Gospodarz, Gospodyni

<sup>47</sup>wiszczeć (gw.) — krzyczeć, piszczec. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>polica (daw., gw.) — półka. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>cedziłko (gw.) — kawałek płótna używany do precedzania mleka. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>gorzkie żale — nabożeństwo pasyjne w Kościele katolickim; tu przen.: jałowe narzekania. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Marmytka — jeden z demonów w wierzeniach ludowych. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>glon chleba (gw.) — kromka chleba. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>smurciel (gw.) — smarkacz. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>oskoma (daw., gw.) — apetyt, chęć zjedzenia lub wypicia czegoś. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>sagan — duży metalowy garnek. [przypis edytorski]

poimy, ja cielaka, ona dzieciaka, a rozsmakowali się, że obydwum w gębach pieni się ze szczęścia, dzieciak nawet popurkuje.

W sieniach rozkrzyczała się kura, Handzia nasłuchuje, zadowolona, że jajko będzie, łokciem cyckę przyciska, niech małe prędzej pije. Podkarmiwszy, kładzie pisklaka do kolski, kaftan obciąga i idzie do sieni, jajka wybrać z kosza. Przynosi, ale tylko jedno: dzie drugie, pyta się, wczoraj szczupała<sup>56</sup> ja wieczorem, dwa naszczupała. Co z drugim?

Tchor chyba nie ukrad, mówię, kury krzyczelib<sup>57</sup>, słyhać by było. Znaczy że ta druga kura jeszcze nie zniosła, abo zniosła dzie dziko. Może w żłobie?

Kończe poić, cielak prawie cały saganek wydundził<sup>58</sup>, oczy zapluszczają się jemu z sytości, głowa w słome leci. A! niech śpi sobie, biore pierzyne, przykryje, niech rozgrzeje się sierotka. I bydłaczka opatuliwszy, ide szukać jajka.

Przeszukał ja i żłoby i pód żłobami, chlew krowiaczy i koński. W stodole kąty sprawdził. Grochowiny<sup>59</sup> pod oczapo<sup>60</sup> obmacał. W chlewach słome na rosztach<sup>61</sup> przeszukał. Stodole obszed wkoło. Wióry i trocienie koło chrostu przetrząsnął. Pod gałęzi zaglądnął. W łopuchi pod gruszkami, pogniłe, śmieciate zajrzał, czy tam dzikiej jamki nie wysiedziała, jajka nie schowała. I nic, ni widu, ni słychu, nima zguby nigdzie.

Ot zaraza, ale chitra, mówię do Handzi, ależ schowała. I która to?

Słyse, że nieśne byli ta z biało szyjo i bezogoniata, ale która zniosła, która nie zniosła, tego Handzia nie pamięta. Zdaje się kokudakała ta bez ogona, mówi na koniec, bo było kot, kot, kodak! Kot, kot, kodak! A tak kokudakcze ta bez ogona.

A co ty, ta bez ogona inaczej, przeciwie się, ona kro, kro, krak! Kro, kro, krak! Znaczy, że ta z biało szyjo zniosła, to ona kokudakcze kot, kot, kodak! Kot, kot, kodak! A pokażno jajko, od której ono.

Patrzym: spiczaste, małe, takie niesie ta z biało szyjo. Nu to już pewne: zgubiła jajko bezogoniata, łazęga, łazęgować ona lubi, choroba kusa, wywlokła dzieś jajko! Handzia: zaraz, zaraz, a może jeszcze nie zniosła? Trzeba jo znaleźć, wyszczupać, a nuż jeszcze jajko niezgubione?

Szukamy bezogoniatej. W sieniach jej nima. Po gumnie kury chodzo, siódemka, kogut ósmy, ale jej, kusej, nima! Pietuch<sup>62</sup> popatrzył na mnie gniewnie, rozłoszczony, że się przyglądam: zagregotał, czerwona podgarlina rozmajtała się jemu i raptem caps białe za czubek, przydusił, wypietuszył, zeskoczył i popatruje się na gospodarza okiem, to tym, to tamtym, chwata rżnie, szyje jak koń wygina, pręży. A na pewno had wie, dzie tamta jest, kusa, wie had, ale czy powie? Gadać z nim nie moge, ale nogo dać moge: zachodze jego, zachodze, pietuch odstępuje, ale hardo, po troszku, tyle co ja podejde. A grzebieni poczerwienieli, a zły, a gregocze jakby szczekał. Ożesz ty! machnął ja nogo, ale na pusto: kogut łopotnął skrzydliskami i odskoczył i rozgregotał się mściwie, obrażalski, psiakrew.

Za stodołę wychodze: pusto, ani kury, ani jajka. Tylko jakiś ryjek wysunął się z norki, może pilch<sup>63</sup>, szczurek abo myszka, coś niedużego: oczki błysnęły i schowało się. Przydeptał ja nore pięto, co ma psiamenda pole ryc, i wracam na gumno. A może lis abo jastrzomb zabrał jo, bezogoniate, pytam się Handzi, a wode ze studni brała. Nie, nie porwał, niedawno dziobała owies w sieniach.

A może się zniosła u Michałow? Pójde, zobacze.

Obchodze chate wkoło i patrze po Michałowym podwórzu, czy bezogoniata nie przywendrowała. Nie widać. A może w sieniach? Sieni Michałowe przybudowane z deskow. Zaglądam: kury dziobo kartofli w korytku, bezogoniatej nima między nimi. Ha, może w koszu siedzi?

A kto tam po naszych sieniach łązi! słyhać z chaty i Michalicha, bratowa, wyglonda. Odpowiadam, że kury szukam, tej bez ogona, nie przywendrowała do was?

Kłótnia

<sup>56</sup>szczupać (gw.) — o kurach: macać, tj. sprawdzać, czy kura niedługo złoży jajko. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>krzyczelib (gw.) — krzyczeliby. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>wydundzić (gw.) — wypić szybko, dużymi łykami. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>grochowiny — słoma z wymłóconego grochu. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>oczap (daw.) a. oczapa (gw.) — belka nad wrotami. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>roszt (daw., gw.) — ruszt, konstrukcja z krzyżujących się prętów a. belek. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>pietuch (gw.) — kogut. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>pilch (daw., gw.) — popielica, szary gryzoń wielkości szczura, aktywny nocą. [przypis edytorski]



Michalicha pódłoge zamiatała. Do nas? Prostuje sie i pód boki sie bierze: A co to ja od waszych kur pasienia? A może jeszcze powiesz, że ja wasze kure przywabiała, co? Że chciała ukraść?

Nie, nie bratowo, ja tylko jajka szukam, zginęło.

Nu widzicie! On złodziejke ze mnie robi, ja im jajko ukradła! I Michalicha z miotło następuje: Szkoda, że Michała nima, syczy, oj dałby tobie, dziable kostropaty!

Wtem słycać stukanie w ściane i głos przez deski: Chodź Kaziuk, jest kura, chodź!

Michalicha następuje z miotło, zaraz chlapnie mnie po głowie, ja rękę podnosze dla osłony i raptem hyc do sieniow: dźwi przyciskam i przez dźwi, przez dziurke od zamyczki sycze do środka: Michalicha, nogo spycha, Michalicha, nogo spycha! Nie wiadomo, co to znaczy, ale wiadomo, że jo złości: wali ona kulakami w dźwi, ech jak bardzo chciałaby mnie miołto zdziażyć<sup>64</sup>! To ja jeszcze: Michalicha, nogo spycha, Michalicha nogo spycha! I wyskakuje z sieniow i prętko wkoło chaty na swoje przylatuje. Ależ mamy bratowe, mówie do Handzi, sama złość, istna kuna! A skąd kura wylazła?

A wylazła spod gałęziow, co nawożone na chrost do pieca: idzie sobie od gałęziow pód stodołę, do kurow i koguta, ale na nas sie ogląda, odstępuje ciszkiem, boczkiem, oj chytra, chytra, wie, że my wiemy, że zbroiła. Patrze za kuro, patrze i już wiem: tak, zniosła sie ty zarazo w gałęziach!

Ale Handzia radzi nie szukać w gałęziach, tylko najpierw kure złapać i wyszczupać, bo a nuż nie zniosła?

Dobra, bedziem łapać: zachodzim kure z obydwóch bokow i gonim w kątek miedzy chlewem a stodoło. Stanęła w samym rogu i sie patrzy, my po krocisku, po pól, po palcu, coraz bliżej, bliżej. Raptem ona smyk między moimi nogami! Ja rękami grabnoł, tylko błota w pazury zagarnoł, a kura, żeb jo skleszczyło, hadzine, odlatuje trochu i przygląda sie, co bedzie dalej.

Znowuś naganiamy: bezogoniata w kątku przystaje i znowuś sie patrzy. A z tako chitrościo, że chiba prawda, co mówio, że Pan Jezus przez kure ukrzyżowany: w Wielki Piątek cygan ukrad żydom goździ i schował w piachu, i nie mieli czym przybijać Jego do drzewa. Ależ kura przylazi i draps, draps wygrzebuje, hadzina, te goździ! Za ten grzech podbiera sie kurom jajka, a na Wielkanoc nie je sie kurzego mięsa.

Nachodzim z Handzio czujnie na te zaraze bezogoniate, suniem noga za nogo, cicho jak po szkle, ręce wszere rozłożone. Raptem ona znowuś, jak nie smyrgnie dołem! Ale tym razem źle trafiła, między nogi Handzine: Handzia przysiada, po babsku w spódnicach kolanami ścisca i cap jo pod skrzydła i siup palec w dópe! Nima jajka, ogłasza, zatracone!

Jak nie złapie ja kuryce<sup>65</sup> za ogon, jak nie machne o ściane, o stodołę! Powietrze sie zapierzyno, a wrzasku! Jakby wrzeszcza<sup>66</sup> mordowali.

Czego złościć sie, spokoii Handzia, nie trzeba, zaraz w gałęziach znajdziem te jajko.

Staneli my nad gałęziami: odchilamy, zaglądamy z tej, z tamtej, spódsodu, jajka nie widać. Tato wyszli z chaty, patrzno sie na syna, synowe. A może to wy jajko wypili, pyta sie Handzia, przynajcie sie, co szukać na pusto? Tata poniosło: A odpierdulżesie ty ode mnie! Kto mleko spije, mączki nadeżre, słoniny liźnie, zaras, że ja! A co to do cienzkiej choroby, czy to ja psiakrew honoru ni mam? Nie gospodarz ja? Toż moje to wszystko póki ja żyje, zechce psiakrew, to was jak sobaki<sup>67</sup> pogonie, moja chata, moja ziemia, moje kury!

Wyklęli sie, ucichli. A ja widze, że nima innego sposobu, jak przelożyć wszystkie gałęzi na nowe miejsce. Trudno, dawaj wiechi nosić, czujnie, żeb jajka nie zrzucić, nie rozbić: gałęź po gałęzi, aż do samego dna. Już i ostatnia, spodnia gałęź i nic, jajka nima. Ale jeszcze liści dużo leży, naobijali sie, śmieciow leży do pól kolan: może w liściach te nieszczęsne jajko?

Nuż palcami listowie rozgarniać, po garstce, po szczypce, myślalby kto, że igły w sianie szukajo. A kura stoi niedaleko i patrzy, ale jak patrzy! Jakby z nas szyderowała<sup>68</sup>! Ale ja nic, cierpie po cichu, kamienia nie rzucam: przeschcupujem śmieci, liści rozgarniamy.

<sup>64</sup>dziażyć (gw., z lit.) — smagać. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>kuryca (gw.) — kura (samica kury domowej). [przypis edytorski]

<sup>66</sup>wrzeszcz (gw.) — krzykacz, człowiek krzykliwy. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>sobaka (pot.) — pies. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>szyderować (gw.) — szydzić. [przypis edytorski]

Grzech, Wierzenia

Gniew, Gospodarz, Honor

Wtem jęk słysze słaby: Ojezu! I co widze:

Handzia stoi jak nieżywa z rękami nad głową, w słup soli przemieniona i jak sol biała. A jedna noga podkurczona! Czemu podkurczona? Może węz jo w pięte kolno!

Nie, nie węz jo kolno! od razu widać co. Zagotowało sie we mnie!

Podskocze i lu! babe z jednej strony w gębę, lu! z drugiej, cało garścio po mordzie, aż przysiadła w kuczki, głowę w ręce chowa.

Rozdziawo<sup>69</sup> ty, krzycze w sprawiedliwym gniewie, gapo ty, robota tobie sama w rękach gnije! Lugo ty zgniła, gnido wszawa, jajko, Ojezu, jajko rozduś!

I lu! jo na dokładke z góry, w chustke, i lu! jeszcze raz, po plecach zaraze, i jeszcze raz, aż zajęczała. Za co ty mnie bijesz, skomli, rękawami zakrywa sie. Czego ryczysz, durna, krzycze, i lu jo znowuś po rękach, bo uch, nie lubie, psiakrew, nie lubie, jak baby płaczo.

A tatko schylili sie, wygrzebali łuszczynę<sup>70</sup>. Zdmuchnęli listka, rozerwali plewke<sup>71</sup> i wypili, co zostało sie w skorupce. Oczy zapluszczyli ze smaku, tylko szyja im gra i jeździ, spijajo! Wam też by, choroba, przyłoić, mówie i rękami macham, no bo cholera zlizujo żółtko jęzorem, zlizujo sobie, a ty choroba stoisz, chciałoby sie i tak, i siak, ale nic nie wychodzi, ni wte, ni wefte, tylko psiakrew łbem w piec walnąć, walnoć i walić, walić, Ojezu!

A tu jeszcze, jak na złość, dziad z torbami wchodzi na podworze, żegna sie, pacierzy zaczyna! To już mnie do reszty rozsierzdziło:

Jak tupne nogu, jak zamachne sie ręką: A pódziesz dziadzie, Muszka, węzgo, węz! a dziad nie czeka, rękami torby ogarno! i du du du! ucieka jak podsmalony, podryguje, kulacho sie opędza, choć suka z budy tylko wyglądnęła, nawet nie zaszczekała. Ach ty zdechlino, ty lugo zgniła, poniosło mnie i bach nogu w bude, aż zaskamlała, skamlić to cholero umiesz, a postraszyć cudzego nie? W dziure noge wsadzam i nogu w budzie łomocze, a ona, szkacina<sup>72</sup>, cabas! za nogawke, aż do krwi! Ożesz, swołocz ty, tak ty swojego pana szanujesz? Za łańcuch jo wyciągam, podnosze jedno ręką za łańcuch, drugo łup! kułakiem po kościach, po łbie, a żeb ty zarazo po wodzie chodziła i pić prosiła, a masz! żeb ty ścieżki do domu lugo nie poznawała, a masz, żeb ty śmierci nie doczekała, psiamendo!

Noge, Dzięki Bogu, rozpruła niedużo, tylko nogawice rozwalila za kolano. Ale co tam nogawica, już stara, Handzia jo połata: gaciow szkoda, nowe, niełatane jeszcze.

Stoje na gumnie, stoje, dycham i co słysze? Krowa ryczy, ryczy na całe wioske. Aż mnie osłepilo ze złości, Omatkoboska, to i ta szkacina przeciw gospodarzowi? A czegóż ty ryczysz cholero, rodzisz jakieś czercięta i jeszcze rozgłaszasz? Łapie ja bicz z kołka, do chlewa lece: w drzwiach staje i z proga jo ćwik! ćwik! po oczach, po mordzie, żeb nie ryczała, po bokach, psiakrew, po nogach, po zadnich pęcinach, tam mocno boli, po kumpiakach<sup>73</sup> jo, ciach, ciach, krowa na ściany skacze, na płoty wieszka sie, stęka, jęczy, pojękuje, a stęka, pojękuj, ale nie rycz, swołocz!

Czuje, że ulżyło mnie trochu, złość jakby przechodzi. Już ręce nie drżo, w głowie nie huczy. Zamykam dźwi, bicz wieszam, ide do chaty. Już trochu przeszło.

Żebrak

Dawaj jeść, mówie i widze, ona oczy ma podczerwienione, na mnie ani spojrzy, ej, wej, obrażliwa, było zaco. Ale nalewa miske kapusty, do drugiej miski wysypuje kartofli z saganą, nieoblupione. Siadamy wkoło stolka, dzieci, dziadko, ja, łupim kartofli każdy sobie, gorące, w palcy parzo, i jemy z kapusto. Dobra rzecz kapusta z łupionymi kartoflami, tymbardziej jak kapusta okraszona<sup>74</sup>: duża skwarka w niej pływa, dla mnie ona przeznaczona, ja tu gospodarz, musze mieć siłę do młocby. Ale, widze, niezabardzo pamięta sie o tym: dzieci pódgarniajo jo sobie łyżkami, ganiajo po misce, a i tatko coraz jo szturno w swoje strone, a oczy im chodzo za słoninko jak uwiązane. Każdy niby nic, niby niechcący, a ustawia skwarke do wzięcia. Wtem Ziutek najstarszy, chap jo w łyżke

Jedzenie

<sup>69</sup>rozdziawa (obelż. gw.) — gapa, osoba nierozgarnięta. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>łuszczyna (daw., gw.) — lupina; tu: skorupka jajka. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>plewka (daw., gw.) — błonka. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>szkacina (gw., z białorus. *skacina*) — bydlę. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>kumpiak (gw.) — szynka, udziec; tu: udo zwierzęcia. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>okraszony — o potrawie: z dodaną okrasą, czyli tłuszczem. [przypis edytorski]

i do gęby niesie, już rozdziawionej! Co? Jak nie wytne smurgla łyszko w czerep! Skwarka jemu wylatuje i pac w kapuste. Uspokoił się, nie probujo więcej, omijajo skwarke. Ale ja nie rezykuje dłużej: biore mięso w rękę, jem. Tato nie mogo wytrzymać, że ktoś tak sobie je słoninę z kartoflo, pomlaskuje i palcy oblizuje. Ty niedobrze Kaziuk zrobił, dziada przeganiawszy, mówio, dziada przegnać ciężki grzech! Czy ty nie wiesz, kto to kiedyś chodził po ziemi za dziada przebrany?

Żebrak

Grzech

Handzia zacierke podała: jem zacierke, kluski łykam, ale o tym dziadu zapomnieć nie moge. Prawda, opowiadajo, że kiedyś święte chodzili za dziadow przebrane, nawet sam Pambóg z Pietrem wendrowali po wioskach niby żebrawszy: chodzili i porządki boskie ustanowiali, jak żyć, pracować, modlić się, żeb było po bożemu. Rybaka, jak dziada nie uszanował, Pambóg, on to był za dziada przebrany, w bobra przemienił! Żarty żartami, ale żeby i mnie za moje tupanie w jakiego tupacza nie przemieniło!

Może posłać za tym dziadem Ziutka z paro jajkow, mówio do żonki. Abo zawołać niech zajdzie na zacierke, co? Leć, Ziutek!

Ziutek polecał, a my z tatkiem dawaj nad tym dziadem dumać. Prawdziwie, nigdy jeszcze taki nie żebrał u nas. Wszystkich dziadow znało się jak rodzinę, każdy zachodził na bagno co roku dwa trzy razy, każdy o swojej porze: Jaśko bez ręki koło Zielonych Świątkow i przed Popielcem, garbata Anielka po żniwach i przed Nowym Rokiem, Kiławy Wiktor w Przemienienie i na Gromnice, Niemko, najsilniejszy, ze trzy razy wioski oblecał, do nas zaglądał na Pietrapawła, przed kopaniem i na Trzykróli<sup>75</sup>. Ale żaden w roztopy i jesienio iść przez błota nie miał siły ni odwagi, wybierali albo zime, albo czekali, aż lody wody spłyną. A ten, jak on przez wody, błoto przeszedł? Na skrzydłach?

Aż tu widać głowy za oknem: ido Dunaj przezwisko sołtys, Domin rajko<sup>76</sup>, durny Filip, za nimi Szymon kuśtykajo. A dokąd ta procesja i czego? Prog mijajo, na gumno wało! Wypadam za nimi bez czapki: Wy czego! krzycze i zachodze im drogę, nie puszczam: Czego!

Obyczaje

Dunaj mnie spychajo: Dobra, dobra, nie czeguj człowieku! Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus, o, od tego zaczynajmo. Przyszli my zobaczyć twoje żywine i tego cielaka!

Ależ ludzi, co wam, bronie się, krowa jak trzeba, cielak jak trzeba, tylko trochu niedonosek.

Tak? A czemu Siwka twoja rzy za nim?

Za nim? Kto wam powiedział, że za cielakiem rzy? Ot, rzy sobie, co to, wasze koni nigdy nie rzo? Co wy Szymon ponaopowiadali po wiosce?

Stropili się Dunaj moimi słowami, drapio się pod czapkę, po ludziach patrzy. Nu dobra, mówio na koniec, tylko tego niedonoska nam pokażesz.

I cało procesjo ido do sieni, weszli, pierzynie odkrywajo, przyglądajo się cielakowi, Dunaj kręco głowo: Nogi coś za cienie!

Długie jak u żrebiaka, dodaje Filip, pastuch. I palcem naciska ciele w brzuch, ono obudzone zapiszczało.

Słyszeli? poderwali się Szymon Kuśtyk: Zarżało!

Zapiszczało, ludzi, bronie ja swojej żywiny. Ale Szymon trach palec, wierco małemu w brzuch, znowuś zapiszczało, jeszcze głośniej, i prawdziwie, bardziej to rzenie niż meczenie!

Nie męczcie biedaczka, prosi Handzia i pierzyno zakrywa małę. Ale męszczynny patrzy się po sobie.

Ono coś z konia ma, ogłaszajo Dunaj, twoja Siwka rzy za nim nie bez przyczyny! Ludzie, to wroży coś niedobrego! A jak było na paświsku, pytajo się pastucha: Nie trzymała się Raba z koniami? A może ty na nio konia puszczał, co?

Może sam świnia wlaż, przycieli Domin, rajko.

<sup>75</sup>koło Zielonych Świątkow i przed Popielcem (...) w Przemienienie i na Gromnice (...) Pietrapawła (...) na Trzykróli — określenia czasu bazujące na ważnych świątach kościelnych: Zielone Świątki (oficjalnie: święto Zesłania Ducha Świętego) przypadają 7 tygodni po Wielkanocy, w maju lub w czerwcu, Popielec 46 dni przed Wielkanocą, pomiędzy 5 lutego a 10 marca, święto Przemienienia Pańskiego przypada 6 sierpnia, Gromnice (Matki Boskiej Gromnicznej) 2 lutego, apostołów Piotra i Pawła 29 czerwca, Trzech Króli 6 stycznia. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>rajko (gw.) — swat, człowiek pośredniczący w zawarciu małżeństwa; por. *raić*: polecać, swatać. [przypis edytorski]

E, Raba za stara, on jałoszki<sup>77</sup> lubi, przygadują Szymon, a Filip zaczerwienił się, czerwony się robi jak malwa, choć i bez wstydu czerwony zawsze, tłusty. Lubie czy nie lubie, odcina się, nie ja jeden lubie, a może wyliczyć kto? I po nas mężczyznach patrzy nachalnie, oczy spuszcza, durnemu nie wierzyć, weźmie i naopowiada, co widział i czego nie widział, nie rozumie, że bywają sprawy, o jakich się nie gada, choć każdy wie, co bywa, jak żonka za długo niezdatna. No, no, ty stul morde, uciszają Dunaj durnia.

Seks

A ja tłumacze mężczyznom, że Raba bydłowała jak trzeba i wodzona była jak trzeba, jeszcze przed wyrajem<sup>78</sup> do Antochowego byczka, ludzie, czego wy chcecie ode mnie, od mojej krowy i tego cielaka!

Czemu on rzy, nie meczy? upierają się Dunaj.

A może Raba zadała się ze złotym koniem, co pod chwojko<sup>79</sup> leży, zaczyna swoje Filip. Ale Dunaj uciszają ostro: ścichniesz brechunie, czy cie z chaty wygnać?

Zabobony

Cichnie. Za to Szymon Kuśtyk tłumaczo, że może Raba zapatrzyła się na paświsku w któregoś konia, toż krowy na wygonie paso się razem z koniami. Zapatrzyła się i z tego to pomieszanie! A to i krowa zapatrzeć się może, dziwi się Handzia. A czemu nie, toż krowy mądre, prawie jak ludzie, na to Szymon: Czy w wigilie nie gadają ludzkim głosem?

Zapatrzyła się, kiwają mężczyźni głowami, zapatrzyła się! Widze, lżej się ludziom zrobiło, że sprawa zwyczajna, nic straszego nima. I zaczynają wspominać, kto jak zapatrzył się, w co: zapatrzyła się Prymakowa i Jadźka w dzikie świnię jak rano ryła w sadku, zapomniała potem splunąć i dzieciak dziki rośnie, ucieka do boru nocować. Litwinicha w wodę zapatrzyła się i chłopiec utopił się w piątym roku. Najmłodsza Kozaczanka łysa rośnie, bo matka, jak ją nosiła, tak zachwyliła się miesiącem<sup>80</sup>, że ją łożo<sup>81</sup> bić musieli, żeby przysła do rozumu. A najgorzej zapatrzeć się w pierwszej połowie! Pół biedy, jak się baba spostrzeże i oduroczy: za siebie splunie albo na paznogieć popatrzy. Ale jak zapomni? Przelezie pod żerdko, dzieciak ślepowy, uleje z wiadra wody do studni, urodzi się chłopiec z takim kutasikiem, że dziewczyny boją się iść zamaż, dasz niechcący kulakiem po plecach, jąkają urośnie.

Co wy na to, pytają się sołtys Domina, który rajkiem bywszy, znał się na weselach, chrzcinach, połogach. Może krowa zapatrzeć się?

Krowa krowo, ot, może i zapatrzyła się, kto wie, czy nie w Michałowego konia, on czarny. Ale co będzie, jak ty, Handzia, zapatrzysz się w Michała, żartuj Domin, a wszystkie w śmiech i na mnie patrz, oho, Domin umieją przygadać, biedny kogo na język weźmo. Ale też pół wioski tym językiem wyraili<sup>82</sup>.

Pośmieli się ludzi i zgroza przeszła. Cielak zasnął, Dunaj nawet po łbie jego pogłaskali. Ależ odkręcają się od małego i mniej więcej mówią tak:

Jest i druga sprawa, kto wie, czy nie gorsza: Filip nam tu opowiadał, że u Grzegorychi był wczoraj Grzegorz, nieboszczko!

Duch

Słucham i czuję, jak każdy włos mnie drotem wstaje, Oboże, nieboszczko do wdowy przychodzi?

Był, był! krzyczy Filip: Słyszać było jak młocił, ciszkiem młocił, ale młocił, he he he! śmieje się durny durnawo, durnemu, mówio, i na pogrzebie śmieszno.

Ty Kaziuk po sąsiedzku z Grzegorycho, pytają się mnie Dunaj, ty wiesz: słyszać było noco młocenie u Grzegorychi czy nie?

Tak, coś tam stuknęło, jak my spać szli, mówio, ja myślał, że Grzegorycha coś w stodole robiła, a to mówio Grzegorz? Nieboszczko?

Straszno się robi: Jezu, pod moim bokiem nieboszczyki dokazują!

A skoczno Handzia po Grzegoryche, proszo Dunaj.

Poszła, czekamy, trochu czasu przeszło, przychodzi obydwie. Siadajcie, zapraszają Dunaj wdowe, siada, w ziemię patrzy, czeka. Dunaj odkachneli i mówio od razu: Po-

<sup>77</sup>jałoszka — młoda krowa niemająca jeszcze potomstwa. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>wyraj (gw.) — okres, kiedy ptaki odlatują do ciepłych krajów, jesień. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>chwoja a. chwojka (gw.) — sosna. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>miesiąc (daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>łoża — krzew z rodziny wierzbowatych; także: gałązki wierzbowe, tu jako narzędzie chłosty. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>wyrailić — wyswatać. [przypis edytorski]



dobno był u was wczoraj wasz nieboszczko, Grzegorycha, ludzi widzieli. Podobno żyto nawet młocił, prawda to?

Ona biała jak ściana: Co wam, ludzi, nieboszczko, Grzegor? Nie straszcie!

Młocił, ludzi widzieli, słyszeli!

Ja młociła, mówi Grzegorycha. A Filip: Nieprawda, łżecie, wy stali z boku i patrzyli, a on młocił!

Grzegorycha oczy spuściła, w ziemię patrzy, zębami łypy<sup>83</sup> przygryza, ręce jej drżo. A kobieta rostu męskiego, oczy wstydlive, policzki czerwone, a cycki, a dópsko, a nogi takie nabite, jakby cały czas coś się w nich gotowało, mrowiło! Tylko co owdowiała, dwie niedzieli temu, Grzegor siano woził ze stogu, dziewiętycha jego ukąsiła i umar, dziewiętego dnia umar, nieszczęsny, bo nima od dziewiętychy ratunku. Prawde powiedziawszy, nie nazywał się Grzegor, a jakoś inaczej: przezwisko wziął po pierwszym mężu, pierwszym Grzegorze, a dla odróżnienia nazywało się jego Grzegor drugi albo Biały, bo włosy i brwi miał białe, oczy czerwone: garki lutował po wioskach, a przywendrował na bagno akurat jak Grzegorycha pierwszego pochowała. To i przygarnęła biedna wdowa biednego łazęge.

A pierszy Grzegor umar młodo: znalazł sobie Grzegoryche dzieć aż za Juchnowcem<sup>84</sup>, bez posagu, za to take, że męszczyznom oczy na wierzch wypierało. A cieszył się nio tyle, że im nocy nie starczało: z dnia noc robili, szmatami okna zawieszali. Cieszył się tak Grzegor ze trzy lata i umar, na suchoty biedaczek. A ona, dwóch mężów odprawiwszy z tego świata, ostała bez dzieciow jak panna, a i wygląd ma panny, nie baby, o, niejeden kawaler szedby do niej z rajkami, jakby ludzi nie gadali, że pewno bezdzietna. Temu to Domin przygadali: To nie powiesz, Grzegorycha, co za młocarz tobie klepisko wczoraj noco ubijał? A Dunaj: Ja nie chce, żeb wy Grzegorycha mówili wszystko. Powiedzcie nam jedno: duch to był czy nie duch, to dla nas najważniejsze. Ona zębami się przygryza, kolanem w kolano się postukuje, widać jak się w niej gotuje, bo czerwona, drży. Ale w ziemię patrzy. Nie chce gadać. W końcu przyznaje się: duch!

Grzegor?

Grzegor.

Straszne, co powiedziała, patrz ludzi na Grzegoryche, czy prawdę gada: może straszy? Ale nie, głowę podnosi, nam śmiało w oczy patrzy.

Nu dobra, badajo dalej Dunaj: Pomłocił, pomłocił, a co potem? Do chaty zaszed?

Zaszed!

I co?

Tu Filip się rozrechotał: A co miał, hehehe, robić z żonko w nocy? Wypietuszył i poszed!

A ty, duryło, nie bresz<sup>85</sup> tyle, huknęli sołtys, twoja sprawa bydło pilnować na paświsku, a nie w cudze okna zaglądać.

Ale wszystkie zaczynamy cmokać, głowami kręcić, że coś tu pomieszane: czy nieboszczko może do wdowy chodzić żyto młocić? Cóż ta za dusza, co zamiast straszyć pomaga? Skiela<sup>86</sup> ten duch przychodzi: z piekła, z czyścica? Bo chyba nie z nieba! Za kare czy z łaski?

Tego nie wiem, tlómaczy się Grzegorycha, on nic gadać nie chce, skąd, za czyjo łasko, ile razy jeszcze przydzie. Tatko rozciekawili się bardzo: Ej, Grzegorycha, a spróbuj ty wyptać jego, czy on tam moich ojca matki w czyścicu nie widział? Ciekawe, odpokutowali już czy cierpio? A wybadaj ty jego jakoś, pódejdź po babsku: wyptań, co z Litwinowym Ceśkiem, co z Orelowym Kaziukiem, co z Wrono co pod wierzbo zamarz: dzie oni, w niebie czy jeszcze w ogniu się męczo?

Grzegorycha wzbrania się, że Grzegor ich nie zna, toż na bagno przywendrował, jak tamtych już dawno nie było. A dopytać się nie da rady, w czyścicu rozmawiać nie można, gębe się odmyka tylko albo modlić się, albo jęczyć od ognia, smoły, obcęgów.

<sup>83</sup>łypy (gw.) — wargi. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Juchnowiec — wieś w pow. białostockim; istnieją trzy położone blisko siebie wsie o tej nazwie: Juchnowiec Dolny, Górny i Kościelny. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>breszyć (daw., reg.) — mówić głupoty. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>skiela (gw.) — skąd. [przypis edytorski]

Już ty lepiej o nic jego nie wypytuj, radzo Szymon Kuśtyk, nie zadawaj sie ty Helka z nieczysto siło. I Broń Boże nie dopuszczaj do siebie: Jeszcze sie jakie diabłenta porodzo, pilnuj sie kobieto!

A durny Filip klepie sie po kolanach, miny stroi, rękawami śmiech zatyka.

Szymon radzo, co ma Grzegorycha zrobić, żeb odczepić sie od nieboszczka: Ty nie czekawszy, choćby i tej nocy, weź kołek osinowy, zaciesaj, zaostrz na igłę i w łożku, jak on tobie zaśnie i rozdziawi sie, wsadź kołek w gębe i obuchiem raz dwa przebij na wylot! I zobaczysz, rozsypie sie w proch, zginie, więcej nie przydzie. A jeszcze lepiej zrobić to w mogile, czerep przebić. Zróbcie, Grzegorycha, radze wam z szczerzego serca, zróbcie, bo bedzie nieszczęście: dobry, dobry, młoci, pomaga, a którejś nocy weźmie i zadusi!

Ona zgadza sie, dobrze, stryku, zrobie jak radzicie, zaraz naszykuje palik, osinowy, zaostrze, żeby wieczorem był pod rękę, w razie on by przyszed.

Ale jest i trzecia sprawa, zaczynajo tatko z przypiecy: niezwyčajny dziad do wioski przywendrował żebrać, widzieli wy? Jak on przeszed takie wody, błota? Na skrzydłach? Z nim by trzeba pogadać.

Grzegorycha wstała, mówi, że w piecy niezgaszone, idzie do domu, Dunaj proszo, żeby dziada do nas zawołała, jakby zobaczyła dzie na drodze. Dziwne, że Ziutek, dawno wysłany, nie wracał, czy znaleść dziada nie może, czy sam sie zagubił.

Nie minęło dużowiele już i tarabani sie dziadzisko: w progu torby ogarnia, żegna sie, pacierzy marmocze. Handzia czymprędzej stołek jemu podsuwa, miske z zacierko na kolana stawia. A my bystro patrzym, co on za jeden. Nieznajomy. Ale jakby trochu skądś znajomy, twarz te dzieś sie widywało. Ale dzie? Stary nie stary, włosy czarne, między nimi pasemka siwe, twarz pomarszczona, jakby ciężko cierpiał, dużo myślał. Przygarbiony, ale pleczysty, gruby.

Miske kolanami ścisnoł, suchar z torby wyjął, pocałował, w zacierce namoczył i chręst, chręst, gryzie, widać zęby ma żelazne, suchar trzeszczy jak szkło. Drugo rękę łyżke nosi, a choć zacierka gorąca, on nie dmucha: je całymi łyżkami i nie furczy<sup>87</sup>. Z daleka wy, dziadku, pytajo sie Dunaj, z jakiej strony idziecie? On nic, jad i je, oho, ważny, jak je, nie gada. Nu to czekamy, aż zje.

Zjad, miske wyter sucharem, suchara oblizal językiem, schował do torby. Przeżegnał sie, torby poprawił, dopiero oczy podnosi: Ze świata ide, powiada, a świat duży.

A jak wy dziadku przeszli przez wode błota?

Z Bosko Pomoco, ogłasza, noga za nogo pomaleńku.

A kiedy wy przysli? Dzisiaj? A może wczoraj?

Dzisiaj, mówi dziad, tylko co ja przyszed, jeszcze nogi bolo. O, a tu, widze, cielątko małe na świat przyszło! A rośnijże, rośnij Panu Bogu na chwale, błogosławi rękę i żegna. Ostrzegajo Dunaj dziada, że nie wiadomo, na czyje chwale ono rośnie: to wyrodek jakiś, nie meczy, ale rży!

Ciele rży? krzyknoł dziad, rży, nie meczy? E, chyba wy żartujecie ludzi ze mnie, czło-wieka podróznego?

To oni jeden przez drugiego nuż jemu tołkować<sup>88</sup>, że ciele, ciele, ale rży jak żrebie, miesiąc niedonoszone, kobyła oblizywała jego jak matka i rży za nim jak matka, powiedzcie dziadku, co to, cud czy kara, łaska czy nieszczęście, roztlómaczcie: cieszyć sie czy płakać?

Dziad brode rękę podper na kolanie i tak sie zadumał, że prawie slychać było jak myśli. Podumał i powiada, że dobrze to nie jest, jak porządek świata sie rozlatuje, cieszyć sie nie ma z czego, ech Boże, Boże! Ale co jego tak przestraszyło, dziada, że aż głowe rękami ścisca, stęka?

A to, moi ludkowie, slyszym, że już nigdzie spokoju nima, nawet u was, widze diabeł penetruje.

Diabeł?

Od porządku, ludkowie, jest Pambóg, on pilnuje, żeby wszystko szło, było jak było. A diabeł chce zmieniać, powiada: ulepszać. Slyszycie? Ulepszać! Już jemu mało, że krowa cieli sie, dzie tam: on chce, żeby sie żrebiła! O, do czego idzie! Krowy bedo sie żrebili,

Żebrać

Gość

Diabeł, Bóg, Obraz świata,

Upadek

<sup>87</sup>furczel — tu: prycać, parskać. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>tolkować (gw.) — tłumaczyć. [przypis edytorski]

kobyły cielili, owieczki prosili! Chłop z chłopem spać będzie, baba z babo, wilki latać, bociany pływać, słońce wszędzie na zachodzie, zajdzie na wschodzie! Chibaż wiecie, że co noc jest taka chwilka, kiedy Pambóg musi odpocząć? Zamyka oczy i śpi, chwilkę, ale śpi. A natenczas wszystko, co żywe, ustaje: rzeki stają i młyny nie obracają się! Ptaszki martwieją na te chwilki i wiszą w powietrzu! Drzewa nie rosną! Zając zastyga w pół skoku, a wilk za nim stoi z rozdziawioną mordą! Wszystko ustaje, bo nic nie ma siły i wagi. I wtedy diabeł robi, co chce: jednym palcem przewraca, przestawia, podmienia!

I Pambóg nic na to? pytamy. Nie zmiecie złej mocy?

W tym bieda, słyszym, że stary Pambóg coraz starszy, coraz częściej odpoczywa. A diabeł nachalniej z roku na rok. Kiedyś Pan Jezus na ziemi zstąpił, ludziom na pomoc, i diabeł uspokoił się trochę, ale że dawno było, znowu się rozdokazywał. Wy wiecie, ludkowie, co się teraz na świecie wyprawia? Mężowie żony rzucają, matki dzieci! Z ludziów mydło się robi! Żyto kosami żno: bywało całe wioski, że sierpa nie zobaczysz!

Żyto kosami, pytamy się dziada, nie wierzym: całe wioski żno kosami?

Dunaj mówio prosto w oczy: wy coś płaczecie, dziadku. Prawda, widziało się za rzeko takich, co kosami żyto poniewierają, ale to jeden, dwóch, nu trzech takich anychrystów w wiosce. Ale nie gadajcie, że wszystkie!

Dziad boży<sup>89</sup> się, że całe wioski wyrzekają się sierpa, my mówim, że to może dzie za niemiecko granico, bo chibaż nie w naszych stronach, a on boży się, że i tutaj, zaraz za rzeko więcej już takich, co żno kosami, niż sierpami. A w miastach, co w miastach się wyprawia! W dzień śpio, w nocy pracują, w piątki nie poszczą, niedzielo w nie świętują! Sodomagomora<sup>90</sup>!

Opowiada, a krowa znowuś muu! muu! ryczy i ryczy, ochrypla, nie ryczy już, ale charczy! Jak na nieszczęście. Ale chibaż do nas tu na bagno zaraza nie dojdzie, pytamy się dziada, my tu bezpieczne? On powiada, że przyszed z Suraza<sup>91</sup>, surażaki dużo gadają o bagnie: że ma być osuszone!

Co? Osuszone? Jak to osuszone, pytamy się, jakże bagno może być osuszone? Bagno?

Pierwszy Filip zaczął śmiać się, a za nim Kuśtyk, Domin, ja, tato: Ha, ha, ha, osuszone bagno, ha ha ha, bagno osuszone! Czym? Wiadrami? Szmatami? Może ogień rozpala? A może, ha ha ha, może piaskiem błoto zasypio! Oj, dziadku, dziadku, wy musi z nas śmieszki stroicie! Można górę przenieść? Rzekę zawrócić? Tak samo z bagnem: jakże bagno osuszyć!

Jak, tego nie wiem, on na to, ale wiem, że wójt gadał o tym w Surazu. I powiem wam więcej, mówi dziad cicho, na dźwi się oglądawszy, do nas się nachyliwszy: oni dziś abo jutro przyjadą do was na zebranie! Bedo was kusić, namawiać, obiecywać!

Przyjadą? pytamy.

Na zebranie?

Kusić?

Do czego kusić?

Tego dobrze nie wiem, odpowiada, ale wiem, że bedo! Nie podoba im się, że jest wioska, co żyje jeszcze po dawnemu, po bożemu!

A czym niby oni przyjadą?

Maszyno!

Ucichli my, patrzymy się na dziada, na siebie, straszno czegoś. Ot i już wiadomo, co za pląga wisi nad wioską, mówio Dunaj i pac cielaka po głowie: Wiemy już, co ty nam wywrożył, wyrodku!

Ale Domin spokojnie nas i dziada pociesza, że nima czego boić się: bagno było i będzie, żyli my tu po swojemu i będziemy żyli. A ciele nic do tego nima, całkiem ładny cielaczek, tyle że niedonoszony, ale podchowa się w chacie i będzie z niego krówka że hej! A tatko pytają, czy ono czasem wojny nie wroży? Coś dawno armatów nie było słyhać. Nie idzie jaka wojna?

E, wojny teraz jedna za drugo, jak nie tu, to tam, dziad na to, strasznie dziś ludzie zaczepne, bijo się i bijo.

Wojna

<sup>89</sup>bożyć się (daw.) — przysięgać na Boga, zaklinać się. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Sodomagomora — zbitka wyrazów „Sodoma” i „Gomora”, nazw biblijnych miast będących symbolami grzechu, rozpusty i bezbożności, zniszczonych przez Boga deszczem ognia i siarki. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Suraz — niewielkie miasteczko w pow. białostockim. [przypis edytorski]

A mniej więcej o co?

Tego za bardzo nie wiadomo. Krew się w ludziach burzy, jeżdżo, wyjeżdżają, przyjeżdżają, nieznanym dużo, oszukaństwo, złodziejstwo, nienawiść, Pambóg z tym nie daje rady.

Nu tak, kiwamy głowami na dziadowe gadanie, stary już Pambóg, ileż lat może mieć, ile tysięcy! Człowiek sta<sup>92</sup> dożyje i już do niczego, prochno, a on od początku czuwał! A gospodarstwo jego to nie kawałek łąki, piachu, koń, krowa, o, jego gumno długie, szerokie, za rok, za dziesięć lat nogami nie obejdiesz. I sprawiedliwie gadacie, dziadku, za dawno Pan Jezus porządku robił, przydałoby się, żeby znowuś na ziemię zstąpił, zobaczył, co nawyrabiało się, poładził, poratował. Opowiada dziad, a składnie jemu idzie, jakby księdzem był, aż korci spytać, kto on taki, ale śmiałości nimamy. O sodomie i gomorze, o rozpuszczeniu ludzkiej, łakomstwie, nienawiści, bezbożności, wojnach słuchamy, uwierzyć trudno, że świat taki straszny. Aż tu koło obiadu stukanie w okno, w rame, Dunaicha stukają: Stachu, chodź, jakieś urzędniki przyjechali, Matkoboska, prędjiej!

Bóg, Grzech

Puścił Dunaj po chatach kluczkę<sup>93</sup> z nakazem, żeby zaraz przychodzić na zebranie. Dwa razy nie musiał prosić, każdego korciło, czego urzędniki przyjechali i co za maszyna stoi na wodzie, zebrało się koło niej nad rzeką babow i dzieciów jak na wesele.

Takiej łodzi jeszcze ja nie widział: jakby prom, ale z przodu nadbudówka, okna szklane, za szkłem żołnierz w czapce siedzi, jakby je. Urzędników nima, wyszli, u Dunaja w chacie siedzą, naradzają się. My, męszczyny, czekamy kupami pod gankiem, kiedy Dunaj zawołają do dużej chaty.

Czasu minęło jak płachte wysiać<sup>94</sup>, nie więcej i dźwi na ościerz rozmykają się, Dunaj stają na ganku, wołają do środka.

Baby i dzieci zostają się, nie dla nich takie zebrania, a my, taplarskie gospodarze, wchodzimy, czterdziestu, Jurczaki, Bartoszkowie, Mazury, Koleśniki, Litwiny, Orele, Prymaki, Dunaje, Kozaki: Kozak Jej Bohu i co zjad żabę, Dunaje dychawy, Dunajczyk i sołtys, Prymak Koleśnik i Prymak Kozak, Orele: Kuśtyk, Antoch, obydwaj Śpiewaki, Pietruk o co się rozchodzi, Kramar. Dalej Litwiny: Ryży, Czarny, Stach co zleciał z dachu, Koleśniki: Domin, babiata, Natośnik, Maśluk, Jaśko zębaty, durny Filip. Dalej Mazury: Ślepy, Stach co to ja, Władko co je komose, Maniek bez koniów, Bartoszkowie: Złośny, Na jamie, Siuśko, Kirelejsony: ja i Michał, dalej Grzegorycha, wdowa, liczy się jak gospodarz, i jeszcze Jurczaki: Mokry, większy, mniejszy, Józef gada tego i Władzio Hehehe. Wchodzimy, siadamy na ławach, na których w zapust<sup>95</sup> baby siadają pod ścianami patrzyć na tance, ale teraz ławki ustawione jedna za drugą, a na stole, co siadali na nim Stach Śpiewakow z pedałowką<sup>96</sup> i Zdzisiek z bębniem, leżą jakieś papiery. Za stołem siedzi trzech urzędników i panią z czarnymi rozpuszczonymi włosami, trochę z boku Dunaj. My w ławy zachodzimy, siadamy ciasno, żebra w żebra, a ludzie przybywa, z ganku napierają, ścisk się robi.

Urzędniki poszeptują, kiwają głowami jeden drugiemu, dogadują się, trochę po nas spoglądają: jeden urzędnik rękę ma drewnianą, wyszlizganą, aż się świeci, drugi młody, w białej koszuli, krawatce, z kieszonki koło klapy błyszczą się jemu ze trzy obsadki<sup>97</sup> i grzebienie, trzeci, gruby, to podług ludzi wojt z Suraza: włosy zaczesane do góry, ale zsuwają się i zsuwają na oczy, on co raz zarzuca ich do tyłu i dwiema rękami przygłaskuje. Ciekawe, ciekawe, co będzie, czy prawdę dziad gadał, czy tylko tak straszyl.

Aż wojt wstaje, mówi dzieńdobry, witam zebranych rolników, a to są towarzysze z powiatu, pani uczycielka, to iżynier, w związku z tym zabierze głos towarzysze z powiatu.

Urzędnik

<sup>92</sup>sta (daw.) — daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik, dziś: stu. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>kluczka (gw.) — tu: laska z wygiętym końcem, którą sołtys zwołuje mieszkańców, obsyłając ją po całej wsi. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Czasu minęło jak płachte wysiać — tj. tyle, ile potrzeba na ręczne wysianie partii zboża z przewieszzonej przez ramię płachty. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>zapust (gw.), zapusty (daw.) — ostatnie dni karnawału; ostatki. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>pedałowka (pot.) — harmonia pedałowa, ludowy instrument muzyczny, rodzaj harmonii, w której powietrze tłoczone jest miechami nożnymi, za pomocą naciskania na pedały. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>obsadka — element służący do mocowania stalówki na piórze. [przypis edytorski]



I wstaje ten z ręką: chudy, łysawy, zęby na przedzie żelazne koloru siwego.

Poopowiadał najspierw o świecie, jak na świecie życie się rozkwita, ile nowych chfabryk wybudowano, szkółow, szosow, ile tysięcy młodych uczy się, jaki oni mądre, do maszynow zmyśne, biede zwalczajo, pańskie życie majo i nawet przyjemnie było słuchać o dalekich stronach, szklanych górach, kroleskich dworach. Pobajał, pobajał i mowi tak:

Ale na szkłe rozkwitającego się kraju wasze Taplary przedstawiajo się jak wioska okropnie zacofanna. Zacofanna! mowi, bardzo zmarszczywszy się, i to ręką łup! w stoł jak polanem: Tak dalej być nie może, obywatele! I się patrzy nam po oczach, a my nic, cicho, nie wiadomo, czego chce, czekamy, co dalej.

Aż Domin pytajo się spod ściany: Zacofanna, to dobrze czy kiepsko?

Ten z ręką łypnoł się na wójta, na uczycielkę, na nas, jakby badał, czy tu się nie robi z niego śmieszkw. Nie rozumiem, obywatelu, mowi, o co wam się rozchodzi?

Mały śmieszek przeleciał i wszystkie oglądnełi się na mojego teścia Pietruka, bo też ma przymówisko o co się rozchodzi. A ten z ręką aż kolorow dostał, chichi usłyszawszy, myśli, że z niego śmiejo się. O co się rozchodzi, spytał się raz jeszcze, i śmiechu przybyło. Jak ucichło, Domin pytajo się głośno, że o to się rozchodzi, czy tu gani się nas, czy chwali, a jak gani się, to za co?

On aż głowo zakręcił i nuż o tym zacofaniu, co to, że zacofana wioska, to taka dzie głód, smród i zabobony. To nas ruszyło: Jak wam tu śmierdzi, krzyczco Szymon Kuśtyk zza plecow, to wolna droga, nikt was tu nie zapraszał, nikt nie trzyma!

Aż zaczęli ludzi sykać na Szymona, że za ostro przygadał, toż wielkie urzędniki, obrażo się, aresztujo i co? Żyli my sobie na uboczu i nikt nic do nas ni miał, nawet podatkow z tego bagna nie płacili. A ten z ręką poczerwieniał na malwe: przepraszam, mowi, jeśli kogo słowem dotknąłem, ale, mowi, w chwili kiedy cały kraj się zrywa do wielkiej budowy żaden obywatel nie może stać na boku, wylegiwać się na piecu. Ojczyzna wzywa! Na to Domin:

A co nam do tego!

Jakże to! roskłada ręce urzędnik: A wy kto, nie polak?

Nie.

A kto, niemiec?

Nie.

To może francus?

Nie.

Rusin?

Nie, nie rusin.

Nu to kto? pyta się urzędnik. A Domin na to:

Ja tutejszy.

Jaki tutejszy?

A tutejszy, mówio Domin. Z bagna.

A bagno dzie? Nie w Polsce?

Ale my tutejsze, swoje, żyjem sobie jak żyli i niczyjej łaski nie prosim. Wy najpierw powiedzcie, jaki wy, urzędniki, interes macie, że tu przyjechali? Co nam dobre, sami wiemy. Ale wy, czego wy chcecie? Oszukać chcecie, ot cały wasz interes!

Wojt wstał, włosy odgarnoł i kręcić głowo zaczął, że jemu się Dominowe gadanie nie podoba. Towarzyszu, mówi do tego z ręką, dozwólcie, że ja odpowiem, i kłania się urzędnikowi, kłania się Dominowi, nam wszystkim i wsparty rękami na stole, zaczyna, ale z dziwnego końca, ni przypioł, ni wypioł.

Jak mi wiadomo, mówi, na górce, tej przy cmętarczy, straszcy. Tak czy nie? Straszcy. Podobno diabeł straszcy. Tak czy nie? Diabeł. Pilnuje zaklętego konia, złotnego, ze złota ten koń.

Durny Filip dorzuca z kąta, że ogon i grzywa srebrne.

Niech będzie, że ogon i grzywa srebrne. Ale reszta złoto.

Nie! Kopyta żelazne! poprawia Filip. Dunaj jego uciszajo: ciszej tam, duryło, nie przeszkadzaj! I wojt ciągnie dalej.

Dobra, mówi, niech będzie, że kopyta stalowe, ogon i grzywa srebrne, ale reszta ze złota, tak czy nie? Zgoda, jedźmy dalej. Od kiedy ten koń tam leży?

To wy uważacie, że ten koń tam jest? pytajo się Domin.

Chłop

Wierzenia, Zabobony

A wy uważacie, że nima? na to wójt.  
Tęgo nie mowie.  
No właśnie. A jeśli jest, to od kiedy jest?  
A ktoby pamiętał. Zawsze był.  
Proszę, zawsze był. A teraz niech mi ktoś powie, ile za takiego złotego konia można by kupić no, cukru?

Nikt nie wie, wójt naciska: no, ile wozów mączki, czubatych wozów, takich jak z drzewem albo z gnojem?

Ktoś zgaduje: Tysiąc!

Więc dokładnie powiedzieć nie mogę, on ciągnie, ale wiem, że cukru kupiłoby się za tego konia na sto lat, i to nie dla jednej chaty, ale dla całych Taplar. I nie tylko cukru, ale i soli, i nafty, i smalcu, i kielbasy, i marmulady, i cukierków. Bo to podobno nie jakiś źrebiaczek, ale duży ładny koń?

Toż królewski!

No właśnie. W takim razie ja się pytam: jeśli ten koń taki drogocenny, dlaczego nie zmówicie się cało wiosko i nie przekopiecie tej góry rydlami? Dlaczego nie odkopujecie tego konia? No? Dlaczego?

Czeka, żeby kto co powiedział. Ale cicho, nima co mówić. No bo prawdziwie, trochu dziwne, że nikt tego skarbu nie dostawał!

Nikt nie próbuje, bo czort pilnuje, krzyknoł Filip z kąta.

Toż macie na diabła święcone wode! na to wójt i znowu czeka, żeby kto co powiedział. Ale nikt już nic nie mówi.

Więc ja się jeszcze raz pytam, powiada wójt, odczekawszy, jeśli taki drogocenny koń leży w piachu, czemu wioska nie zbierze się razem i nie przekopie rydlami całej górki na trzy metry wglęb, żeby potem jeść cukru, smalcu, śledzi, kielbasy, mąki ile kto chce i leżeć brzuchami do góry jak hrabiowie?

Cisza coraz wredniejsza, wójt nas zapędza jak myszy w jame i każdy to czuje. A on dalej ostro, głośno:

To ja wam powiem, dlaczego wy całymi wieczorami gadacie o tym koniu, kupujecie za te czarodziejskie złoto dwory, powozy, smakołyki, marzycie, śnicie, a żaden nie spróbuje za dnia, z rydlem w garści, pójść na górke, i ten skarb wykopać! Bo tak naprawdę, to wy, taplarscy, wy nie wierzycie, że ten koń tam jest! A boicie się kopać nie ze strachu przed diabłem, ale ze strachu, że nic nie znajdziecie: najwyżej kamień, kłode albo stare kości! A wtedy cóż, skończy się wam bajanie wieczorami o smakołykach, strojach, dworach. I nie obrażcie się, taplarscy, ale jeszcze to wam powiem, że tak samo jest z oglądaniem się na świętych i Pana Boga: że może urodzaj dadzo, spor<sup>98</sup> na polu i w oborze, dole<sup>99</sup> w domu. Powiedzmy sobie szczerą prawdę: nima co, taplarscy, zawracać sobie głowy złotym koniem i świętymi patronami, kto chce mieć cukru do syta, smalcu, kielbasy, niech robi to, co przed nim mądrzejsi robili, zrobili i żyjo dziś w dostatku bogato, po pańsku. A wiecie, od czego oni zaczęli? Od szkół i elektryczności! I w tej sprawie my przyjechali: w sprawie szkoły i w sprawie elektryczności. Proszę bardzo pani Jolu, niech pani powie pare słów o szkole.

Wstaje panienska z włosami rozpuszczonymi jak u kózytki<sup>100</sup>, wstaje i dopieroż widzim jaka wysoka i cienka, gloria nad gloriami! Opowiada, że po niedzieli zacznie się w tej izbie nauka czytania i pisania, dla dzieci od lat siedmiu do czternastu obowiązkowa, dla starszych jak kto chce, wolna wola. Książki i zeszyty, i tablica przywiezione łodziu, ale jeszcze potrzebna jest pomoc wioski w sprawie sali, opału, ławek i kfatery dla niej, bo ona tu zostanie. Poopowiadała trochu, jakie dziś czytanie ważne: nie umieć czytać, to gorzej niż bez nogow, bez czytania nima co w świat ruszać, a ona radzi każdemu zobaczyć trochu świata: cuda dziejo się na jawie większe niż bazarze wydumywali.

Uczycielka siada, wójt zaprasza iżyniera niech powie o elektryczności.

Nauczycielka

<sup>98</sup>spor (gw.) — dostatek, powodzenie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>dola — tu: dobry los, szczęście. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>kózytka, kózytka a. łaskotucha — w wierzeniach ludowych demon opiekuńczy zbóż, mający postać pięknej, szczupłej dziewczyny z długimi, rozpuszczonymi włosami, w powiewnych szatach, która depczących uprawy chwyta i łaskocze (gw. *kozytać*: łaskotać) na śmierć. [przypis edytorski]

Wiem, mówi iżynier, ołówkiem pstryka w palcach, kręci, błyska, wiem, że wam przez to bagno do świata daleko, ale chyba każdy choć raz w życiu był w Łapach<sup>101</sup>, a może i w Białymstoku? A jak był, to na pewno widział elektryczność czy to w sklepie, czy w kościele: te świeczniki bez świeczek to elektryczność. Ale co tam świeczniki!

I rozpowiada o lampach elektrycznych w domu, w chlewach, stodole, na gumnie, o przedłużeniu dnia na wieczór i noc choćby do wschodu: skończy się oczow marnowanie, z kurami spanie. Dalej, elektryczności można prać, prasować, gotować i piec, młócić, mleć, rznąć siewczkę, piłować drzewo, doić krowy, gotować świniam, wylęgać kurczaki. W końcu mówi o radju, że to okno na świat cały, że tędy droga do szczęścia, rozumu, bogactwa. Słuchali my ciekawie, nikt nie przerywał, bo mówił iżynier pewnie, nie przypochlebiał się, nie napraszał. Jakby jemu zanadto na naszej zgodzie nie zależało, jakby strasznie pewny był swojego towaru.

A Kramar pyta, ile ta elektryczność kosztować będzie.

On gada: średnio tyle a tyle tysięcy.

Fiu! Dwie, trzy krowy! mówi Kramar, który ma głowę do prędkiego liczenia w pa-mienci i na papierze, i handluje nafto, solo, mączko, goździami, siostrze za handlarza wydał. Aż dwie, trzy krowy, i to duże!

Yy, ja tam wole mleko pić niż te elektryczność, ogłaszają Domin.

A po ile te motory i maszyny? dopytuje się Kramar.

Iżynier ogłasza, ile kosztuje motor. A maszyny, mówi, można dopasować do motoru dawne, te od kierata: tu śmiech bucha, bo kieratow w wiosce trzy wszystkiego, młoc-karni ani jednej, młynek tylko u Dunaja, siewczkarniow, prawda, więcej, ale też jedna na dwie, trzy stodoły. Gwaro się robi, koszt przeliczamy na krowy, parszuki<sup>102</sup>, metry żyta, drogo to wychodzi, toż sobie ledwo starcza przed żniwami albo i nie starcza, a te tu nama-wiają, żeby wyprowadzać z chlewa krowy, świni, ze spichlorkow żyto wywozić i w jakieś elektryczność pakować!

W tymczasie Dunaicha lampe wnoszą z zapiecy: wieszają na ścianie, teraz widzimy, że za oknem całkiem już zmierzchno, i gadamy prawie po ciemku. Ja tam wole bez tej elektryczności cepem młócić, niż za elektrycznością piasek żryć! ogłaszają jeszcze raz Domin. A wojt podjudza: Ależ, obywatelu, koszty wam się rozpisze na lata, na dziesięć, piętnaście, cóż to kilkaset złotych rocznie dla takich gospodarzy jak taplarscy!

Ale na co te maszyny? pytają się Domin. Czy to żonka kiepsko gotuje? Czy rękami mnie gaciow nie umyje? Krowy nie wydoi? Na cholere mnie w domu te maszynki, jak ja żonke mam? Co, może żonke mam odprawić do teściow? Odprawie, a kto mnie pod pierzyno wlezie? Maszynka?

Śmiech buchnoł, o, umiejo Domin powiedzieć do śmiechu, nie darmo tyle lat raili i rajo, język majo kręty, ostry, aj, biedny, kogo nim zatno. A i z wójta, widać, nie gorszy żartownik, patrzmy, co to z tego będzie.

Maszynami żonka prędzej by się obrządziła i dłużej by mogła z wami pod pierzyno leżyć, powiada wójt. Wy tak samo: maszynami omłócicie żyto za dwa dni, a potem całe zime pod pierzyno będziecie się wylegiwać.

Domin drapio się po włosach, szukają odzywki, aż tu stuknęło w okno i co widzimy! Twarz straszna do szyby przylepiona: włosy białe, oczy wytrzeszczone, nos rozplaszczony, ręce sine! Uczycielka, urzędniki się odchylają, byle dalej od okna! Kto to? pyta się wojt w strachu, ale nie wiadomo, kto to, aż Dunaj mówio: Ej, Grzegorycha, wasz przyszed! I Grzegorycha wstają i przepychają się między ławami. Wyszli, zaraz twarz zza szyby przepadła. Co to za Grzegor, pyta się uczycielka. Nieboszczko, mówio Dunaj, a wojt: Nie żartujcie, soltysie, bo mi panienke wystraszyacie. I na sale patrzy, trochu zły. Żarty żartami, mówi, ale szkoda czasu, porozmawiajmy poważnie.

Domin wstają, ale mówio bardziej do nas, taplarskich, niż do urzędników, mniej więcej tak:

Toż ja dopytuje się i dopytuje i dopytać się nie moge panow urzędników, czemu to my w Taplarach mamy maszynami się obstawiać? Kiedy ja, panowie, lubie cepem młócić. Lubie sierpem żąć, koso kosić. Nasze żonki szmaty myjo w rzece bardzo czysto,

<sup>101</sup>Łapy — miasto w pow. białostockim. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>parszúk a. parsiúk (gw.) — prosiak, wieprzek. [przypis edytorski]

tkajo ładnie krosnami, chleb pieko bardzo przyjemny w piecach chlebowych. Umiejo też krowy doić. Jakże do krowy z maszyno: toż jedna krowa wymie ma twarde, druga mięt-  
kie, ta cycka bogatsza, tamta skąpsza. A niejedna krowa całkiem nie przepuści, jak jej nie poklepiesz, nie podrapiesz między rogami, za uchem. To wszystko baba wie, umie. A maszyna?

Zrywa się ten z ręką, jak oparzony: Ludzie, ludziska, co wam, krzyczy, klepawszy się w czoło, czy wy naprawdę chcecie przeżyć całe życie w tych szuwarach jak kaczkę, wy i dzieci wasze? Czy wy wiecie, że za rok góra pod Bokinami<sup>103</sup> będzie przekopana: woda spłynie i po bagnie śladu nie będzie, przepadno starorzeczka, chrapy<sup>104</sup>, topieliska, odnogi, zostanie tylko jedna główna rzeka pod Surazem, a łąki pobagienne będą zmejlorowane? Czy wyobrażacie sobie, co polecą środkiem bagniska i autobusy, i traktory, co będą jeździć koło waszej wioski? Za pięć lat połowa z was będzie dojeżdżać do Łap i Białegostoku zarabiać w fabrykach! Zaczniecie stawiać murowane domy i chlewy, młócić będziecie kombajnami, a w waszych domach stano lustra, radja! I nic tu nie pomoże wasze chowanie głowy w piasek, co ma być będzie, chcecie czy nie! Ale wy, ludzie, zamiast przeszkadzać nam, pomóżcie! Pomóżcie nam wyciągnąć was z biedy i zacołania, jeśli siebie nie żałujecie, pożałujcie waszych dzieci: toż oni rosno na dzikusów, czy chcecie, żeby byli pośmiewiskiem dla kraju i świata?

Urwał przemowę i usiadł, raptem wstaje, już mówić zaczyna, ale macha ręką i kłap, znowuś siada, strasznie rozpalony. I siedzimy: oni patrzą na nas, my na nich. A takie zmartwione, poprzygarbione oni, że aż ich szkoda.

Aż tu co się robi!

Jakby osa wleciała do izby: dziwne buczenie słychać skądś zza pleców, oglądamy się za to osę, oczami pod pułapem wodzimy, no bo słychać, że ta osa pod pułapem zakręca, zawija. He, ale jak ona zawija, czemu to gęby nam się rozjeżdżają do śmiechu, czemu szyje wciągamy, aż kołmierzy skrzypio? Czemu tak oczy wywracamy na urzędników? Osa to nie jest, skąd osa w listopadzie, do tego po zmierzchu i przy zamkniętych oknach. A buczenie narasta, wzmacnia się, faluje, wtuliwszy głowy w kołmierzy, czekamy bez tchu: buczenie narosło, przemienia się w gwizd, w smykowanie na najcieńszej strunie, aż uszy bólu, natęży się! I rozpęka! trzaskiem, łoskotliwym, końskim, ach to Filip zażartował sobie jak ogień! I śmiech nasz, rżenie końskie, bek owieczy, pianie kurze, wywaliło się, zakłębiło, rozdeło po izbie czterdzieście mord rozdziawionych wyszczerzyło się do tramu<sup>105</sup> bezwstydnie w rżeniu, beku, jęku! Głowy, plecy rozhuścili się, to czołem w kolana, to potylicą na łopatki, gęby rozdziawione, oczy zapluszczone, ręce rozkładają się na szynach sąsiada, na kołmierzach, nogi tupią w podłogę, łomoczo! Zawierucha werwała się do chaty? czarci z kulikiem<sup>106</sup> wpadli? czy może blejkotem<sup>107</sup> spili się gospodarze taplarskie, co tak ich rozwiązało, rozbieszczyło, rozchlapało! Naraz pod dźwiami ktoś inny huknął: buch! buch! na ten sygnał posypali się spomiędzy kożuchów wybuchy, jeden za drugim: Buch! Bach! Bam! Pyf! Łup! Hop! Ryms! Trrach! Rryp! czterdziestu chłopaka kacza<sup>108</sup> się plecami po plecach, brzuchach, ławach, na podłogę się wało, zapomniawszy o świecie, zebraniu, urzędnikach, słozach<sup>109</sup> oczy zalewają, tylko jedna myśl błyska: żeby huknąć głośniej niż drugi! Aż tu grzmot się rozpęka tak wielki, że lampa zgasła, ściany się kołyszą, z pułapu szczelubinami<sup>110</sup> sypie się plewa<sup>111</sup> na głowy nasze: to Filip zażartował znowuś, jak smok! Jak i kiedy uczycielka i urzędnicy uciekli, czy długo wytrzymali z nami po ciemku, nie wiadomo, nikt nie pamięta: tak się wszystkie zapomnieli, tak się każdy kaczał w śmiechu, płaczu, jęku, że tylko łupcowanie się liczyło, kto głośniej, kto mocniej! Odpalamy jeden po drugim, Mazury, Prymaki, Litwiny, Dunaje, Bartoszki, Orele,

Śmiech

<sup>103</sup>Bokiny — wieś w pow. białostockim, w gminie Łapy, na póln.-zach. brzegu Narwi. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>chrap, zwykle w lm: chrapy (daw., gw.) — zarośla w miejscach podmokłych, na bagnach. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>tram — duża belka biegnąca pod pułapem. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>kulik a. kulig — zabawa polegająca na przejażdżce saniami, odwiedzaniu wszystkich sąsiadów i przyłączaniu ich do orszaku. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>blejkot (gw.) — blekot, trujący chwast, daw. używany w med. ludowej do sporządzania odurzającego, przeciwbólowego wywaru. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>kaczać (się) (gw.) — toczyć (się), turlać (się). [przypis edytorski]

<sup>109</sup>slozy (daw., gw.) — łyż. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>szczelubina (gw.) — szczelina, szpara. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>plewa — tu: osłona ziarna, odpadki pozostające po młóceniu zboża. [przypis edytorski]



huk za hukiem goni, hukowisko rozdudniło sie piekielne, czterdzieście bębnow odprawia muzyke na kartoffli, kapuche, kisle mleko, cybule, łupcujem jak pijane, po świńsku, ale zdrowo, wybuch za wybuchem leci, jeszcze jeden, jeszcze jeden, jeszcze.

Siły sie kończo, prochu brakuje: jeszcze śmiechem ciągniem, ktoś pod stołem w śmiechu sie kacza, śmiechem z brzucha, z najdalszych kiszki, zdrowym śmiechem podbijamy hukowisko, wspomagamy pohuki, jeszcze paru jęczy ze szczęścia, szczerego brzuszego, ale już ten i drugi przeciera oczy, wybałusza sie w ką, tam dzie urzędnikow zapomniało sie za stołem! Czuje i ja gębe, jak sie składa, prostuje. I kurczy na nowo, ale teraz z jakiegoś strachu!

Ostatni śmiech dobulgotał sie i cicho, cicho, cisza. Choć ciemno, wiemy, że za stołem pusto. Coś sie stanie. Ale co? Co zrobio te ważne urzędniki? Czy nie polecili do łodzi po karabiny? Może popłynęli po wojsko? Może pogonio nas w sądy, areszty, więzienia!

Na dźwi oglądamy sie po ciemku. A w sieniach puścieje. Już i kto bliżej dźwiow z ławy wstaje. I jakoś nikt do nikogo nie gada, wyśmiawszy sie, wyszumiawszy, czuje każdy, że nabroił, czy aby nie za dużo tego śmiechu było? Jeden za drugim wychodzim, w ciemno, milczkiem, bez zwykłego w takiej kupie żartowania. Każdy w ziemie patrzy, bo pod nogami błoto, kałuży ledwo przymarznęte, a szkoda walonki ugnoić. Przymykajo sie ludzi pod płotami, rozchodzo sie po domach radzić, a jest nad czym, nadziało sie za dzień. Ciekawe, co urzędniki robio: pojechali czy ostali u Dunaja? Ide pod okno, zaglądnąć, a tu z pięciu chłopca stoi: na dybki<sup>112</sup> stajo, szyi wyciągajo, żeby co przez dziury w szmacie zobaczyć.

Nie wszystko, ale co nieco widać: uczycielka siedzi na murku z wyciągniętymi nogami, trzewiki zdjęte, grzeje sie przy piecu, przy niej iżynier, gadajo sobie. Wojt i ten bez ręki rozperli sie za stołem, coś tołkujo Dunajowi, on głowo kiwa, a skulony, przestraszony, jakby jego bić mieli. Dunaicha, dzieci, babka siedzo gęsto kupo na łozku.

Może by i więcej sie zobaczyło, żeby nie dziad: stoim i zaglądamy bezpiecznie, ale skądś wylaz i do nas dołączył: też na dybki staje, popatruje. Naraz jak nie wyskoczy Dunajow Kruczek, psy dziada poczujo na wiorste<sup>113</sup>, jak nie zacznie łajać, obskakiwać! Trzeba było uciekać, żeb Dunaj nie poznał.

Ide do chaty, dumam nad tym dniem dziwnym. A tu ciemno, jakieś piski, dzieś nad rzeko počko<sup>114</sup> stęka, coś o nogi sie osmykło, poleciało w loży. Straszno. Na dobitke młocbe słyhać: u Grzegora młoco!

Przystaje ja i patrze z drogi na stodołę: świeci sie! I cep słyhać: łupu, cup! łupu, cup! bije ktoś, ale nie za bardzo, nie za równo, ktoś młocić nienawykły. Pewno Grzegor, a niewprawnie, bo dusza chybaż takiej siły w rękach nima jak chłop żywy. A może prawdziwie, ona, Grzegorycha, jak gadała, młoci? A może ten dziad niezwyčajny, może on to? E, nie, toż tylko co był pod oknem? Najlepiej zajść by, zobaczyć przez szczelubine. Ale strach! Może by kogo zawołać: we dwóch, w trzech sprawdź, kto młoci? Spoglądam, dumam, szczać sie mnie zechciało z bojaźni. A w mojej chacie ledwo, ledwo w oknie ćmi sie. E, lepiej nie zaczynać z duchami, a nuż to Grzegor: zobaczy taki, upodoba i nie odczepi sie potem, zanadzi<sup>115</sup>, napastować bedzie. A toż u mnie dzieci małe.

Wyszczawszy sie ide, do chaty. Lampa ćmi sie skręcona na iskry, wszystkie śpio. Wykręcám knot, pojaśniało: saganek widze na płycie i miske, postawione, żeby nie ostygło.

Zjad ja krupniku i cicho, żeb spawszych nie budzić, kozuch i nogawicy ściągnowszy, walonki i onucki na płycie złożywszy, żeb przeschli, lampe zagasiwszy, przeżegnawszy sie, legam przy żonce. Ziutek mocno odbił sie od swojego szczytka na moje, to nogami upycham jego na miejsce. Handzia tyłem leży, jakby obrażona, za co? Aha, za jajko, Jezu to dzisiaj bylo? Co za dzień był, co za dzień, na co to sie kroi? Co te urzędniki z Dunajem knujo! Po chorobe nam ich uczycielka! I cóż to za dziad niezwyčajny, stary nie stary, czego szuka, co czaruje? A może prawdziwie wyrośnie z tego cielaka jakiś wyrodek, jak stare przepowiadajo? Raba ryczy, a czy jeść dostała? Ej, Handzia, szturcham żonke w ciepły bok, a żywinie dano?

Tato dawali.

<sup>112</sup>stawać na dybkach (gw.) — stawać na palcach u nóg. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>počko (gw.) — puszczyk. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>zanadzić się (gw.) — zanęcić się, skusić się czymś. [przypis edytorski]

A cielak napojony?

Mhy.

A czego ty zła?

Fuknęła coś i leży bez słowa.

Gadaj coś, bo straszno, mówie. Co za dzień!

Ale już sie lube ciepło rozłazi po plecach, brzuch od żonki sie rozgrzewa, nogi od dzieciow, ech, nima to jak pod pierzyno, dzież tak ciepło i bezpiecznie, najlepiej by było całkiem z tego gniazda nie wylazić. Zaraz sie zaśnie, może niebo sie przyśni jak raz niedawno? Na trawie ja leżał, w dużym sadzie, większym niż Dunajow, leże w chłodku, nad głowo olatki<sup>116</sup> zwisajo z gruszy, kumpiaki<sup>117</sup> z jabłoni, kłusty sok z nich kapie, sery wiszo, kielbasy, saltysony, tylko ręke wyciągnąć i jesz! Dołem biała rzeka płynie, biała, bo ona śmietanna ta rzeka, z ręki pijesz śmietane jak wode! A na drzewach szpaki na skrzypkach tobie rzempolo, wróbelki muchy z ciebie zdziobujo, jaskółeczki skrzydłami w pięty lachoco, za krzakami baby chodzo w perkalowych sukienkach, bose, i zginajo sie często, jak przy praniu, żeby więcej było widać, a udziaste, łydziaste, grube! A kiwniesz ręko, same sie na plecach kłado, a Pan Bóg pozwala: nie bojś, Kaziuk, właż, nie bedziesz miał żadnego grzechu.

Sen

Seks, Grzech

Handzia, szturcham żonke.

Seks

Czego?

A obróć sie na ten bok.

Żeb znowuś kułakiem dostać?

Nie bojś, durna, nie dostaniesz.

Przekręciła sie, ja obsuwam trochu gaci i sie nawalam, starawszy sie dzieciow nogami nie przydusić, rozgarniam kolanami na boki, żeb nie pszeszkadzali, słucham jeszcze, czy wszystkie śpio: a jakże chrapio wszystkim świątymi głosami, tato przez sen poprukuje. Nu to znajduje prętko co trzeba i zaczynam mężowskie robote: tam i nazad, tam i nazad, tam i nazad, i wszystkie strachy odlatujo.

Ożenił sie ja z osiem, może dziesięć lat temu, niezadługo po tym, jak mama z rusztu zlecieli i krzyży im pękli, odtąd leżeli w łóżku, póki nie umarli, a jedno, co robić mogli, to patrzeć za muchami na pułapie. Zostali sie my wtenczas w chacie jak bez kobiety: tatko, Michał i ja, wytrzymali tak jeden rok, drugi idzie, coraz ciężej: chata niepobielona, koszuli i szmaty brudne, niemyte, chleb co pieczenie zakalcowaty, ni ma komu warzywa dopilnować, na zime półki w komorze puste. Aż tato mówio: dziadziejem chłopcy bez baby, baba tu potrzebna. Żeń sie Kaziuk, ty starszy.

Dorosłość, Małżeństwo

A ja: E mnie tam i bez baby dobrze.

A tato: Baby nie chcesz? Zaraz, zaraz, a może tobie żenidło jeszcze nie urosło?

Urosło.

I umiesz ty obchodzić sie z babo?

Umiem.

Nu to czegoż czekać? Co masz latać po zapłociach jak sobaka, jak ty możesz jawnie, pod swojo pierzyno?

Spodobalo sie mnie to, taka wygoda. Dobra, mówie, moge sie żenić. Ale z kóro? A tato: to już Domin wymyśło.

I Domin, rajko, w czwartek przychodzo.

Swaty

Obuj sie, mówio, bierz butelke, chodź.

Do której? pytam.

Nie twoja rzecz, odkazujo, namocz włosy, zaczesz sie w przedziałek.

To konia nie zakładać?

Nie gadaj tyle.

Wyszli my, idziem śnieg piszczy, aż w drugim końcu wioski słyhać, jak mnie Domin w rajki wiodo. Ale do kogo? Do Mazurzanek? Mijamy. Do Koleśnika Babiatego, który

<sup>116</sup>olątek (gw.) — placek smażony na oleju, ziemniaczany albo z mąki i mleka (racuch). [przypis edytorski]

<sup>117</sup>kumpiak (gw.) — szynka, udziec. [przypis edytorski]

same córki ma? Nie, i jego mijamy! Do Natośnika? Mijamy. Idziem, nie skręcamy i nie skręcamy, zaczyna mnie korcić, z kimże mnie Domin ożenio.

Stryku, mówie, do której idziem?

A co ty dzisiaj taki ciekawy, pytasz sie i pytasz?

Nu bo może naradźmo sie, toż żonka na całe życie.

Oj wej, wielkie mi życie. Chibaż ty nie myślisz tysiąc lat żyć?

Tyle co każdy.

Nu to czegoż!

I prowadzo: może do Jaśka Zembatego, jest tam dwie panny, młodsza nawet na Wielkanoc półceberkiem mnie obląła: obydwie nieczegowate, tylko starsza zęba ma wystającego. Ale Jaśkow mijamy. Może do ryżego Litwina? Stasia niczego sobie, chociaż z jedno nogo cieńszo. Bo chyba nie do Czarnego, tam w samych chłopcow obrodziło. Ale i Ryżych i Czarnych mijamy. Może do Dunaja, do Mani Dunajowej? Ale, dzieżby taka mnie chciała, za bogata, za ładna.

Wtem ze cztery domy przed Dunajem bach! skręcamy! Do kogo? Do Pietruka o co sie rozchodzi! Stanoł ja dęba, do kogo, jak do kogo, ale do Pietruczanki to ja sie zagnać nie dam! Domin oglądajo sie: Ty dzie!

Tu nie chce! mówie i krok po kroku nazad odstępuje.

A to czemu?

A co, nie wiecie? Toż ona bez pindy!

Oj durny ty, durny. Z pindo, z pindo, i to jeszcze jako!

Nie, pośmiewiska ze mnie nie zrobicie! mówie, a Domin caps! mnie za rękaw, i pod pachy, i ciągnio, szamoczem sie, naraz drzwi odmykajo sie, Pietruk pytajo z proga: O co sie rozchodzi? Domin mówio: Ja z Kaziukiem, a Pietruk: Ależ prosim, prosim, o co sie rozchodzi, zachodźcie, i nie ma ratunku, wchodzim.

A jakże, czekano: śmieci przymiecione, garki poustawiane, na szyberku<sup>118</sup> nowy ręcznik, dzieci poobuwane. Panna schowana.

Obtupali my walonki ze śniegu, drapaczem poprawili, wyprostowali sie i rajko pytajo: Czy my aby nie zbłądzilim? Bo słyszeli, że macie jałoszke do przedania? A znajdzie sie, znajdzie sie, mówio Pietruczycha i zapraszajo dalej na chate. Wchodzim, siadamy na razie zdaleka od stołu, na ławie. Nu a jak wam moj byczek sie podoba? pytajo rajko Pietruka. Byczka sie szacuje po dziewięci miesiącach, co wart, na to Pietruk i gadajo sobie o krowach, koniach, gospodarstwie, a ja myślę: możesz to być, co Domin mówio, że Handzia wszystko ma na miejscu! To czemu na zabawy nie chodziła? Czemu na kądzelnikach<sup>119</sup> nikogo nie dopuszczała, jak dzika sie bronila, stołkami rzucała? Zaczepić jo słowem, nie odpowie, przycisnąć dzie po ciemku, rozorze tobie gębę pazurami, wyrwie sie. Pogadali Domin o rzeczach gospodarskich, o zimie, aż mówio: Nu to pokażcie te swoje jałoszke, a może co i wypijem.

Handzia! krzyczjo Pietruczycha do sieniow, a złażno, mamy sprawe.

Załomotało na górze, słyhać złażi dziewczyna po drabinie. Zlazszy, nie wchodzi, w sieniach stoi. To jo Pietruczycha za rękaw wciągajo, dziewczyna staje przed nami czerwona ze wstydu i strachu, ale wyszykowana, w sukience z żorzety<sup>120</sup>, w śniegowcach, brwi węglem podczernione, policzki podkraszone<sup>121</sup> burakiem, ręce złożyła i sie w ziemie patrzy i garbi sie, żeby cycki mniej wystawali, oj wstydliva. Pietruczycha, Pietruk, rajko na mnie patrzo, czy sie nie skrzywie, ja na nio patrze.

I widze dobry kawał baby: dziewczyna gruba, tłusta, cycata. Ręce grube. Nogi grube. Włosy gęste. Nos nieduży. Nie garbata. Nie ślepa. Nie kulawa. Tyle że z to pindo sprawa niejasna, nie gadaliby chłopcy, jakby czegoś nie wiedzieli.

A siądz, mówio do niej rajko. Kole<sup>122</sup> niego.

<sup>118</sup>szyber — zasuwka do regulowania przepływu powietrza w przewodzie kominowym pieca. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>kądzelnik a. prządki — wiejskie spotkanie w jednym domu, podczas którego kobiety przędły, wyszywały, robiły na drutach itp.; młode dziewczyny zwykle zbierały się osobno, przychodzili tam także młodzi kawalerowie, korzystając z okazji do rozmów, żartów i zalotów. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>żorzeta — lekka, przejrzysta tkanina o nieregularnie zmarszczonej powierzchni. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>krasić — czerwienić a. upiększać, ozdabiać. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>kole (daw., gw.) — koło, wokół, obok. [przypis edytorski]

Usiadła na ławie i siedzi sztywno jak święta figura, ja ją z boku oglądam. Szkoda, że ten feler masz, myślę, bo tak na oko to ty niczego sobie.

Nie to, co dobre, ale to, co polubisz, podpowiadają Domin.

I o co się rozchodzi! przytwardzają Pietruk. I w ten moment ona błys! spojrzęła na mnie: pół chwili tego było, ale tak we mnie, w oczy, w sam środek spojrzęła, że jakby mnie kto desko w czoło prasnął: czuć<sup>123</sup> ją z ławy nie zleciał! Zaćmiło mnie.

Jak przeszło, zader ją głowę, w pułap patrze i tak się mnie przedstawiło: dwie głowy widzę przytknięte czoło do czoła, mięciutko, tak czasem krowy przytulo się łbami, jak się wylizo. A te głowy to głowa moja i Handzina.

Jak Pambóg przeznaczy, to i na drodze rozkraczy! mówie i butelkę z palka wyjmuję.

O to to to to! ucieszyli się Domin. I do Pietruczychi: A nieście słonine, zapijem ugode! I buch mnie w kolano, szczęśliwe, że poszło im za pierwszym razem.

A jak my po pół szklanki wypili, taka ochota mnie naperła, że myślę: nawet jak ty tej dziury nimasz, to ja ją tobie zrobie!

Ale nie trzeba było, miała gotowe, i to take, że ósmy rok zatykam i zatknąć nie mogę. A rodzi równo jak maszynka: co dwa lata w kwietniu, dzień, dwa przed świętego Wojciecha, tak że potem całkiem zdatna do polowej roboty: sadzić kartofli, warzywo, pleć<sup>124</sup> len. A robotna jest i zgodna, i pobożna, tak, szczerza to prawda, co mówio: śmierć i żona od Boga naznaczona.

Żona, Gospodyni

Tylko trochu wywidniało, dziad się do nas tarabani, do chaty, o zebraniu pogadać. Pytam się, u kogo nocował: nie chce mówić, kręci, w końcu gada, że spod Dunajowego okna trafił do czyjejs stodoły i w sianie spał. Handzia wydoiła krowy i kręci się koło pieca, dziad, tato i ja naradzamo się, co te urzędniki szykują. Jak całkiem rozwidniało, posłyszeł wurczenie i choć rosa szyby przesłaniała, zobaczyłem łódź, jak sunie z wodą, a prędko, że nogami by z nią nie wytrzymał nawet boso, sini<sup>125</sup> dymek za nią się ściele. Koło grubej wierzb zakręcili na duże rzeki i zginęli za kępami. Nu, podziękujcie Panu Bogu, że tak wyszło jak wyszło, dziad prorokuje, dali wy im nauczkę, zdaje się długo oni tutaj nie wróco. A że uczycielka została? Nie bójcie się, jak nauczy trochę czytać, przyda się: to nie szkodzi, jak kto umie modlić się z książkami.

Nauka, Nauczycielka,  
Książka, Modlitwa

Mała w kołyszce rozbeczała się czegoś, stęka, piszczy: Handzia daje jej soskę z mączko, trochę pomogło. Tato czochrają się na murku, dumają nad urzędnikami. Pytam się o tego złotego konia, czy prawdziwie on tam jest?

Wierzenia

Abo kto wykopał? oni na to. Był, to jest.

Wójt mówił, że to bajka.

To idź spróbuj!

A próbował kto?

Nie próbował, bo trzeba słowo znać, tłómaczo tato, bez słowa możesz i trzy dni kopać i nic, najwyżej nieszczęścia się dokopiesz. Ze skarbami tak już jest. Opowiadają, że jeden w studni szukał, to się studnia na niego zawałiła. Bo złoto przeklęte było. W Dugnielach kiedyś organista zakopał pod jełowcem wielkie złoto: całkiem płytko, na sztych, ale na wierzch nawalił kupę i przeklął: ten moje złoto weźmie, kto te gówna zje! A zakrystian słyszał: odkopał i co? Saganek, a w saganek błoto nie złoto. No i bratniewola, chce nie chce, musiał wziąć gówno w połe: przynios, wysuszył i rzucał po kryszce<sup>126</sup> do zacierki. W miesiąc wszystkie zjad. Wtedy poszed, wykopał saganek, a w saganek prawdziwe złoto! To samo z tym koniem: przekłęcie ma, a czy kto wie jakie?

Mała soskę wypluła i znowu rozbeczała się, ale tak zajadle, że aż gęba jej się wywraca na lewą stronę. Coś jej jest, mówio tato, płaksow dostała, czy co? O Kirelejson<sup>127</sup>, główka jakaż rozpalona!

Dziecko, Choroba,  
Zabobony

<sup>123</sup>czuć (gw.) — omal; odrobinię, trochę; por.: ciut. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>pleć a. pielić — wyrwać chwasty spomiędzy roślin uprawnych. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>sini (gw.) — siny, niebieski. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>kryszka (gw.) — okruszek, okruszek. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Kirelejson — tu jako wykrzyknienie, zniekształ. gr. formuła modlitewna *Kyrie eleison* (Κύριε, ἐλέησον: Panie, zmiłuj się), wielokrotnie występująca w liturgii katolickiej odprawianej po łacinie, przed powszechnym przyjęciem mszy w językach narodowych, a także w litaniach. [przypis edytorski]

Handzia jo kołysz, cycki daje. Nic z tego, beczy jak beczala, rzuca sie w owijaku, a czerwona taka, że krew jej na skóre wychodzi. Tato radzo dluzej nie zwlekać, przeciągać przez chomont<sup>128</sup>! Ide do sieni po chomont: kiedyś Stasia umierała, a przeciągnęło sie jo i wyzdrowiała prawie od razu. Nu bo jak chomont nie pomoże, można zbijać deski. Przeciagnęli my Jadzie przez dziure: tam nóżkami do przodu i nazad główko, jak sie rodziła. I jakby podobrzało: ucichła trochu, już nie wrzeszczy, popiskuje tylko jak ptaszka, Bogu Dzięki, mówio tato, chwala na Wieki Wiekow. A dziad dziwi sie, jakie to my mamy sposoby: Widział ja święte osobe, jak uzdrawiała głosem, widział ja, jak jeden nieboszczyka wskrzesał rękami. Ale chomontem? Tego ja nie widział!

A jak to rękami?

O, wskrzesać rękami nie każdy może: tylko osoby od Boga wybrane. Nu, to Bóg Zapłać dobre ludzi za gościne, pójde ja dalej. Handzia prosi poczekajcie, pośniadacie z nami, olatki z siary smaże! On na to, że olatki z siary dobra rzecz, ale słońce wyszło, nie chce sie w chacie siedzić.

Prawdziwie, pogoda zrobiła sie czysta, mroźna, można by do lasu jechać: Odziewaj sie Ziutek, mówie, brzożke przywieziem, na śniadanie wrócim.

Chomont biore i niose do chlewa, do Siwki. Założywszy, wiodo jo na gumno Michałowe, do woza, woz mamy spolny, u Michała stoi. Zakładam duge<sup>129</sup> w używy i hołobli, zasuponiam<sup>130</sup> kleszczy<sup>131</sup>, lejcami, pile spod okapu biore, pile też mamy jedne, tatowe, i jade na droge. Tu, czekawszy na Ziutka, woz skracam, ściagam rozworze<sup>132</sup> na pierwsze dziure. A jade wozem gołym, bez gnojawek<sup>133</sup> i spodówki<sup>134</sup>. Ziutek wychodzi, w Handziny pólkożuszku i drewniakach, sznurkiem przewiązany, w mojej czapie z uszami. Olatka je. Na co drzewo z lasu wozic, jak pod chato rośnie, mówi i pokazuje ręko klona, ot, smurgiel jeden, olatki jego ciągnie i wykręca sie od drogi.

No, no, zasańcu, klona ty sie nie czepiaj, mówie, siadaj. Bierz lejcy!

Daje lejcy smurglowi, niech bawi sie kierowaniem, małe strasznie lubio lejcy, zaraz rozsiada sie na rozworze, furmanuje. Ja na tylniku<sup>135</sup> siedze, plecami do konia i patrze sobie na chate, jak zostaje sie za nami.

Klon nad chato sie rozcapierzył, wielki, teraz sie prześwieca, bo bez liści, ale wiosno, jak zazielenieje, to dom przykrywa gałęziami niby czapo, okna zatula, aż w izbach ciemnieje. A w odziomku<sup>136</sup> pogrubiał, że rękami sie jego nie obejmie, i rośnie, co rok grubszy, podwalina od dołu wysadzona. Tego klona ni masz prawa tknąć, zasańcu, choćby palić słomo przyszło, mówie, on moj brat!

Brat, cieszy sie smurgiel, lejcami trzęsie, tatow brat?

Tłómacze: tego dnia, co ja urodził sie, babka urwali gałonzke ze swojego klonu, tego, co u Mazurow przy stodole, i wsadzili koło węgla<sup>137</sup>. Nu i przyjął sie, i rośnie ze mno. A jakby Nie Daj Boże kto jego ścioł, to i mnie podetnie! I mówie chłopcewi, że on też ma brata, ten klonik za stodoło to jego rówieśnik. Dziwi sie: To wszystkie drzewa przy domach to braty?

Prawie wszystkie. I w lesie też nie można ścinać: nie wiadomo, kogo sie ścina.

To jakby drzewow nie ścinać, ludzie nie umieralib?

<sup>128</sup>chomont (gw.) — chomąto, część uprzęży konia pociągowego, rodzaj wyścielanej drewnianej ramy zakładanej na szyję zwierzęcia. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>duga, używy, hołoble — elementy uprzęży końskiej w zaprzęgu jednokonnym używanym na wschodzie: duga to kablak z drewna ponad chomątem, utrzymujący je w stałym położeniu i rozpychający na boki dwa boczne dyszle, zwane hołoblami; chomąto z duga oraz z hołoblami łączono za pomocą użew, pętli rzemiennych. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>zasuponić — ścisnąwszy kleszcze chomąta, związać je suponiami, czyli służącymi do tego rzemieniami. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>kleszcze — tu: kleszczyny, element chomąta końskiego, rozwierany u dołu i wiązany rzemieniami. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>rozworze — długi drog wykonany z mocnego drewna łączący przednią oraz tylną część wozu; dzięki możliwości umieszczania żelaznej zatyczki w różnych otworach w rozworze można było wydłużać lub skracać wóz zależnie od potrzeby. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>gnojawki a. gnojnice — deski zakładane po bokach wozu, używane podczas wożenia gnoju. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>spodówki — spodnie deski wozu konnego. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>tylnik — tu: tylny szczyt wozu. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>odziomek — bliższa ziemi, dolna część pnia drzewa. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>węgiel — narożnik budynku. [przypis edytorski]

Gość

Drzewo

Grzech

Nie umieralib.

To czemu ścinają?

A czym majo zimo w piecach palić? Gotować, grzać trzeba, trzeba i ścinać, i to nie grzech. Ale bez potrzeby ściąć abo pokaleczyć, o, grzech straszny!

Gadawszy tak, wyjechali my za wioske. Koło grubej wierzby objechali kolano małej rzeczki i przez błotko przejechali na popław<sup>138</sup>, pusty, bo Filip pasie tylko do Zaduszkow. Popław pocentkowany czarno, pilchi zryli, ziemia czarnieje, oznaka, że zima idzie letka.

Mijamy gruszke Orelowe. Skręcaj, mówie, kłoda.

On: Jeszcze czas.

Mówie skręcaj, to skręcaj, woza szkoda.

Tyłem siedzicie, nic nie widzicie, on na to. Jeszcze czas.

Oglądam się, prawdziwie, coś się mnie pomyliło, bo do kłody jak przez chate.

Zasem lubie jechać plecami do przodu. Plecami nie widzisz, potylicy nie wypatrzysz, nie wiesz, do czego dojeżdżasz, drzewa, pola, kamieni pokazują się od razu znikąd: skądś zza uszow wychodzą z niczego. Tak samo droga, nie wiadomo, co się wysunie spod woza, jaka kądoba<sup>139</sup>, który kamień, czyja kałuża, a lubie zgadywać, co kiedy, co po czym, to ciekawe. Ale tyłem jakoś tak jest, że jedno od drugiego jakby czuć dalej, niż jak się jedzie przodem i widzi się zawczasu.

Objechali my kłode, co leży na błotku wpoprzek koleinow, i z lewej strony pokazuje się żyto Jurczakowe, zmarznęte, ale zielonkawe: Siwka dochodzi do Jurczakowej jarzębinki, zgaduje ją, żeby się odbić za tamte zmyłke.

Dochodzi, przyznaje Ziutek i zaraz z lewej strony pokazuje się mnie jarzębinka.

Teraz będzie kamień w koleinie, przepowiadam i rękami się podpieram na tylniku, żeby dopy nie zbiło.

A jakże, podrzuciło. Patrze w ziemię: powinna wysunąć się spod nogow Koleśnikowa plecha<sup>140</sup> z dziewannami, potem trzy małe kamieni, Wronow kolek. Wysuwają się. Teraz zakręcik koło wierzby, co Wrona zamarz, mówie i, a jakże, woz zakręca i zaczyna pod górę: będzie Szymkowa górka, na niej dwie brzożki.

A czyje to siostry? pyta się chłopiec.

Czyje, nie wiem. Ale pamiętam, my na nich kiedyś hojdawke<sup>141</sup> robili na Wielkanoc. A kręciła się, ech, Stacha Mazurow aż nad czubki wynosiło. O, ładnie Dunajowe żyto wzeszło!

A bo ono Dunajowe? dziwi się chłopiec.

A to nie widzisz!

Nie wiem, przyznaje się, ja nawet nie wiem, które tu nasze!

Jak co rok porzesz ze dwa razy, pognoisz, posiejesz, zbierzesz, oho, i bez oczow poznasz wtedy swoje płoske<sup>142</sup>, pocieszam chłopca. Czyż on nie widzi, jak kto orze? Dunaj orze wysoko, przy miedzach i od drogi daje brożne<sup>143</sup>, głębokie, zaraz dojedziem do drugiej jego płoski, sam pozna. A weźmy Babiatego: toż tu żyto siane jak dla wróblow, niedobronowane, miedza ponadżerana, prawdziwie babskie oranie. Każde pole podobne do gospodarza, a gospodarz do pola. I chaty, i chlewy, i krowy, i koni do gospodarza podobne. A gospodarz do nich.

Smurgiel nie rozumie, jak chata może być podobna do człowieka. A może, może tłomacze, Dunaj jak odkupił od Domina łąkę, co, nie pogrubiał? Pomalej chodzi, grubiej gada, jakiś ważniejszy. A Domin ścieniał, i wszystko u niego chudsze: kobyła, krowy, stodoła. A na sokora ty już włąził? pytam się, bo mijamy.

Włąził, ale tylko do gałenzy z guzem, przyznaje się.

E, to gówno ty widział. Kościola w Surazu nie widział?

Nie.

<sup>138</sup>popław — podmokła, bagnista łąka. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>kądoba (gw.) — jama, wybój. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>plecha (gw.) — miejsce nieobsiane zbożem; por. daw. plecha: miejsce wyłysiałe, tonsura. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>hojdawka (gw.) — huśtawka. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>płosa (daw., gw.) — działka ziemi uprawnej, pole. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>brożna (gw.) — bruzda. [przypis edytorski]

Jak wleziesz do tej gałenzi co jemiola, o, wtedy zobaczysz. A jak wleziesz na sam czubek, może i zobaczysz cerkiew w Rybołach<sup>144</sup>: ale to musi być niedziela i po obiedzie, żeb ze słońcem patrzeć, kto ma dobre oczy, może dojrzeć.

A miasto też widać?

Białymstok? Nie, za daleko.

Akurat wjechali my na kurhan i popatrzył ja sobie na stare chwoje i rosochaty jełowiec. Kobyła zwolniła, zmęczyła się wciąganiem. Z drugiej strony mogiłki się zaczęli, murek z kamieniow i krzyży pod chwojkami i brzożami. Żegnam się, a smurgiel pyta, czy poszedby ja noco na mogiłki.

Nie próbował, nie bede i tobie nie radze, tołkuje zasańcowi. Wrona sprobował, to tak jego stańcowało, że jąkał się do śmierci.

Przestraszył się, ucich trochę, ale zaraz się pyta, czemu te brzoze nazywajo rozpleciona Marysia. Czemu? A bo ludzie bajo, że byli kiedyś mąż i żona, bardzo się lubili, ale on pojechał raz na rynek i przyszed do niej żyd i dał jej pieniądzow, żeb z nim w łózku legła i ona się połakomiła: leżo, aż tu mąż wraca! I Pambóg za kare tak dał, że ten żyd zamienił się w osine, a żonka w brzoze i cały czas płacze, rozpuściwszy włosy. A nazywała się Marysia, to i brzoze nazywajo Marysia. A osine Judaszowa. A że mąż nazywał się Dąb, to i drzewo nazywajo Dębem.

I tak do lasu dojeżdżamy, i chłopiec pyta się, czy wszystkie drzewa wzięli się z ludzi?

Wszystkie, tłomacze, i wielgie kamieni i niektóra zwierzyna też. O, dziencioł, słyszysz? A skąd wziół się? Był kiedyś cieśla na zarobek bardzo łakomy: raz nawet w niedziele belke ciesał! I za to przemienił jego Pan Bóg w dziencioła, niech sobie rąbie i w niedziele. A niedźwiedz? Był pszczelar pijanica, chciał po pijanemu oszukać Pana Boga: przebrał się w kozuch welno do wierzchu. To i ostał przemieniony w niedźwiedzia. A bober? Toż to rybak! Łapał ryby, a szed Pan Bóg za dziada przebrany, prosi: daj rybe mnie biednemu. A rybak klepnoł się po dópie: o, tu dla ciebie ryba, darmozjadu, mówi i piernoł. I od razu jemu rybięcy ogon wyrasta i szerść, i odtąd bobry w wodzie mokno i popierdujo z zimna.

Gadawszy, przyjechali my i stanęli w brzezynie. Wyłożył ja kobyłe z hołobli i puścił na mech. Sami z piło i siekiero szukamy dobrej brzożki.

A wilk? pyta się chłopiec.

Z psa. Za to, że Pana Jezusa ukąsił.

A zając?

Z chłopczyka, co od różańca uciekał.

O Jezu! To wszędzie ludzi, poprzemieniane!

A tak. Toż mówio: las słyszy, pole widzi. I nigdzie nie schowasz się, wszystko na ciebie patrzy, czy kradniesz, czy oszukujesz, czy robote marnujesz. I temu trzeba żyć jak Pan Bóg przykazał.

Bo w co przemieni?

A pewno!

Znaleźli my brzoze nie za grube, nie za cienkie, i trochę dupławe<sup>145</sup>, pod obuchem huczala. Obciesał ja kore z dołu, klękamy, za piłe się bierzem. Napiłowali się niemało, zaczem<sup>146</sup> przesmulali<sup>147</sup> niższy śnit<sup>148</sup> z jednej strony, potem wyższy z drugiej i chylić się zaczęła. Szczęśliwie nie zaklinowała się w gałęziach: rymnęła o ziemię, huknęło, aż Siwka spłoszyła się w jełowcy. Chłopiec stoi czerwony od roboty, ale widze, rekami ślozy wyciera, jakby becział.

Czego beczysz?

Ktoś umar, mówi i popłakuje.

Nie płacz, toż ty nie baba, w nogawkach chodzisz!

Ale my kogoś zabili!

E tam, bajki, nie płacz już.

Toż wy sami opowiadali!

Opowiadać można, ale kto tam wie, jak z tym naprawde.

<sup>144</sup>Ryboły — wieś w pow. białostockim. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>dupławe (gw.) — o drzewie: mające w pniu dziurę, dziupłę (gw. *dupła*). [przypis edytorski]

<sup>146</sup>zaczem (daw., gw.) — po czym, następnie. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>smulać (gw.) — trzeć jeden przedmiot o drugi. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>śnit (gw.) — miejsce przecięte przez piłę. [przypis edytorski]



Obciopuje gałęzi, chłopiec odciąga ich na kupe z boku, a przy robocie i beczyć przestał. Potem my brzoze popiłowali na kawałki i kloc po klocu załadowali na woz. Ruszamy, biały pieniek został za nami i kupa gałęzi: idziem koło fóry, żeby popychać, bo pod górke kobyła sama nie wciągnie, choć stara sie, stęka, paruje. I tak prawie nie mówiwszy, wygadawszy sie w pierwsze strone, przechodzimy z brzoza koło dębu, Marysi, judaszowej osiny, między mogiłkami a staro chwojo i jełowcem z rosochami<sup>149</sup>, koło sokora, koło wierzby, co Wrona pod nio zamarz, przepychamy woz przez kamień w koleinie, mijamy jarzębinke Jurczakowe, objeżdżamy kłode i przez błoto dojeżdżamy do większej rzeki: koło grubej wierzby skręcamy wzdłuż małej rzeki do wioski, i teraz, chata po chacie, dojeżdżamy do Grzegorychi i zaraz zwracamy na nasze gumno, i zatrzymujęm sie przy gałęziach pod stodoło, tam dzie ta bez ogona zatraciła jajko.

A tu Handzia z chaty wylatuje: ręce załamane, włosy potargane i beczy, beczy, a coż u czorta z tym beczaniem, ileż beku słuchać można! Żeby bliżej podleciała, oj, dostałab po plecach, nie lubie, choroba, nie lubie, jak baby płaczo! A ta: Jadzia, Jadzia, Jadzia! Co Jadzia? wurkne, kobyłe rozlejącywawszy, a żonka: Kruszynka moja, iskierka małeńka, ptaszeczka niewinna, kwiatuzek śliczny! Tknęło mnie: Umarła? pytam, ale nie pytanie to, a pewność. Handzia nie odpowiada, tylko Słoneczko moje, radość moja, szczęście moje! Zawiązuje ja lejcy na kłonicie<sup>150</sup> i krokami długimi lece, a w głowie strach sie kotłuje: ot tobie masz, ciele wywróżyło, psiakrew, zarżne, nima co, zarżne abo utopie, toż ono nas wszystkich po jednemu wytraci!

Śmierć, Dziecko

Rozpacz, Matka

Do kołyski przystępuje: leży ona, Jadzia, cichutko, mordeczka biała, oczki zamknięte, nie rusza sie. Może śpi? Może w zachwyceniu, a nuż tylko duszyczka wyleciała dzie na słonko i zaraz wróci? Tato modło sie na murku, pociorkujo różaniec, dzieci stojo po kątach wystraszone, Handzia koło progu kłęczy, czołem w deski bije, zębami skohycze, bez chustki, włosy rozpuszczone, słozami dzieci polewa.

Rozpacz, Matka

Płacz, mówie, płacz, zmarnowała ty dzieciaka!

Ja? O Jezus, Kaziuk, ja? Na moich oczach umierała!

Trzeba było robić coś, psiakrew!

Ale co, nu co ja mogła zrobić, człowieku, co? Oj, Bożesz moj, o ja nieszczęśliwa!

Zawołać kogo było!

Ale kogo, kogo?

A Dominiche! Abo Kuśtyka! A dziad dzie, pytam sie tata, bo z nio żadne gadanie.

Wyszed zaraz po was.

Coś o cudach wywodził, może by co jeszcze pomog?

Za późno, człowieku.

Może ona śpi?

Tato pokiwali głowo na takie moje gadanie, odkrencili sie twarzo do okna.

Zdejmuje czapke. Żegnam sie. Na stolku siadam. Siedze. Nu tak. Umarła. Nu tak, nu tak, zmarnowana. Nu tak. Nu tak. Nu tak.

Nu tak, mówie do nich, a najbardziej do Handzi, pocieszyć jo trzeba, nu tak. Ech. Trudno. Tak musiało być. A ty nie becz, nie becz babo, Pan Bóg dał, Pan Bóg wziół, urodzisz jeszcze niejedno. Nie pierwsze ono i nie ostatnie, ścichnij!

Rozpacz, Matka

A ta lamentuje, co za dzieciak był, jaki pojętny, mądry, niepląksiwyy, niewybredny, żerny, niekaśliwy, czysty, ach jaki wesoly, ładny, jak ptaszeczka, jak laleczka, jak wiwióreczka. Widze: na kominie talerz z ołatkami, ołatki z siary i mąki, takie placki dwa razy do roku, dwie krowy u mnie sie ciele.

Daj jeść, mówie do niej, a do Ziutka: nie gap sie, siadaj, zjemo! Zjemo i pomyślim, co robić. Abo nie: potem zjesz, teraz leć po dziada.

Poleciał. Siedze, jem placki z zacierko, na nic nie patrze. Jem. Jem, bo dobre, co siara to siara. A Handzia: O Jezu, ty jesz tak, a ona? I w bek!

Ty nie wiszcz, pocieszajo tato, wszystkie umrzem. A może Pambóg zawczasu nad nio ulitował sie, bo życie przed nio stało ciężkie, a? Płacz ty, ale nie za dużo: pożyła jak aniołek

Śmierć, Dziecko

<sup>149</sup>rosocha — rozwidlony pień drzewa. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>kłonica — element wozu, drąg drewniany mocujący drabiny (burty wozu). [przypis edytorski]

i odleciała jak aniołek, na pański chlebek, słodziuśki. Nie bojs, Pambóg wie, co robi, o, zobacz ja! Czy ja skarże sie komu, że nie zabiera mnie i nie zabiera? Nie skarże sie ja, choć kto ja teraz? Stary trep. Śmieć. Tylko wziąć za kołmierz i wyrzucić dzie w wędol<sup>151</sup>, lepiej byloby mnie nie żyć. A żyje!

Tknęło mnie: może Śmierć po was przyszła i zmyliła sie?

Nie zmyliła sie, już ona nie taka zmylliwa, pocieszajo tatko, stoją i stoją nad kołysko, takie zimno w chacie było, że nogi marzli. Już tam ona przypatrzyła sie dobrze. E, lepiej jej nie wspominać, zarazy, bo weźmie i zawróci.

W samej rzeczy, straszno z śmiercio w jednej chacie być, choć ta nieboszczka mała jeszcze. Co z nio zrobić: nie kot to, ale i nie człowiek jeszcze. Może dziś pochować? Do obiadu jeszcze kawalek, zdążyloby sie. Co?

Ona pojękuje: Bez serca ty! Czy to skorupka po jajku, że fajt i wyrzucona? Toż ona dziś jeszcze cycke ssala!

Dzieciaka, póki nie chodził, można chować i tego dnia, co umar, obstajo tato za mno, byle za widnia, póki słonko nie zaszło: po ciemku nie trafiłoby do nieba.

Do nieba? Toż ono już w niebie, mówie, czy to czym zgrzeszyło? Czy nie chrzczone?

Tato chwalo, że umierało cicho, nie było widać, jak para wyleciała. Nic nie płakało. Przestało płakać, myślę: czemu nie płacze? Wołam Handzie, zobacz, mówie, co jest.

Za oknem głowy mignęli i zaraz do chaty wchodzo dziad z Ziutkiem: żebraczysko żegna sie nad kołysko, a Handzia przed nowym człowiekiem znouś w bek: Iskiereczka moja, anioleczek, jagódka, wiwióreczka, laluńka! Beczy i włosy szarpie, dziad sie na nio ogląda, kurczy sie, marszczy, już i oczy obciera, widać miętkiego serca jest, już i wzdycha, Boże, Boże, za co tak ludzi katujesz, pojękiwawszy, klęka koło kołyski, modli sie, postępuje jak baba.

Płakać to i baby umiejo, mówie, wy coś zróbcie! Toż chwalili sie cudami!

Aj, jak to jego ukuło! Kiwać sie przestał, oczy rękami podper i siedzi, siedzi na piętach, plecy jego widze naprężone. Wtem wstaje. Wstaje, prostuje sie, obydwie ręce nad kołysko wycionga. I kamienieje!

Cicho sie robi, że słyhać, jak robaki ściane jedzo!

On stoi tak z wyciągniętymi rękami, oczy zapluszczone, zęby zaciśnięte, widze jak twarz jemu czerwienieje, rosa na czoło wychodzi! Wtem, o Panie Jezu, nad nim, nad jego głowo widze blask, jak nad świętymi!

A on głosem z innego świata ogłasza:

Nie umarła dziewczeczka wasza, ale śpi. Dzieweczko, mówie tobie wstań!<sup>152</sup>

A ręce trzyma i trzyma! O Jezu!

Tato zwałajo sie z murku na kolana, dzieci klękajo, Handzia oczy wybałusza. Ja siedze z ołatkim w rękę, ze strachu ruszyć sie nie moge, przykleiło mnie do stolka. Cud wisi w powietrzu, coś sie zaraz stanie: może jasność buchnie z pułapu, aniołowie wejdo, dziad w świętego sie przemieni? Strasznie jest, pobożnie i nie do wytrzymania! On ręce trzyma nad kołysko, z palcow iskry leco, a cały taki natężony, że drży. A z nim zaczynajo drzyć i dzwonić miski, kubki, fajerki<sup>153</sup>, brzęczy wszystko w coraz większym wizgu, cieie dusi sie, wyciągnęło szyje i beczy jak zając w pętli, brodatemu ręce sie trzęso, trzęso, trzęso! ja już nie moge wytrzymać tego wizgu, blasku, świętości.

Naraz ręce dziadowi leco bezwładnie, mięknie cały i siada na murku jak worek sieczki. I siedzi przy tatku, ale jaki! Złachmaniony, jak strach po deszczu, jak odzienie rzucone w ką: głowa leży na torbach jak słomiana, ślozy ciekno skosem przez nos po brodzie.

I nie tak już mnie szkoda dzieciaka, jak tego dziada: jakby sie widziało rybe dochodzące na brzegu. Abo konia ze złamanymi nogami jak zdycha. Abo zajączka kapijącego<sup>154</sup> w trawie, przeciętego koso na pół.

Zjedzcie, dziadku, zacierki z ołatkim, pocieszam, dobre olatki, z siary.

Pogrzeb, Dziecko

Zaświaty

Rozpacz, Matka, Śmierć

Śmierć, Cud,  
Rozczarowanie

<sup>151</sup>wędol (gw.) — wądół, wąska, głęboka dolina; dół, jama. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>Nie umarła dziewczeczka wasza, ale śpi. Dzieweczko, mówie tobie wstań! — słowa Jezusa w podobnych okolicznościach wskrzeszającego dziewczynkę (por. Mt 9,18–26; Łk 8,49–56). [przypis edytorski]

<sup>153</sup>fajerka — żeliwna obręcz, służąca do regulacji wielkości otworu w płycie kuchennej. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>kapięć (gw.) — marnieć, niszczyć; ginąć, umierać. [przypis edytorski]

Żebraczysko wstaje, a oczami po podłodze ucieka, wstydzi się. Cóż ja, grzeszny człowiek, mówi, torby ściga, sznury poprawia, cóż ja? Dziad, dziad, tylko ech tyle moze, co zmówić pacierz.

I wychodzi jak ciamajda niedołęga, zgarbiony, ledwo nogi przez próg przeciągnął.

A dzieciak leży jak polano, tylko się kołyska na sznurkach okręca i tak smutno, tak smutno, tak smutno. Myj, nakazuje Handzi i ide po deski.

Śmierć

Najsampierw się wpuściło kobyłę do chlewa, żeb nie przestudziła się na dworze, zgrzana była. Potem z Ziutkiem wyciągnęli my spod słomy deski z rusztow, zanieśli na kozioł do pilowania: przerzneli na kawałki, cztery dłuższe, dwa krótsze na szczytki. Kończym pilować, raptem Ziutek ogląda się na fure, na białe kore: O Jezu, przez nas, mówi i puszcza pile, my Jadzie zarznąli!

A ścichnieszże, prosze, ty tylko gadać i płakać! Ciągaj.

Patrze na deski, czy nie za krótkie, ciasne spanie by miała. Nie, nie powinna. Najgorzej z goździami będzie. Wysyłam chłopca do Kramara, osiem goździow niech przyniesie. Ale zdaje się w kożuszku jeden jest: macam, a jakże, jest. Krzycze za nim, że siedym, siedym przynies, niech Kramar policzy za żyto! Póki ja deski ostrugał, dopasował, z czym zbił w skrzynke, Pietruczycha z Dominicho i Handzio obmyli dzieciaka, wystroili w białe sukieneczki i czepuszek z sinimi tasiemkami. Leży na ławce z rączkami związanymi szkaplerzykiem<sup>155</sup>, świeczka pali się nad nio. Przełożył ja jo do trumienki, na wióry, a Dominicha mówio: czegoż czekać? Dawajcie zmowim w głos Anioł Pański i wszystko.

Zmowilim za Dominicho, potem ja święcono wodo pokropił biedaczynke i wierzchnie deske dwoma goździami przybił. Handzie trzymali tatko z babami. Zaraz Dominicha świeczke gaszo, a ja biore pod pache skrzynke, rydel, ide na mogiłki, kobiety zostajo się Handzie pocieszać, nie puszcza jo jej za trumno: mogłoby zaszkodzić, więcej by nie zacieżyła.

Śmierć, Pogrzeb

Na drodze Dunaja spotykam, dokądś szli za interesem. Zatrzymuj się. Co, umarło? i po skrzynce patrz. Najmniejsze?

Najmniejsze.

Szkoda, wieczne odpocznienie daj jej, Panie, choć prawdę powiedziawszy, nie było po czym. Dziewczynka?

Ale też szkoda.

Ona zdaje się kwietniowa? Hm, to szkoda, żalujo Dunaj, podchowana, jeszcze z pół roku i sama by rosła.

Pewnie, starsze by pilnowali.

O, tak, człowieka wychować ciężko. Po mojemu jeden dzieciak kosztuje zachodu więcej niż ze trzy cielaki!

E, trzy nie, mówie, prawda, przy dzieciaku więcej lataniny niż koło bydłaczka, ale to baba lata. I po drugie dzieciak tyle nie zje co jałoszka.

O, wa! Ale jałoszka już po trzecim roku mleko da! A córka, w ile lat? I jeszcze trzeba dolożyć, żeby jo wzięli! Nie ma to jak syn, bodajby się na klepisku rodził: pastuszek, robotnik, podpora na starość. Nu, ide, w sprawie szkoły latam!

A co, będzie ta szkoła?

O, żonka z uczycielko już izbe szykuj: sprzątaj, bielo. Nu idź z Bogiem.

Natośnicha z Antochowo przez płot gadajo: rękami spódnicy poodciągali od kolanow, szczo na stojąco. Mnie zobaczyli, przestali.

Umarło? pytajo Natośnicha.

Ehe.

Najmniejsze?

Ehe.

Baby żegnajo się, kiwajo głowami: A jak Handzia? Mocno płakała?

Mocno.

Śmierć, Dziecko, Córka

Śmierć, Dziecko

<sup>155</sup>szkaplerz — dwa małe kawałki materiału z imieniem lub wizerunkiem Matki Boskiej lub Chrystusa, połączone tasiemkami, noszone na piersiach, pod ubraniem; sukieny szkaplerz bywa zastępowany medalikiem. [przypis edytorski]

Ot babska dola, wzdycha Antochowa: nanosisz się tego, wycierpisz, nocami nie dośpisz i masz! Jak w dópe wsadził!

E, czemu, przeciwio się Natośnicha, będzie miał Pambóg aniołka.

Pambóg tak. Ale co matce z tego?

Nie gadajcie, nie narzekajcie: zawsze to w razie czego wstawi się, pomodli.

Jak nie zapomni, mówie i ide.

Przekładam skrzynkę do drugiej renki, bo zaciężyło: niby tylko cztery deski, niby nieboszczka od kądziolki<sup>156</sup> nie większa, ależ póki ja jo na mogiłki zaniós, rence wyciągnęli się mnie do pół hydrow. Nawet ładnie tutaj, na mogiłkach, za dnia, przy pogodzie. I niestraszno. Ale dzie ja ciebie nieboraczko pochowam? Bo chyba nie ze starymi: o czym ty bedziesz gadać ze starymi, jak ty ani lnu nie przędła, nie tkala, sierpa w ręku nie miała! Z ptaszeczkami tobie świerkać, tak, koło brzożki my tobie pościelem: bedziesz patrzyć, jak pączki się rozkręcają, zielenieją gałązki, wróbelki skaczo.

Ale grunt przemarznięty, z wierzchu skorupa, nie za bardzo ona rydła chce. Jakoś przebijam się, a głębiej piach już i całkiem letko. Wykopawszy jame do paska, wpuścił ja trumienkę na dno, uszykował, żeb prosto stała, popatrzył trochu z góry, poodpoczywał, przeżegnał się i zawałił. Potem uszykował z ziemi kopczyk, uklepał zgrabnie, a na wierzchu wyrzył trzonkiem krzyż. Nu i to by było wszystko. Aha, jeszcze pacierz zmówić nie zaszkodzi. Klękam. A powietrze przyjemne jest, suche, mroźne, trawy, choć przemarznięte, śmierzdo ładnie kiszonym. Nu, ostawaj się z Bogiem, ptaszeczko.

Z bramy wychodzę, a tu stara chwoja naprzeciwko stoi za drogo jak dzwonnica. I jełowiec z rosochami.

Zobaczyć drzewo z bliska chyba nie grzech? Dzień, widno, słońce na niebie, czegoż boić się? Zobaczcie!

Górka tu łysa, nikt nie orze, bo żwiry, miejsce akurat zającam na wesela, tylko suche dziewanny sterczo. Podchodzę pod same chwoje, szumi jak nie z tego świata, ależ te choiny szumio, jaki to szum majo, jakby wszystko wiedzieli! Bo musi i wie ona niemało, taka stara chwoja. Jełowiec też nie wiadomo, ile ma, sto lat czy tysiąc, słyszał kto kiedy o jełowcu do pół chwoi wysokim! Kiedyż urosnoł? Wieków trzeba było.

A ciekawe, ciekawe, jak ten koń leży? Na boku? A może stoi? Jezu, tyle złota, jak to jest, że tyle złota leży tuż tuż pod ziemią i nima żadnej drogi do niego!

E, pewno tego konia nima, musi prawdę mówił wojt, że stare wydumali take bajke, żeby dzieciom opowiadać wieczorami. Tato mowio, że przekłety. Ale jak on naprawdę był zakopany, to choć przekłety, musi tu leżeć: jak nie w złocie, to w żelazie, drzewie, abo i w gnoju, ale coś być musi. A przekłęcia Szymon wiedzo<sup>157</sup>, umieją zamawiać choroby, błogosławić, umieją i przekląć: to może i konia odczynić z błota czy gnoju umielib? Ciekawe. Ale rydel, toż ja rydel na ramieniu trzymam! Strach skądś się bierze, żeby Broń Boże ziemi rydłem nie dotknąć. Nu ale jak dotkne troszku, czuć, czuć, toż za to ogień chyba nie spali, toż ja kopać nie chce. Może dotknąć? Coś ciągnie, ale coś jeszcze mocniej za rękę trzyma. Jedno nagina, drugie odgina, stoje w strachu coraz większym. Aj, jakby tak ustawić pod jełowcem stoły, a na nich rozłożyć te bogactwa, co wójt naopowiadał, stoły z misami, w misach wyroby z mięsa, kumpiaki, smażona wętroba, saltysony! A między nimi cukru kupa wielka jak piachu. Marmulady jak błota. A słodkich żydowskich bułkow cała kopca<sup>158</sup>!

Ale czemu ręki z rydłem opuścić nie mogę? Ręka mięknie, bezwładnie. A może tam w ziemi, pod jełowcem, może co czarnego siedzi? Kudłate, rogate, morda czerwona i pilnuje konia i teraz na mnie przez ziemię patrzy! I stoje tak ni fte ni wefte, nogi z kamienia, głowa z kamienia, tylko oczy wszystko widzo, uszy słysz!

I naraz szurnęło coś za plecami po gałęziach, zleciało! O nie, to nie gałąska: o ziemię stuknęło jak kopytami, duch, czort, może Grzegorz! Ojezu, szarpnęło mno, aż czapka zleciała, porwało mnie, pognęło z górki na prostki przez zagony miedze, brożny, krzaki, oj, widział kto, ludkowie, konia, jak ucieka przed wilkami, zająca, jak wieje przed psami, jak takiego nogi niosę? Tak i mnie nieśli, byle dalej od jełowca. Ojezu, do wioski, do ludzi! Aż przy pierwszych domach popuściło: kładę się na Dunajowym płocie i dycham,

<sup>156</sup>kądziolka — zdr. od kądziel: pęk włókien przygotowanych do przędzenia. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>wiedzieć (daw., reg.) — tu: znać. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>kopca — kopa siana a. zboża; kopiec. [przypis edytorski]

Pogrzeb

Strach

dycham, dycham, jakby rok żył bez dychania, rozum jeszcze kołuje, ale dycham, dycham, pamięć jakoś wraca się, spoglądam po sobie: cały, żywy, rydel w ręku. Tylko czapki nima, ale to tam czapka, Chwała Bogu, Bogu Dziękuję, że głowy nie ukrenciło.

A chodź tu, wołajo Dunaj z ganku, co tobie, człowieku, klepke tobie urwało?

Oj, stryku gorzej, dycham, gorzej! Zdaje się Grzegor!

A zajdź, wołajo.

Zachodze. Jest uczycielka, jest Dunaj, Dunaicha i Kozakow Stach Jej Bohu. Uczycielka chodzi wielkimi krokami pod ściano, tam i nazad, Dunaicha ściany bielo, Stach Jej Bohu dechy hebluje, długie.

Uczycielka, jakąż ona wysoka, większa ode mnie, długa, cieniutka. A uroda cygańska, oczy czarne, włosy czarne kręcące się, cera czarniawa. I żadnej sodomy gomory na niej nie widać: młodziutka, milutka.

Co cie gnało, mówio Dunaj, wilki?

Grzegor!

Abodajby jego małanka<sup>159</sup> spaliła, co on już dokazuje, ten Grzegor! klno Dunaj. Że to ni ma na niego sposobu! Opowiadaj.

To im opowiadam, jak było: stanął ja pod chwojo, popatrzeć na jełowiec z rosochami, co mówio, że pod nim złoty koń zakopany, aż tu coś z tyłu jak nie skoczy na mnie, cap za włosy! Jakoś udało się wyrwać, tylko czapka została się w jego rękach. Pewno zadusić chciał!

Nu i co? pytajo się Dunaj uczycielki. A wy wczoraj nam tłómaczyli, że duchow nima!

Jakże nima, ja na to, wczoraj ja na własne uszy słyszał Grzegora, jak cepem młocił w stodole.

Uczycielka dawaj wypytywać, na co on umar ten Grzegor. Mówim, że przy sianie dziewiętucha jego ukąsiła, taka kuzaka<sup>160</sup>, co jak ukąsi, to dziewiętego dnia się umiera. A wypalić jad żelazem, ona na to. My: nie, nic z tego, nima na hadzine ratunku. Ona: A czemu niby Grzegor ma straszyc? My: naznaczony był, białe włosy miał, białe brwi, czerwone oczy, bezdzietny!

Uczycielka kręci głową, śmieje się, tłómaczy, że mnie się wydało: chce pan, zaraz pójdę z panem po czapkę i nic mnie za włosy nie chwyci. Ale o tym Grzegorze porozmawiamy jeszcze nieraz: na razie znajdziemy kwatere, panie Dunaj. Naprawdę tak trudno znaleźć jakiś pokój z łóżkiem?

Może u ryżego Litwina na chacie? zastanawiajo się Dunaj.

Na chacie? dziwi się ona. Na dachu?

To Dunaj tołkujo, że na chacie znaczy w pokoju: u nas na duże izbe mówi się chata, a na małe zapieco. Litwin z żonko śpio na chacie, a moglib swoje łóżko opróżnić dla pani, jakby przeszli zapieć, na łóżko babczyne, bo babka śpio sama. Tyle że trzeba wcisnąć babke do dzieciow.

Dunaicha pytajo, jakże obydwój Litwiny zmieszczą się w babczynym łóżku? Niewąskie ono, ale zobacz ty, jaka Litwinicha gruba! Toż jej dwiema rękami nie obejmiesz!

To może Litwinow przenieść zapieć z ich łóżkiem, a babczyne wystawić dla pani do pokoju? radzo Dunaj, zapomniawszy, że babczyne łóżko krótkie, o, tyle trzeba by paninych nogow uciąć, żeb się pani zmieściła, pokazuje jej ile. I radze, że lepiej będzie jak do dzieciow abo do babki pójdzie Litwin, a pani legnie z Litwinicho: Litwinicha gruba, pani cieńka, zmieściecie się.

Uczycielka się przeciwi: nie, nie, ja chcę spać sama, muszę mieć oddzielne i łóżko, i pokój.

Zaraz, zaraz, a u Kuśtykow? przypomniało się Dunaisie: Na Szymonowym szlabanku, co?

A dzie legno Szymon, jak się im zabierze szlabanek, pytajo Dunaj.

<sup>159</sup>małanka (gw.) — błyskawica. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>kuzaka — na Białorusi: szczypanka, turkuć podjadek a. podobny owad; tu przypuszczalnie żmija. [przypis edytorski]

Dunaicha najpierw bez słowa w głowie wszystkich układają, przekładają, a poprzekładawszy, tłómaczo: Na nowym łożku śpio Handzia, Kazio i Stach, na starym babka, Jadzia i Szymonicha, Szymon na szlabanku<sup>161</sup>, w pokoju. Zrobi się tak: Szymon zostawio szlabanek, gdzie był, i będzie pani miała i spanie, i pokój. A teraz co z Szymonem: Szymona się położy zapieco na starym łożku.

Z babko, żonko i córko? krzywio się Dunaj: To ja stary by nie ryzykował, a Szymon? Toż on z dziesięć lat młodszy!

Scichnij plejto<sup>162</sup>, ciągną Dunaicha, Jadzi się z Szymonem nie zostawi: ona przejdzie na nowe łożko, a Szymon zostanie z żonko i babko. Dunajewi się nie podoba i to, że Jadzia miałaby na nowym łożku spać z Handzio, Stachiem i Kazikiem: Toż Jadzi już lat z siedemnaście, Stachowi ze dwadzieście, jakże kłaść ich w jednym łożku!

Dunaicha nie ustępuje: A czyż ja mówiła, że Stach będzie leżał bok w bok z Jadzio? Trzeba ich rozdzielić! Dajmy na to Jadzie położyć od ściany, a potem Handzie, a ileż jej, z dziesięć lat, potem Kazia, ileż jemu, ze dwanaście! A za Kaziem, z brzegu, ten Stach, najstarszy.

Ale ale, kto ich tam noco upilnuje, poprzelażo, nie dowierzają Dunaj. A Dunaicha wywodzi, że nowe łożko stoi w jednej izbie ze starym: czyż stare nie nagładno, czy tam młode nie dokazują?

Po mojemu bezpieczniej będzie przerwucić do chłopców nie Jadzie, ale babke, radzo Dunaj, babce osimdziesiąt parę.

Tak? A Jadzie zostawić z Szymonichą i Szymonem? Z ojcem rodzonym? Ty Stachu zdaje się wstydu ni masz!

Ale Dunaj uciszają żonkę, że już jest sposób: A tak, będzie spał Szymon z córko i z Szymonichą, tylko że Jadzie trzeba położyć od ściany, potem Szymonichę, potem Szymona. Ot i jakoś wydumaliśmy razem. Nu to co? Niech panienka bierze waliski, pojedziem!

Nic z tego, ja ogłaszam: Jakże Szymon ma spać z Jadzio i żonko, kiedy noga!

Co noga?

A podkurczona! Toż dwie baby spalić jemu na kuśtyku!

Dunaj aż za głowę się złapali z żalu, ale Dunaicha nie ustępuje: Przekręci się na taki bok, żeb kuścyczysko wystawało jemu nie na łożko, ale za łożko, a Dunaj: Boj się Boga, kobieto, całe noc trzymać nogę za łożkiem? Kto wytrzyma!

Ławke pod nogę podstawili!

Ależ i święty nie wytrzymałby nocy na jednym boku!

A jak Filip śpi na ławie? Jeden bok odleży, to co robi? Przekręca się głową tam gdzie nogi i znow kolana ma do chaty, nie w ścianę. Tak samo Szymon, przekręci się nogami na poduszke: bok sobie zmieni, a kuścyczysko znowuś będzie sterczało za łożko, jak sterczało!

Uczycielka stoi pod ścianą, trzewiczkiem o trzewiczek postukuje, a odziana letko, w jakiś paltocik z kapiszonem<sup>163</sup>, sukienka ledwo kolana zakrywa, głowa goła, bez chustki, słucha i głową kręci z podziwu, że tak wszystko wiemy, i raz po raz czub z oczów odgarnia. Dunaj ogłaszają, że jest lepszy sposób!

No, no? Zaciekało nas, co też Dunaj wymyślili. A oni, że u Złośnego Bartoszką murek nie zajęty! Niech tylko Bartoszek pójdzie na murek i już całe łożko puste!

Dunaicha się przeciwio: pani ma życzenie, żeb mleko było. A Złośnemu krowa zdechła.

A prawda, wzdychają Dunaj, tak kiepsko, tak niedobrze.

Wtem za rękę mnie łapio: A Kaziuk, krzycz, toż u niego krowa ociełiła się!

Przestraszyli mnie:

Jakże u mnie, bronie się, toż my same w mituś śpimy!

A uczycielka: W mituś? Co to takiego?

Dunaicha tłumaczy, że spanie w mituś to w przekładankę, jedne drugim nogami pod głowę, jak snopki, tak więcęj mieści się w łożku. Ale Dunaj od razu ją pocieszają, że nie

<sup>161</sup>szlabanek — rozkładany, prosty mebel służący w dzień za ławę do siedzenia, a w nocy za łożko. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>plejta (gw.) — pleciuga. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>kapiszon (daw.) — kaptur przyszyty do płaszcza a. innego okrycia. [przypis edytorski]

bedzie z nami w mituś spała: Toż u ciebie Kaziuk drugi pokój jest! Pokój pusty i łóżko puste!

Puste, bo tam zimno, mowie, szyba wybita.

Nu to wstawisz!

Skąd szkło weźme?

Dobra, szkło będzie, moja w tym głowa. Nima co, niechaj pani waliske składa, idziem do Kaziuka, cieszo sie Dunaj, dzieciak umar, Handzia wolniejsza, lepiej zadba, ugotuje!

Ja tylko do lata, panie Kazimierzu, powiada ona przymilnie, niech sie pan nie boi, gmina zapłaci za kwatere.

I wychodzo z Dunaicho zapiec. A Dunaj caps mnie za rękaw i tołkuje z bliska: czło-wieku sto złotych dostaniesz, sam by ja sie połakomił, ale chata już na klase oddana, a zapieco miejsca nimo.

Sto za rok, namyślam sie, czy to tak duzo?

A oni: Sto za miesiąc, człowieku!

Za miesionc? O, choroba, sto za miesiąc, duzo pieniondza! Ileż to mączki, gwoździow, nafty można dostać u Kramara, za sto złotych! Ale czy oni czego nie knujo? Czemu dajmy na to Kozak jej nie bierze? Czemu ty Stachu jej nie bierzesz, pytam sie.

On hebel odstawia: Myślisz, że sie boje? Nie! Ciasnota, a do tego żonka gruba, lada dzień rozwali sie.

A Dunaicha z uczycielko już czekajo na drodze. To i my wychodzim. Dunaj biero od nich torbe ze skórzanymi pasami, ja czarne płaskate skrzynke z rączko, idziem, Du-naj pierszy, za nim Dunaicha, potem uczycielka, ja na końcu, a głowa huczy od tego wszystkiego! Uczycielka wsadziła ręce w kieszonki i stąpa delikatnie: łydki cienkie, tyłek maleńki, a wysoka jak palma i jak wierzbowa palma giętka, idzie i gnje sie, przegibu-je: czasem pod prąd ryby tak sie przeginajo, bluszcz na nurcie tak faluje. Stąpa sobie, przegina sie i włosy z oczow odrzuca raz po raz.

Lekcje zrobimy na dwie zmiany, ogłasza do Dunajow, do obiadu dzieci młodsze, po obiedzie starsze.

Wtem spod płota wylało Szymon Kuśtyk: Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus i czapke zdymajo przed uczycielko.

Na wieki wieków, dzieńdobry, odpowiada ona, Kuśtyk dołączajo, hycajo nad ziemio: tu rękę sie podepro, tam podskocz, nadążajo za Dunaicho, na uczycielke popatrujo z dołu. I pytajo sie wreszcie, jakie litery bedo uczone: i pisane, i drukowane?

Tak, mówi ona, pisane i drukowane.

Czytać pisane i drukowane, i pisać pisane i drukowane?

Pisać tylko pisane.

E, to słabo. Nieboszczko Grzegor pisał drukowanymi.

A pisanymi?

Pisanymi nie umiał, on na książkach wyuczony. A czytał tak prętko, jakby rozmawiał! Pani które litery będzie uczyć, polskie czy ruskie?

Polskie.

A ja umiem pare ruskich. Umieć be, we, cze i że<sup>164</sup>. Kiedyś uczył tu u nas ruski partyzant, ale jakieś przyjechali i zabrali jego. A czy to prawda, co mówio, że od czytania rozum miesza sie?

Może, ale nie tylko od czytania. Znałam jednego, co zwariował, choć nie umiał ni czytać, ni pisać.

A czy nie nazywał sie Boluś?

Nie, Rurka Jerzy.

Bo u nas był kiedyś durny Boluś, ale w świat poszed i zaginoł. A może to był Boluś? może sie przemianował na rurke, głupie to lubiejo. Lewe oko miał niżej?

Nie, obydwu równo.

To nie ten.

Oni gadu gadu, a tu już chata blisko, Jezu, na pewno śmieci nieprzymiecione, sło-ma spod cielaka porozciągana. Macie, ponieście! daje Kuśtykowi waliske i lece naprzód,

Pieniądz

Kobieta, Pożądanie

Nauczycielka

Szaleństwo, Książka

Gość

<sup>164</sup>be, we, cze i że — nazwy rosyjskich liter б, в, ч i ж, zapisujących głoski b, w, cz i ż. [przypis edytorski]



dolatuje do chaty, wpadam, a jakże: Handzia w ceberku kartofli sieka, a podłoga jak klepisko po młóćbie! Zamiataj, uczycielka z Dunajami ido!

Przestraszyła się, zamiast za miotłę złapać, dawaj dzieci łać po dópach, z cielakiem się drażnili. Co robić? Kołyske łapie, sznury z goździa zdzieram, wynosze, ale już oni w sieniach. Daleko kołyski nie chowaj, niezadługo przyda się, przygadują Dunaj, a tu kury im pod nogami skaczo, trzepio się, wrzeszczo. Trudno, laze po drabinie na górę, rzucam kołyske w ciemno, coś tam przewróciło się, zahuczalo i złaże.

A to ten cielak, co my wczoraj pani opowiadali, pokazują Dunaj małego w kątku.

Uczycielka przyklęka i gładzi bydłaczka po szyi: Śliczny, jakie śliczne oczy ma, czar-nuszek! Ale co wy od niego chcecie, dziwi się, przecież on całkiem normalny.

On rżał, mówio Dunaj. A ciele powinno meczyć.

Nie wierzę, kręci ona głową, zróbcie coś żeby rżał, wtedy uwierzę.

Teraz on meczy, tłómaczo tatko: Ale z początku rżał.

Albo ze mnie kpicie dziadku, albo z siebie, powiada uczycielka i do Ziutka się odwraca: Jak się nazywasz?

On oczy kułakiem zatyka.

Nie wstydz się, mówi ona. Ile masz lat?

Chłopiec fajt, obrócił się do niej tyłem i w kątek się wciska, Handzia bach jego po zadku, bach drugi raz: Co ty, dziki? Gadaj, jak pani się pyta.

Ona pogłaskawszy główkę, pociesza jego, żeby się nie bojał, my się jeszcze polubi-my, mówi. Dunaicha odmykają drzwi na chate, pokaz Handzia pokoj panience, mówio, kfaterować u was będzie. Wchodzo, wchodzim, uczycielka rozgląda się, a dzie spojrzy, nasze oczy za swoimi ciągnie. Tak oglądnęli my łożko, na łożku poduchy, na poduchach poduszki, na poduszkach poduszczeni, obraz Matkiboski pocentkowany, ławe, kuferek, szmatniki na podłodze.

To pani tkala, pyta się uczycielka i Handzia czerwienieje, na nas patrzy, nie wie, czy przyznawać się, czy nie.

Ładne, mówi uczycielka.

Naprawde?

Bardzo ładne.

Dopieroż pochwalona, przyznała się Handzia, że to jej robota: Ja tkala, mowi.

I teraz jak tak stojo koło siebie, baba przy babie, teraz ja widze, jaka różnica między uczycielką a żonką! Jak brzoza przy stogu! Rozga i kopica! Jak konopka, konopielka<sup>165</sup> i jak kapusta. Aż się widzi, co by było, jakby tak ja Handzia wpół złapała swoimi renkami: toż mogłaby nio wywijać jak snopkiem konopii, jak gałęzio, jak grabiami!

Ładny pokój, podlizuje się uczycielka. A poduszkę z okna chyba wyjmujemy: dopóki szyby nie ma, może dyktą zasłonić?

Dunaj przyrzekają, że Kozak to zrobi. I może już pani się rozgaszczać. Wynieś, Handzia, trochu poduszkow, przysposob łożko do spania. A ty, Kaziuk, chodź na strone.

Wyszli my do sieni.

Najtrudniejsza sprawa ze sraniem, mowio Dunaj po cichu. Dzie ona chodzić będzie? Toż nie za stodołę!

A coż takiego?

Y, jakoś nie wypada, żeby urzędniczka dópe na wiater wystawiała.

Przyzwyczaj się. A u was dzisiaj dzie chodziła?

Do świńskiego chlewa.

Toż i u mnie chlew jest.

Ale przydałby się specjalny budynek.

E, nie bede deskow marnował na czyjeś wydumki. Jak jej w chlewie kiepsko, niechaj kroi do waliski!

Wracamy się do chaty, a ona akurat te waliskie odmyka, rzeczy z waliski wyjmuję i z plecaka, i po chacie rozkłada. Stajem przy drzwiach, tato, Dunaj, Dunaicha, Handzia, ja, Szymon i dzieci, patrzym.

<sup>165</sup>konopielka — w wierzeniach ludowych demon opiekuńczy konopi; konopielka to także nazwa pieśni ludowej śpiewanej przez grupy młodzieży podczas wielkanocnego kołędowania (tzw. wólczebnego a. chodzenia z konopielką). [przypis edytorski]

Wyjęła najsampierw papierowe torebki i nam podsunęła, częstuje, biore i ja cukierek czarniawy, lepki, słodki, w samym środku trochu gęstej marmuladki. Smoktawszy, patrzym, co będzie.

Wyciąga ona z torby koszule w paski i nogawki, tak, nogawki, też w paski. Sfeter. A potem jakieś pudełeczka i słoiczki, szczoteczki na trzoneczkach, pantofelki i gumiane boty z cholewkami. A z waliski wyjmuję papuge koszulow, majtkow, bluzkow, z sześć książki i kajety<sup>166</sup>. A wszystko to rozkłada na ławie, stole, kufierku. W końcu odwijają ze szmaty zygareczek, nie większy od kulaka, zygarek ten nakręca, wskazówki nastawia: naraz dzwoni on drobnym dzwonieniem!

O, dzwoni, chwalo Szymon, ale półgębkiem, bo cukierka w gębie obracają, a Dunaj tołkują nam, że to budzik: nastawiasz, na jakie chcesz porę, i sam tobie dzwoni. Chcesz rano, zadzwoni rano, chcesz w nocy, zadzwoni w nocy.

To co, będzie noco wstawać, pytam się, choroba niedobrze, naftę będzie wypalała. A Dunaicha rozczulają się nad nią jak nad sierotką: Pani pewno jeść już chce? Tak, tak, na pewno panienka zgłodniała, może Handzia przyszykujesz coś prętkiego? Może jajeczni?

E, na co smażyć, jajka najlepsze syrowe, doradzają tato, a cukierek obliżuje jak kot patelnię.

A gdzie tam syrowe! Smaż, rozkazują Dunaj, hojne, bo z cudzych jajek ta jajeczni: Jajeczni niech sobie panienka zje, a co, nalatała się! Jajeczni smaźcie!

Handzia smażyć poszła, a my patrzym, co uczycielka jeszcze ma.

Atramenty miała w buteleczkach, ołówki i obsadki, poustawiała ich na stole jedne przy drugich, tato tak ciągnęło oglądność to z bliska, że aż za kuferek zawendrowali: A panienka nie ma takiej kręćkawki, co jak zakręcić, to jedno wylatuje, a drugie z boku naskakuje i brum! stukają się i się błyska? pytają się, mlaskawszy nad cukierkiem. Ona mówi, że nima takiej kręćkawki. Tato chwala się: A w Suraju jedna pani miała. Ale ona nie wyszła za męża, bo chciała do klasztoru. A jej tato rower miał, uczył się na nim jeździć, uczył się, uczył, aż wzięli i ukradli jemu te maszyny! Nie znała ich panienka?

Oj, nie zwracajcie pani dopy, obsztorcowali Dunaicha, ploto, ploto, a pani pewno potrzebuje do pokoju jakieś wiadro z wodą i miskę? Nie zapomnij, Kaziuk, wyszykować pani jakiś czystszy skopek. A ty, Handzia, co ty, jajeczni w patelni dajesz? Na miskę raz dwa przesyp i nie łyżkę, nie łyżkę dawaj, widelca poszukaj! Ni masz, to pożycz.

Ale tato dobrze pamiętali, gdzie nasz widelec leży: Jest, jest, na policy koło kubka z mączką! Handzia nic nie powiedziała, tylko pogroziła im palcem, już oni wiedzą, za co, przyniosła widelec, miskę, powycierała jedno i drugie fartuchem, jajeczni przesyła do miski, a sama ma stanęła z boku, popatrzeć na jedzenie tego. My tak samo rozsiadamy się, kto na ławie, kto na kufierku, dzieci na progu, Szymon na kuśtyku.

Usiadła przy obrusie, chleba ukroiła sobie nie skibkę, ale listek i trzyma w dwóch palcach przed sobą, jakby pokazywała, co trzyma. I widelec ściska leciutko i zgrabnie i robi tak: skosem ucina trochę jajeczni, nabiera, niesie widelcem i pa! ni to wrzuca do środka, ni zgarnia językiem, przedziusko, leciusko. Teraz łypy zacisnąwszy, żuje, a przeżuje, to chlebem zakąsi. Chleb żuwszy, opuszcza widelec do miski, ale jeszcze nim nie dziobie: dożuwa, a widelec sobie czeka w misce, ona w tymczasie popatruje po ścianie, po szlaczku, co leci pod sufitem, kogutki tam namalowane i rożyczki. Potem znowuś jajeczni łyknie, żuje, przeżuwając, popatruje, to na Matkeboske, to na makatke z gołombkami. Jadła tak, jadła, wtem na nas spojrziała i jak nie buchnie śmiechem! No to i my się z nią śmiejemy, bo ładnie się roześmiała, wesoło. Wyśmiawszy się, patrzymy sobie dalej, ona już nie rozgląda się, tylko w miskę patrzy. Nareszcie kładzie widelec, powiada dziękuję, wstaje. Zaraz podchodzi Handzia po miskę: A co, dziwi się, nie smakowało? Smakowało, bardzo smakowało, ale najadłam się, mówi ona. Handzia niesie miskę zapiec, my za nią, patrzym: z pół jajka niezjedzone! I czemu? Czy ktoś widział kiedy takiego, co by wszystkiej jajeczni nie zjadł! Kartofli, bywa, nie zje się do końca, kapusty bywa, zostanie, czasem i żuru nagotuje się za dużo. Ale jajeczni, ludkowie, czy komu kiedy było za dużo jajeczni!

A może ona, uczycielka, jaka chora? Może się za coś obraziła? Może jakiego robaka znalazła zapieczonego i zbrzydziło jej? Obraca Handzia jajeczni na drugą stronę: nie nie

Gość

Gość, Obyczaj

Gość, Jedzenie

<sup>166</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

hadkiego<sup>167</sup> nie widać. A może przesolona? pytają się cicho Dunaicha. Próbuję: dzie tam, dobra, tylko jeść i z palców zlizywać!

Jak jej ta jajecznicia nie smakuje, to czymżeś, do choroby, bedziem my jo karmić, pytam się Dunajów. Nie boję, pocieszają Dunaicha, przyzwyczaj się do was, wy do niej.

Uczycielka wchodzi zapieczętowaną: znowuś w paltosiku z kapiszonem, kajet w rękę ma i obsadkę: To co, panie Dunaj, ruszamy po chatach stódentów spisywać? Ty, Ziutek, też będziesz chodził do szkoły, mówi, głaskawszy chłopca po włosach. I wychodzą z chaty, Kuśtyk z nimi.

Nareszcie my sami w domu, bo cały dzień ruch był jak na weselu. Patrzymy się, ja na Handzie i tata, tato na nas, Handzia na mnie, patrzymy się i czegoś straszno się robi. A już ciemnowo w chacie.

Tak, straszno. Wszystko niby jak było: piec ten sam, sagany, stołki te same, dzieci te same, niby tak samo, a jakoś inaczej! Nasza chata, a trochę jakby nie nasza! Słychać zygarek za drzwiami: straszno, nikogo tam nima, a on cyka, jak żywy. Jak jaki zwierzączek!

Żeb ona jakiego nieszczęścia nie przyniosła, powiadają wreszcie tato. A Handzia: E, taka cieniutka?

Sto złotych za miesiąc, pocieszam.

A tu zaszamotało się w słomie i co się nie robi: cielak wstaje na przednie nogi! Wstał i zaraz bach gębo w słome.

Ale nic, znowuś próbuje: mocuje się, podryguje, stęka, i co widzimy: dźwignął się jakoś! Przednimi nogami stoi, zadnimi jeszcze siedzi, jak pies. Jak wilk. Tylko brakuje, żeb morde zader i zaczął wyc do pułapu.

Co za dni się zaczęły, jakie wieczory! Prawie jej nie było, niby tylko na obiad zachodziła i spać, ale wkoło niej kręciło się wszystko w domu. Niby my nad nią nie skakali, toż nie królewna ona, nie panna młoda na weselu, ale na to wychodziło, że ona w chacie najważniejsza: nie ja, gospodarz, nie Handzia, nie tatko, tylko ona, przyczepka. Ale też, prawdę powiedziawszy, wszystko, co robiła, ciekawe było: ciekawiło, jak myje się, kiedy mówi pacierz, czy umie prząść, czemu nie smakowała jej zacierka z brukwio, co powie na kluski z makiem, czemu kłustych skwarków nie je, czym glansuje trzewiki, co znaczy słówko: w buszu, całkiem jak w buszu, tak powiedziała, ciekawiło też, ile razy chodzi do chlewka, jak często myje skarpiety, co za lekarstwo łyka, ile majtków ma. Już pierwszego ranka przecknął się ja inaczej, nie było wygrzewania się, czochrania, wysiadania: od razu oczy odmykam, od razu myśl: czy ona śpi? Nasłuchuje: cicho za drzwiami, pewno śpi, ciekawe, jak też taka śpi? Na boku? Na plecach? A może na brzuchu, młode dziewczęta lubieją na brzuchu, się widywało. Choć ona nie taka młodziutka, jak wygląda, ho ho, Dunaj mówio, że dwadzieścia i pięć, choroba, toż to prawie tyle, co moja Handzia. Tyle lat, do tego miastowa, e, nie mała musiała spróbować. Prawda że na delikatne wygląda, nienaruszone. Ale jak to się, lasica, przegina, idący! E, widać wyginali już ją w różne strony. Nu, trzeba powiedzieć na jej obronę, że taka wysoka cienka nie może nie przeginać się, toż talja jej się łamie. Ale czy jej tam nie zimno samiotkiej? Bo mnie tutaj przy Handzi uł, gorąco, ciekawe, skąd te baby tyle żaru majo, czy nie z brzucha? Tak, na pewno w tych ich brzuchach się ono, gorąco, kłębi. Szturcham Handzie, że czas: trzeba mleka nadoić, zaparzyć, wody ciepłej zagrzzać do mycia. I Handzia budzi się prętko, nie maże się w pościeli, raz dwa sukienkę naciąga, kaftany, ona też wie.

Prawdę powiedziawszy, nie bardzo chciało się mnie tego rana w stodole robić. Pokręcił się ja trochę po gumnie, krowom dał, kurkom sypnął, cep poprawił, bo się gązwa<sup>168</sup> oblużowała, ale młocić nie zaczął: wracam się do chaty, siadam koło pieca, czekam, co będzie.

Na dworze rozwidniło się prawie całkiem, woda do mycia ze dwa razy zdążyła ostygnąć, mleko gorące czekało na płycie, w sagankach dochodzili kartofli świniom. Nareszcie zadzwoniło!

<sup>167</sup>hadki (z białorus.) — wstrętny, przykry, obrzydliwy. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>gązwa — część cepa, rzemieenny element łączący bijak z dzierzakiem. [przypis edytorski]

Nauczycielka

Gość

Kobieta

Gospodyni

Gospodarz

Zadzzwoniło i zaraz zatrzeszczało łożko. Chwilka jeszcze i wysówa sie z drzwiów głowa poczochrana czarna, słyszym: Dzień dobry, o, już wszyscy na nogach! Poproszę trochę ciepłej wody, pani Haniu!

Dzieńdobry, mówi Handzia i na brzuchu saganek z wodo niesie za dwa ucha.

Siadam przy cielaku z ceberkiem, gębe jego wtykam w mleko, poje, ale wszystko słysze: jak tam ona pluska w kopańce<sup>169</sup>, chodzi, pośpiewuje, pije mleko. Może mączki dać do chleba, pyta sie Handzia, a ona nie, dziękuję, wołę bez.

A potem, już w tej kurtce z kapiszonem, z kajetem pod pachy, grzawszy ręce przed popielnikiem, mówi, że dziś bedzie dalej spisywać dzieci do szkoły. A ciebie, Ziutek od razu zapiszę, i kajet rozpościera, obsadke roskłada: Józef jesteś, a jak dalej? No, pochwał się.

Kaziukow, mówi chłopiec i oczy rękami zasłania.

Kazimierz, to twój tato. Ale ty masz i nazwisko. No, jak?

Handzia pogania: Nu gadaj! Toż wiesz!

Kirelejson, on na to, a my w śmiech: Kirelejsonami przezywajo w wiosce nas i Michałow za tata, bo takie ich przymówisko.

A ona: Kirelejsony to wasz przydomek wioskowy? A nazwisko? Prawdziwe nazwisko? Ba, a jak dalej? No? Bar?

Bartoszko! nie wytrzymuje Handzia, tatko przeciwio sie zaras: Wcale nie! To tylko mówi sie Bartoszko. A naprawde jest Bartosz. Moj tato nazywali sie Bartosz, Stanisław Bartosz!

Uczycielka do mnie sie obraca, pyta, jak ksiądz zapisał nas przy ślubie? Bartosz czy Bartoszko?

Zdaje sie Bartosz.

A mnie sie zdaje, że Bartoszko, przypomina Handzia: Bartoszko Kaźmier i Hanna.

A żadnych dokumentów pan nie ma? pyta sie uczycielka.

Ja wstaje, ide na chate, jakieś papiery leżeli za Matkobosko, między nimi paszport, grubszy, twardziejszy z pieczętko, dali to, jak do wojska brali: nie wzięli, bo coś im moje nogi nie pasowali.

Daje jej te papiery i ten z pieczętko, ona pod okno niesie, czyta, czyta.

Bartoszewicz! ogłasza.

A dzie tam! zloszczo sie tatko: Batoszewicze żyjo w Surażu. A w Taplarach Bartosze!

Najbardziej zdziwiło Handzie. Śmiać sie zaczęła: Bartosiewicz hahaha, patrzajcie, Kazimierz, tyle lat z nim żyła, myślała, że z Kaźmierem, a on Kazimierz. I to Bartosiewicz! To ja Bartosiewicz Hanna? Ha, ha, ha, patrzajcie: Bartosiewicz!

Bartoszewicz, poprawia uczycielka i zapisuje: Bartoszewicz Józef! Zapamiętaj, Ziutek. No, powtórz.

Ale dzie tam on powie, beksa! Płacze czegoś koło łożka, a czego sam czort nie wie. I na cóż takiego zapisywać, mówie, nie szkoda to paninego czasu i kajeta na take żabe? Ale ona widać serca miętkiego: głaszczce chłopca, pociesza, że bardzo miły chłopczyk, i bedzie dobrym uczniem.

A drogo to bedzie, ta szkoła?

Tyle co na książkę, zeszyty, ołówki. Ze sto złotych wszystkiego.

A nie dałoby sie po znajomości wykręcić jego od tej szkoły?

Ona śmieje sie: Oho, po znajomości to się jeszcze dokręci! Dokręci się, żeby chodził.

A czy to jemu potrzebne do czegoś to czytanie i pisanie, pytamy sie: Tato nie umiejo, Handzia nie umie, ja nie umiem, a Chwała Bogu, żyjem po chrześcijańsku.

Ale słyszym: i na was przyjdzie pora, może już za rok. Zapewniam panią, pani Haniu, jak zacznie pani czytać książki i gazety, innymi oczami pani świat zobaczy. Handzia kręci głowo: A Broń Boże! Na co mnie oczy zmieniać, jak ja nimi prawie trzydzieście lat patrze i widze wszystko jak trzeba!

Dobrze, pogadamy kiedy wieczorem, teraz lecę do sołtysa, powiada ona z drzwi, a obiad proszę koło pierwszej, dobrze?

Uszykowała jej Handzia jak było umówione: kartofli, do tego kapusty kiszonej z cy-

Nauczycielka

Śmiech

Nauczycielka, Uczeń

Nauczycielka

Jedzenie

<sup>169</sup>kopańka (gw.) — niecka, podłużne drewniane naczynie wydrążone w jednym kawałku drewna, służące do zagniatania ciasta a także do kąpania małych dzieci. [przypis edytorski]

bulo pokrajano i olejem. Ale słonko przeszło na drugie strone sokora, obiadowa pora minęła, uczycielki nima i nima, wszystko ostygło. Aż przylatuje! Akurat Handzia spuszczała do ładyszki<sup>170</sup> mleko z cycków: Co pani robi! przestraszyła się i patrzy jak urzeczona.

Mleko spuszczam, bo cycki bolo, mówi Handzia.

I co z nim potem?

At, cielakiewi bedzie.

Ona stoi, stoi, nie mówi, nie rusza się, patrzy jak Handzia się nagniała. To ono nawet nie dzieciom, pyta się w końcu.

Dzieciom nie można, bo znowuś płakalib nocami. Niech pani rozdziewa się, jeść zaraz podam, już to koncze.

Trzy dni później Ziutek poszedł do tej szkoły!

Nie było jego prawie do obiadu. Ja polana rąbał i co raz naglądał, czy nie idzie.

Pokazał się na drodze z Jurczakowymi dziećmi: stanęli w koło i oglądają coś pilnie, o coś sprzeczą się, rozpychają. Wołam mojego.

Idzie, a taki ważny jakby kielbase jad albo masło widział, Handzinymi klompami<sup>171</sup> postukuje po zmarzlinie, poły serdaka<sup>172</sup> rozwiane, nadęty jak wójt. No, no! Siekiere wstromiam w pieniek, wołam tego wojta, niech pokaże, co ma.

Podaje książkę. Przeglądam, litery i litery, literow jak mrowia, aj ponawypisywali tego! A między literami obrazki: dziewczynka z psem, domek, kogut. Lalka. Jabłoń. A wszystko prawdziwe. Nawet woz narysowali: na wozie furman, w hołoblach konik bardzo zgrabny, tyle że w hołoblach bez dugi, za Surazem tak jeżdżo, na szlachcie<sup>173</sup>. I duży budynek, okna rzędami jedne nad drugimi, dołem auto jedzie, jak te, co na Boże Ciało kure rozjechało w Suraziu. Ale w Suraziu domy tylko z jednym piętrem.

Podaje Ziutek kajet, mówi: Zesztyt. Kajet, poprawiam. Nie, zesztyt, upiera się.

Zesztyt? U Grzegora było to kajet, ołówkiem zapisywał w tym, kiedy krowy bydłowały<sup>174</sup>, świnie lochali się<sup>175</sup>, prosili, Domin podśmiewali, że pewno dzieci robi tym ołówkiem, bo bez skutku.

Taki sobie graniasty patyczek, prosty jak strzała. Zaostrzony. Kolor zielony, literki na nim białe. Przyjemny w oglądaniu, przyjemny w trzymaniu.

Ładny, mówie, ładna rzecz, miastowa. Oni w chfabrykach ładnie robio, niejeden stolarz tak nie zrobi. To pisać tym bedziesz?

Aha!

Toż ty nie umiesz!

Pani mówiła, że za zime nauczy.

Za zime? Zdziwiło mnie, że tak prędko smurgiel będzie uczony. Jaktó za zime?

Mówiła, że za zime. I smurgiel po zeszytciu niby pisze, wodzi po linijkach, ale tępo strono. Daje mnie zeszyt i ołówek: Napiszcie tatu.

Nie można psuć kajeta.

To po desce.

Szkoda ołówka.

To patykiem, po ziemi.

Spodobało mnie się, że bede pisał. Biere patyk, walonkiem wygładzam ziemię i pisze. Pisze sobie różne litery, jak Grzegor pisał, okrągłe, kanciaste, rozgałęziane, zawijane, podkręcywane, z kropkami, kreskami, krzyżykami. A smurgiel się patrzy z góry, aż głowo kręci, że tak prętko ja pisze. To walonkiem wygładzam jeszcze kawał gumna i pisze litery jeszcze bardziej rozgałęziane.

A co tu napisane, pyta się.

On się pyta, co tu napisane! Ho ho! Tu jest dużo napisane, same ważne rzeczy tu napisane, byle czego się nie pisze. Pisanie to nie gadanie.

<sup>170</sup>ładyszka — gliniany dzbanek do przechowywania mleka, bez ucha i dziobka. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>klompy (gw.) — obuwie z drewnianą podeszwą. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>serdak — rodzaj wyszywanej ciepłej kamizelki a. krótkiego kożuska bez rękawów. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>na szlachcie — tu: tam, gdzie żyje szlachta, nie wśród ludu. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>bydłować (gw.) — o krowach: przejawiać popęd płciowy, wykazywać objawy rui. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>lochali się (gw.) — o samicach świń a. dzików (lochach): przejawiać popęd płciowy, wykazywać objawy rui. [przypis edytorski]

Uczeń

Książka

Uczeń

Tu jest napisane, opowiadam z wysoka, patykiem pokazuje chłopcewi, napisane tak: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Nazywam się Kazimierz Bartosiewicz. Tato nazywają się Józef. Żonka nazywa się Hanna!

Smurgiel dopomina się, co o nim napisane.

Czekaj, mówię, napiszę coś i o tobie. Aha! Mój pierwszy syn nazywa się Józef, tak samo jak dziadko. Ten syn Józef jest bardzo leniwy, nie chce pomagać.

Nie, tatu, nie, przestraszył się, tu napisane, że ja nieleniwy! Czy ja polanów nie noszę? Nie podkładałem do piecy? Czy nie grabię siana, nie żniwuję?

I w bek!

Widzę, chłopiec przestraszył się bardzo, że kiepsko o nim napisane. Nu już dobrze, dobrze, pocieszam, napiszę tak: Ziutek to dobry chłopiec, posłuszny, do roboty chętny, ale za łakomy! Wszystko by zjad!

Oj nie, nie! Niełakomy ja, niełakomy!

Boi się, widzę, a niech się trochę poboi, bardzo dobrze, będzie lepszy. Tylko że on już prawie płacze, no, no, że tak to się boi pisanego! A, starczy strachu, pochwałę: czytam ja, że chłopiec z niego dobry, wszystko zje, czy to kraszone, czy z postem. Ucieszył się, pyta się, co tu napisane o naszej kobyle.

Siwka jest bardzo dobra kobyła, nie narowista, czytam.

A wy co robicie! Słyszam. To Handzia, cicho z tyłu zaszła, że i nie zobaczyliśmy, po polanka przyszła: Co ty Kaziuś czarujesz!

Tato nas opisali, mówi chłopiec. Handzia oczy na mnie wyraczyła<sup>176</sup>: Aboż ty pisać umiesz!

To Ziutek tłumaczy, że wszystko tu opisane! On, dziadko, mama, Siwka.

Ona obchodzi wokół moje litery, przygląda się, o, innymi oczami teraz na mnie patruje. Naprawdę? Ja tu opisana? Ja?

A rowki na ziemi trochę już przyschli i stracili wygląd, to walonkiem wygładzam nowe pleche zmarzniętego i dalej pisze, litery idą mi teraz bardzo prętko, a rozgałęzione jak raki, jak kwiatki, jak pajęczyny.

No, no? I co tu napisane? Ciekawi się Handzia.

Nic nie mówię, na razie się pisze, nie czyta, Grzegorz nie gadał, jak pisał. Aż jak napisał, odstawiał kajet na całą rękę i czytał. Przeczytawszy, pisał dalej. To i ja pisze, pisze. Jak się zapisało całe gładzizne, tłumaczy im, żeby wiedzieli:

Krowy nazywają się Raba i Mecka. Suka Muszka. Dzieci młodsze Stasia i Władzia, Jadzia umarła. Zimy są zimne, lata gorące. W rzece są ryby. W lesie brzozy. Słońce wschodzi i zachodzi.

Ojej, wschodzi i zachodzi: dziwi się Handzia. Patrzajcie no, wszystko prawda!

Tatu, a niech tato przeczytają z książki, prosi smurgiel i książkę daje.

Jeszcze raz przeglądam: dziewczynka, pies, domek, koń z wozem, auto. Czemu nie, mógłby ja im poczytać o tym aucie, co w Suraziu kure rozjechało. Ale jakoś nie wypada, litery te jakieś takie nie moje, w rządках.

Z tej książki nie umiem czytać, mówię im, to jaksze<sup>177</sup> litery, szkolne.

Handzia bierze pooglądać: przekłada kartkę po kartce, o, takie makatki wyhaftuje! Pokazuje nam bardzo ładny obrazek: dziewczynka w środku, tato i mama trzymają za ręce, z boku piesek skacze.

Wyhaftujcie, wyhaftujcie, mamó! cieszy się chłopiec i pód spodem litery pokazuje. Ale z tymi literami! Z literami!

A pewnie że z literami! mówi Handzia i za polana się bierze. Nabrała brzemie<sup>178</sup>, poszli.

Na obiad uczycielka zachodziła krótko, prętko jadła, leciała, i nie było jej do późna, przychodziła, jak dzieci już spali, ja też nieraz pod pierzyno leżałem, tylko Handzia czekała, żeby podać jej mleko. Wypije po cichu, a umywszy się, albo książkę czyta, albo spać idzie,

Gospodyni

Gospodyni

<sup>176</sup>wyraczyć oczy a. wyraczyć się (gw.) — wytrzeszczyć oczy. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>jakszy (gw.), inakszy (daw.) — inny, odmienny. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>brzemie (daw., gw.) — ciężar, ładunek a. wiązka, którą się niesie, oburącz (naręcze) albo w chuście lub w płachcie na plecach. [przypis edytorski]

prawde powiedziawszy, to sie z nio prawie nie gadało. I tak wszystkie dni mijali, kromie<sup>179</sup> niedzieli.

Już w pierwsze niedziele zegarek nie zadzwonił, spała i spała, nie wstydzisz się słonka, dawno było po śniadaniu, Handzia dzieci pomyła, koszuli nam pomieniała, przymiotła, ja cielaka napoiwszy, ogolił się, umył i siedział na stolku koło popielnika, tatko po swojemu na zamiecie kości podgrzewali, ot, gadało się półciszkiem o tym dziadu, co u Grzegorychi zadomowił się całkiem, śpi tam, żyje, pomaga w robocie.

Handzia rozsiadła się na łożku: wyczesawszy sobie włosy, zapłotszy w czepek, dzieci iska, to tego, to tamtego, bo cisno się z głowami, wiadomo, iskanie.

Aż pod obiad dźwi brzdęk, ona wchodzi: w nogawicach w paski i w paski kaftanie, a widać że na gołe ciało odziana, nawet bez stanika, czubki cyckow się zaznaczają, i siada przy tatu na murku, rozspana, leniwa, oczy mruży, rękami się po twarzy maże, poziewuje.

A co to pani Handzia takiego ładnego śpiewała rano, pyta się. Bardzo ładne, jakoś tak. I nuci, jak. Handzia dziwi się: Ach, to nie wie pani? Zaaaczniście wargi nasze chwalić panne świętooo! Zaczniście opowiadać cześć jej niepojentooo! Toż to godzinki<sup>180</sup>.

Wyobraźcie sobie, opowiada ona, trochę się ocknęłam i słyszę to śpiewanie, myślę, co to, radio? Ale zobaczyłam sufit i domyśliłam się, gdzie jestem. Przecież tu nie ma radja! Tak, bardzo ładnie pani śpiewała.

A Handzia ciągnie dalej: Przybądź nam miłościwa pani kupomocyyyy, a wyrwij nas spotężnych nieprzyjaciół mocyyyy! A ty się nie kręć, sztorcuje Stasia, że głowę z podółka wykręca: Chcesz patrzeć na panie, to siadaj i patrzaj. Abo patrzanie, albo iskanie!

Stasia na nowo wciska mordkę w brzuch, Władkowi odepchnąć się nie daje. A Handzia włoski szybko palcami rozdziela i co tylko wesz znajdzie, to pstryk paznokciami, pstryk! rozdusza, oj dzieci lubio to strasznie. I nie tylko dzieci.

I ja w podłogę patrzywszy, od czasu do czasu spoglądawszy na uczycielkę, takie rozspane, leniwe, rozczochrane, poczuł ochotę, żeby jo iskać. Niechby położyła głowę mnie na kolana, ech! Cycki się wpierają między moje nogi, twarz w pachwiny, a ja wpuszczam palcy w te kręcące się włosy i rozgarniam ich w ścieżeczke, w białe, a może niebieskawe, ciekawe, jaka skóra, ech, rozgarniam włosy i popatruje, czy na tej ścieżeczce wesz nie przycupnęła. A jakże, znajduje weszke, ale oho, to nie żadne czarne wszystko, ale weszka delikatna jak serwetka, bieluśka, pazurki ma jak frędzelki. I te weszke biore między paznogi i pstryk! weszka pęka, krew pryska jak mgielka, perfuma, a ona aż się wciska mocniej z przyjemności, aż nie dycha. A ja smyk smyk palcami, szukam nowej żywioly<sup>181</sup>.

A dokąd do kościoła chodzicie, pyta się ona. Opowiadamy, że prawie nie chodzim. Ot, czasem na pasterkę, w Gody<sup>182</sup>, czasem i na Wielkanoc, jak lody utrzymają. Bo po wodzie nie dojechać. A Pana Boga można chwalić i w stodole, mówio tato, kiedyś ludzi całkiem nie umieli pacierzow, a pobożnie żyli. Aż im czort księdza naślął, nu i dowiedzieli się, co to grzech, co pacierz i zaczęli się kościoły, procesji, ołtarzy. Handzia ich ofuknęła: Co wy, księdzow z czortami mieszacie?

Oj, czego krzyczysz, ja ot, tak sobie, aby tego, a ty wr, wr! Mowie, co kiedyś siwy Orel opowiadał.

A pani chce do kościoła i się martwi, że daleko? domyśla się Handzia: To może pani z nami różaniec zmówi? Cało rodzinę mówim, jak w kościele. Co?

Ona na to, że dobrze, zmowi z nami.

Stasia wyiskawszy, bierze Handzia na kolana Władka. A ja widze, że ten kaftan i te nogawicy na pewno odziane na gołe ciało, klapki rozchylili się i dużo skóry widać, a nawet miejsce, gdzie zaczynają się cycki, ta rozpadlinka. A kolana tak rozstawiła, że nic tylko głowę położyć, niechby ona iskała. I już widze, jak głowa moja leży u niej w podółku, w pachwiny wciśnięta, a ona mnie iska białymi palcami. A palcy cienkie i sprytne, wślizgują się we włosy, przemykają się jak wenże, a takie czujne, że same, bez patrzenia namacają każde wesz. Bo i nie so to jakieś tam weszki gnidki, weszki pyłki, ale każda

Obyczaje

Kobieta, Pożądanie

Śpiew

Obyczaje

Pożądanie

Pobożność, Ksiądz, Grzech

Pożądanie

<sup>179</sup>kromie (daw., gw.) — oprócz, poza. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>godzinki — katolicka modlitwa śpiewana pochodząca od liturgii godzin, najpopularniejsze są godzinki ku czci Matki Boskiej. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>żywiola (gw.) — stworzenie. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>Gody (daw., gw.) — święta Bożego Narodzenia albo okres od Bożego Narodzenia (25 grudnia) do Trzech Króli (6 stycznia). [przypis edytorski]



duża, tłusta, orelska<sup>183</sup>: wesz gęś, wesz krowa! A jak take stonoge weźmie ona między paznogietki, to ho ho, trzask taki, jak z purchawki pięto strzelić, a krew to jej pół palców zalewa! I znowuś palcy smyk smyk: strupa znajdo zeschniętego, złuszczo. Kłoska, wyskubio. Nowe wesz, rozduszo. Ech, Handzia dobrze iska, ale uczycielki iskanie, to musi być iskanie!

A wy dziadku ile lat macie, pyta sie ona. Siedymdziesiąt?

E, więcej! chwało sie tato: Nie rachuje, ale po paznogciach widze, że więcej, w nogi powrastali. Sta nimam, bo sie śmierć mnie jeszcze nie kłaniała: jak człowiek sta dożywa, Śmierć przychodzi, kłania sie i pyta: brać was, czy chcecie żyć dalej? Bo nad takim śmierć już władzy nima, taki może żyć, ile chce, ona przyjdzie tylko, jak sie jo zawoła.

E tam, bajki bajecie, na to Handzia, nikt nie może wiedzieć, kiedy umrze. A tato:

Ale kiedyś ludzi wiedzieli wszystko o swojej śmierci, kiedy umrze, dzie, jak. Aż raz Pambóg szed, a za dziada był przybrany i widzi, człowiek łąta płot słomo! Zdziwił sie Pambóg: czemu ty nie łątasz płota łozino<sup>184</sup>, Jak Bóg Przykazał, pyta sie, toż tobie słoma raz dwa zgnije! A ten człowiek mowi tak: A co ja mam za łożo chodzić, jak ja i tak w drugie srode beknę. Zezłościł sie Pambóg: O, nie, bekniesz czy nie bekniesz, ale gównianej roboty ja nie lubie. I zrobił tak, że ludzi nie wiedzo, kiedy umrze, i pracujo sprawiedliwie. Tak. A panienki ociec matka żyjo?

Żyjo.

Urzedniki?

Nie bardzo. Ojciec kierowco jest, no, szoferem. Autobusem jeździ.

I nie boi sie?

Nie. A mama w fabryce pracuje, w tkalni.

No, no? I co tam tkajo w tej tkalni?

Materiały na ubrania i sukienki.

Ale to maszynami?

Oczywiście.

Oczywiście? Ho, ho! Ważnych ojca matke panienka ma, pańska rodzina. To krow nie trzymacie?

Nie mamy ziemi.

A, to już terez wiadomo, czemu panienka taka cienka w sobie. To niechaj u nas je dużo kartoflow, to sie rozbendzie. A w mieście był ja kiedyś na Jana. Straszny targ, jak dziesięć suraskich. Miastowe żuliki<sup>185</sup> obcięli mnie wtedy chwosta.

Nie wam, tylko waszej kobyle, poprawia Handzia.

Toż mowie, obcięli chwosta mojej kobyle. A czy w tem białym kościele ta większa wieża już dobudowana?

Nie, jest jak było, tylko ta mniejsza.

O, i ona strasznie wysoka! Gadajo, że jak z niej wyskoczyć, to sie leci już nie na ziemie, ale do nieba! A podobno dzieś koło stacji jest takie miejsce, że dołem jado pociągi, góro samochody, czyż to prawda?

Tak, wjadukt koło dworca.

Dołem pociągi, góro samochody! słyszysz Kaziuk? A tego człowieka, co chodzi w czapce z dzwoneczkami, zna?

Znam, znam. Ma dzwoneczki na czapce i woła: komu terpentyny! Komu terpentyny!

To ten! Mówio, że on bardzo uczony i od nauki sfiksował, prawda?

Tego nie wiem.

To może i Natośnikowego Stacha zna, pyta sie Handzia, on też w Białymstoku. Nie zna? W budce stoi, piwo sprzedaje?

Chyba nie znam, budek w mieście dużo.

E, jego to na pewno zna: ma dwa złote zęby na przedzie.

Nie przypominam sobie.

Starość, Śmierć

Śmierć, Obraz świata, Praca

<sup>183</sup>orelski (gw.) — właściwy orełowi, czyli flisakowi, człowiekowi splawiającemu drewno. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>łozina — gałązki wierzbowe. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>żulik (gw.) — łobuz. [przypis edytorski]

Mieszkanie ma takie, że opowiadają, woda sama leci. Pan teras z niego, w kapelusie chodzi. A do Taplarow całkiem nie zagląda. Żenił się i nikogo, nawet matki nie zaprosił. Wyrodził się.

Pogadawszy, dzieci wykawszy, Handzia do garkow sie bierze. W jednym ciepła woda czeka, w drugim kapusta i zacierka pod przykrywką. Z komorki przynosi miske z masłem, bo sie w sobote zbiło w tłucze<sup>186</sup> trochu śmietany. Uczycielka umyla sie, odziała, a pojadszy chce iść do Dunaja, ale Handzia przypomina, że w te pore wszędzie po chatach różaniec mówio: niechaj odczeka, póki zmówio, abo jak chce z nami klęka.

Jak różaniec, to różaniec. Wołam Ziućka z drogi, bo buszował z rówieśnikami: krążek kaczali<sup>187</sup> jedne przeciw drugim, kto kogo przetoczy, a po grudzie daleko sie toczy, dobrze podskakuje. I klękamy. Handzia piersza, na przedzie, z różańcem w palcach, dzieci za nio, tato przy piecy, ja koło okna, uczycielka trochu z boku, koło popielnika, dzie ja przedtem siedział: na stolku łokciami sie podperła, popatruje w węgli.

Handzia zaczyna: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.

Dołączamy sie. Ojczenasz kończym, wchodzim w Zdrowaś, ze Zdrowaś w Wierze w Boga Ojca, z Wierze w Dziesięcioro Przykazań. A potem już zdrowaś idzie za zdrowaś, Handzia każde słowo wyraźnie księduje, my za nio poburkujem, pojękujem: dziesiątke odliczy na różańcu, puszcza ostatni paciorek, mówi Chwała ojcu, synowi, duchowi świętemu, a my: Jak Było Na Początku, Teraz i Zawsze i Na Wieki Wieków, Amen.

I znowuś ojcie nasz i zdrowaśki zaczyna, jakby nowy dziesiątek stawiać zaczynała: zdrowaś do zdrowaś, jak snopek do snopka, chwała ojcu przykryć i zaczynać nowy. Abo jakby sie trawę kosiło: zdrowaśkami pociachać, pociachać, potem chwała ojcu kose poostrzyć i zaczynać nowy przekos.

W chacie niedzielnie, ale i na dworze inaczej niż co dnia: niedzielne powietrze zawsze jaśniejsze, lśkliwsze. Gumna cichsze, bo żywinię lepiej dano, nie ryczy, stodoły odpoczywają od cepa. Wrony śpio sobie na sokorach, a obudziwszy sie, leco pomalej, ciężej. Zający śmielej chodzą w ozimine, kicają bezpieczniej, parami sie zmawiają, albo i całymi familjami<sup>188</sup>, kurapatwy suno broźnami pod same chaty i stodoły, mało sie boją, musi wiedzą, że w chatach różaniec sie odprawia. Niedziela, święto. Choćby ja dniow nie liczył, dajmy na to niech mnie kto raptem zbudzi: od razu poznam, czy budzień<sup>189</sup>, czy święto. Po czym, nie wiem. Ręce i nogi same wiedzą, że dziś robić nie bedo. Ogień w piecu ładniej pali sie. Kapusta słonino pachnie. Krowy senniejsze, kobyła przymilniejsza, świni nie takie nachalne. Nie mówią o kurach, które w święta dłużej śpio, o kotach, że dłużej sie myją, o babach, że od rana podśpiewują przy piecach. Uczycielka pare cieńszych polankow na węgli cicho położyła i sie przygląda, jak sie pali, brode łokciami podperła, pomrukuje z nami. Handzia zmęczyła sie klęczyć na wyprost, na pięty sie obsuwa. Ziućek kręci sie, chciałby prędzej odmawiać, naciska, ale cóż jego głosik przy Handzinym, tatowym, moim. A spokojnie mówim, nie pomału, ale i nieprędko. Jakby szło sie za bronami, za pługiem: za prętko niedobrze, za pomału niedobrze, najlepiej w sam raz.

Tak do litanii doszlim. Ucichli my, Handzia sama:

Kirelejson, Krystelejson, kirelejson!

Kryste usłysznas, Kryste wysłuchajnas!

Ojczyniebaboże!

A my jednym głosem: Zmiłuj sie nad nami!

Synu odkupicieluświata Boże.

Zmiłuj sie nad nami!

Duchu święty Boże.

Zmiłuj sie nad nami!

Święta Trójco jedyny Boże.

Zmiłuj sie nad nami, odpowiadamy po raz ostatni, teraz odpowiemy co innego. Ona mówi: Święta Marjo, a my:

Módsiezunami!

<sup>186</sup>tłuczka (gw.) — maselnica, urządzenie do ręcznego wytwarzania masła. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>kaczać (gw.) — toczyć, turlać. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>familia (z łac.) — rodzina. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>budzień (gw.) — dzień powszedni. [przypis edytorski]

Gospodyni

Zabawa

Modlitwa

Święta Boża Rodzicielko.  
Módsiezanami!  
Święta Panno nad Pannami.  
Módsiezanami!

Uczycielka rozmodliła się, na łokciach się wozi, w przód, w tył. Matko niepokalana, mówi Handzia, a uczycielka odgina się do tyłu, i zaraz wprzód się kłoniwszy: Módsiezanami!

Matko nienaruszona.  
Módsiezanami!

I tak kiwa się, tam i nazad, tam i nazad, rozmodlona, w węgli zapatrzona. Jakby belkę piłowała, stojawszy na wierzchu, na kobyłkach<sup>190</sup>: to puszcza piłę do dołu, to ciągnie do góry, tam i nazad, tam i nazad. Jakby żyto siała: to odwodzi rękę, to posiewa. Tak samo i kosi się: odwodzi kose w prawo i ciach w lewo rękami, tam i nazad, tam i nazad: tam trawa chórem jęknie, nazad kosa pusto syczy. Handzia do nas: Panno roztropna! my do Handzi: Módsiezanami! Do nas: Panno czcigodna, od nas: Módsiezanami, wte i wefte, tam i nazad, o, każda robota z tego tam i nazad: cepem tam i nazad, siekiero polana, grabiami siano, sierpem żyto, za pługiem tam i nazad, na pole i z pola tam i nazad, tam i nazad, tam i nazad: rozkiwasz się i ręce, nogi, plecy same robio, same kiwajo się raz za razem, z lewa na prawo, z dołu do góry, wte i wefte, tam i nazad, tam i nazad i robota sama się robi.

Ja zreszto każde robote lubie, byle było bez nadążania za kimś. Żeby było tak: zechce usiąść, siadam. Zechce jabko zjeść, jem. Zechce nogi pomoczyć, mocze.

Handzia prawie śpiewa: Róžo duchowna!

My prawie śpiewamy: Módsiezanami!

Wieżo Dawidowa!

Módsiezanami!

Wieżo z kości słoniowej.

Módsiezanami! kiwa się uczycielka jak na czółnie i nie mówi już, a odśpiewuje Handzi, no, no, nie myślał ja, że będzie taka pobożna, jak stare baby w kościele się rozkiwała, już i w ogień nie patrzy: oczy zapluszczyla i kiwa się po babsku tam i nazad, tam i nazad. A jak doszło do Baranku Boży Który Gładzisz Grzechi Świata, to już całkiem jak Dominicha się rozkiwała: Przepuść Nam Panie, mówi i głowo do stolka się zgina. Baranku Boży, Który Gładzisz Grzechy Świata, zaczyna Handzia, a my: Wysłuchaj Nas Panie, i kułakami w deke<sup>191</sup> i się kłonim. A najniżej uczycielka.

A jak Handzia Pod Twoje Obrone zaśpiewała, to kiwała się ona z zapluszczonymi oczami, jakby głowo coś w powietrzu rysowała.

Odmówiwszy Anioł Pański wstali, zdrętwiałe kolana poluzować, i co widzimy: ona jeszcze ze zdrowaśke przeklęczała, zaczęła się przeckneła! Aż usiadła przed ogniem i kruczkem<sup>192</sup> w węglach grzebie, grzebie. I taka zamyślona siedzi.

Widze, że pani też lubi modlić się, mówi Handzia, o, ładnie pani się modliła. Bardzo ładnie, chwalo tato.

Bo ja to lubie pomodlić się w niedziele, opowiada Handzia. Pomodlić się długo, nieśpieszkiem. A potem tak dobrze, jakby się było dzieś w jakiejś świętej krainie, nie? A tato: Toż się z Panem Bogiem rozmawiało!

Uczycielka ogładnęła się na mnie i pyta, czemu ja nic nie mówię i raptem wydało się mnie, że ona mnie lubi, bardzo dobrym głosem spytała się. Dobrym, ale i żalonym, jakby prosiła: A dopuście mnie wendrownika zjeść z wami wigilie? I patrzy, jakby prosiła, żeby my jo lubili, ja, Handzia, dzieci, tatko.

A może pan Kazik niezadowolony, że ja do was na kwaterę się wcisnęłam, pyta się ona.

Modlitwa

Smutek

<sup>190</sup>kobyłka — kozioł, konstrukcja z drążków lub desek zbitych w kształt litery X, służąca do podpierania pni i belek podczas piłowania. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>deka (gw., z niem.) — przykrycie (koc, pled, narzuta na łóżko); tu: chodnik tkany z ciętych szmat. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>kruczek (gw.) — pogrzebacz, zakrzywiony na końcu pręt, służący do przegrzebywania żaru w piecu. [przypis edytorski]

Handzia za mnie gada, że zadowolony, zadowolony, tylko że taki Niegadalski. Ech, dobrze, dobrze posiedzieć sobie w taki święty czas, wzdycha.

A w niebie to tak jest zawsze: niedziela bez końca, cieszo się tatko, szczęśliwe, że już im do tej niedzieli wiecznej niedaleko. Tylko skąd oni pewne, że nie będzie trzeba dzie indziej wstąpić, Nie Daj Boże. Wzdychnąwszy, Handzia wstaje, chfartuchem się opasuje, kartofli w ceberku siekać świniom będzie. Uczycielka w ogniu bawi się, a zadumana! W węglach grzebie, dumki snuje. Aż przyznaje się, że tak tu z nami dobrze, że aż nie chce się jej iść do tej szkoły.

Handzia pod boki się bierze nad ceberkiem: A pewnie! Niechaj pani rzuci te szkołę, na co nam ona? A i pani szkoda! Wydamy panie za jakiego kawalera, będzie dzieci rodziła, świni karmiła, toż pojętna, raz dwa nauczy się obrządku!

A ona: A to zechciałby mnie kto?

Oho, już tu niejedyn z za firanki za panio świdruje! Nu to jak? Powiedzieć Dominowi? Zaraz posypio się rajki, że tylko z miotło stać!

Kiedy ja posagu nie mam.

E, niejużby tam czegoś tato mama nie dali?

Tylko że panienka za cienka, skrabia się w lych tato: Za przeproszeniem, panienko tylko lufty<sup>193</sup> w piecach czyścić. Ja tam by takiej cienkiej nie brał. A ona śmieje się, śmieje się z czegoś, nie wiadomo z czego, z kogo, ale chyba nie z nas. A Handzia podpytuje: Ale ale! Nie wierze, żeby tam pani nimiała w mieście narzeczonego! Na pewno jakiś doktor albo urzędnik, postawny, w okularach, z brzuszkiem? A?

O nie, ja nie chcę z brzuszkiem!

A czemu? Męszczyźnie z brzuszkiem ładnie! Od razu widać, że pan.

Ale pan Kazik, widzę, niezbyt brzuchaty.

Bo jaki tam pan z niego? Chłop! krzywi się Handzia. A tato zaraz dają zagadkę: co takiego chłop wyrzuca na ziemię, a pan nosi w kieszeniu?

Ona myśli, nie wie. Tato chwala się: A kozy, hehehe! Chłop smarka na ziemię, a panowie kłado w szmatce do kieszenia!

I tak ploto, gadają, tatko z przypiecy, uczycielka spod popielnika, Handzia znad ceberka. Nasiekawszy kartoflow, zasypała ich otrębami, zalała pomyjami i wodą. Trochu zaraz w sieniach naląła do korytka i zawołała kury, resztkę poniosła do chlewa. Uczycielka się dziwi, czemu my kury trzymamy w sieniach, ona pierszy raz widzi coś takiego. To tłómaczym, że blisko przy ludziach, pożywio się, zawsze im coś kapnie, to kartofla, to okruszki.

Handzia wróciła, obtupała nogi z gnoju i cielakowi szykuje mleko z zasytko. Przepraszam, mówi uczycielka, i spod pieca na dzieci patrzy, na Stasia i Władka, jak kotłują się w pie-rzynie, nogi zadzierają gołe, bo w sukienkach jeszcze, ciągną się, przewracają: Mnie ciekawi, mówi, kto ich przyjmował przy położu? Babka? Oczywiście spuszczamy, bo pytanie nie za delikatne. Na co jej o takie rzeczy się pytać, niezamężnej dziewczynie?

Nie, mówi Handzia, nie babka.

No i chyba nie doktor?

A na coż doktor?

To kto?

Handzia mnie pokazuje głową, że ja, a ona aż odkręca się od pieca: Pan, panie Kazimierzu? Pan?

Wszystkich czterech, chwali Handzia. A ja bierze ceberki i ciele poje. A kątek zagrodzony drabino, żeby nie wylazło z słomy na chacie.

I pan potrafił? dopytuje się ona jeszcze, pan się na tym zna?

Toż chodzi się koło żywiny, ja na to, toż i świni proso się, krowy ciele, kobyły źrebio. I żeb się odczepiła od tej sprawy, mówię o cielaku: Nu, zdaje się niezadługo będzie można wyprowadzić już jego z chaty. Już on mocny.

A ciele z ceberka siorbie, oczy przypuszcza jak narzeczone, a tak jemu dobrze, że od razu w słomę popuszcza. Uczycielka marszczy się, rozgląda się po chacie dokładnie, jakby świdrem badała i głową kręci. Jak w buszu, mówi, całkiem jak w buszu, ech, niedziela niedziela, a szkoła szkoła, wzdycha i wstaje od popielnika.

<sup>193</sup> *luft* (z niem.: powietrze) — przewód wentylacyjny w piecu, odprowadzający dym. [przypis edytorski]

Tak się między nami ułożyło, że po szkole Ziutek wstępował najpierw do stodoły, opowiadał, co było: ja, usiadłszy na przystronku<sup>194</sup>, papierosa pale, słucham. A czasem zamykali my drzwi i szli pod ścianę, tam jaśniało ze szczelubin między dylami<sup>195</sup>. Rozkładali my na paku, na deskach, książki, zeszyt, papiery i pisali. Ktoś z boku pomyślałby, że ojciec syna głupiego doucza, a było naodwrot: Ziutek mnie uczył. I tak to po kryjomu nauczył się ja pisać a, be, ce, ale nijak nie mog pojąć, co to za As, Ala. Chłopiec mnie tołkuje, że As to pies, Ala dziewczynka. A ja patrze, patrze na te litery i nijak nie mogę zobaczyć ni dziewczynki, ni psa. Jedna litera duża, szeroka, druga za nio mała jak haczyk. To ma być pies? Ty gadaj, że stóg, a przy nim krzaczek, uwierze. Abo że koń, za nim płóg, może uwierze. Że krowa, a za nio cielak!

Pies wygląda tak, mówię i rysuję coś w podobie naszej Muszki, Dunajowego Kruczka czy Mazurow Burka: głowa z uszami, wierzch, brzuch, cztery nogi, chwost zakręcony. Tak samo sprzeczaliśmy się o sad: dzie ty masz tu jabłonki, wiśni, gruszki? Sadek to sadek! I rysuję jemu drzewka z gruszkami, jabkami.

Aż przyłapał nas na tej szkole dziad od Grzegorychi: zaszed do stodoły reszoto<sup>196</sup> pożyczyc, zmłociny miał czyścić, bo wiaterek od dźwiów wiał, najlepszy.

Pytam się, czy dużo namłocił, mówi, że ze dwie kopy będzie.

To widzę niezabardzo wam idzie?

Ano, jeszcze wprawia się człowiek. Za zime zmłóce.

O, to myślicie zimować w Taplarach? To może i posiejecie wdowie? A o przystępach<sup>197</sup> czasem nie myślicie? U wdowy chleb gotowy.

A zechciałyby?

A czy to wam brakuje czego? Chłop z was widać silny nie tylko do cepa!

Odziany był po dziadosku: w Grzegorowych walonkach i nogawicach, w jego czapce i kożuszku, gruby, silny, nie wyglądał już na takiego, co rękę wyciągał. Przyglądam się jemu i coś mnie nyje<sup>198</sup>, że skądś jego znam, twarz znajoma i to mocno. Ale skąd, skąd znajoma!

A jak tam Grzegor, nie przychodzi? Nie boicie się? podpytuje jego. I co słysze? Że nie przychodzi i nie przychodził! Jakże nie przychodził, kiedy ja sam słyszał, prawie widział, jak młocił!

On na to, że Grzegorycha młociła! Nie chciała pomocy prosić, sama próbowała, tyle że odziewała się w mężowe nogawicy i pewnie stąd gadanie, że niby Grzegora nad cepem widzieli. Nieprawda, zdawało im się.

Ależ sama Grzegorycha się przyznała.

Gadała, bo gadała, on na to. Ot, przyśniło się kobiecie, sama w chacie, bez chłopca. Wy, widzę, jeszcze nie wiecie, ile człowiekowi wydawać się może! A jeszcze noco.

Ale zobaczył książki i papiery na desce: O, widzę w stodole szkole macie! I kartkę bierze, ogląda, czyta, i pyta się, kto pisał, chłopiec mówi, że tato i wstyd mnie się robi, że się wydało.

A on pisze coś na kartce, napisawszy, pokazuje: czy przeczytam. Ale dietam, literow a literow, jedna za drugo, splełtane.

On mówi, że to jego imię i nazwisko. Ale nie czyta, tylko prętko zamazuje i pisze drugie słowo, i czyta: Taplary!

Taplary! Przyglądam się temu, co wyrysował, papier oczami drapie i nie mogę, nie mogę choroba wypatrzeć Taplarow, dzie tu Taplary, czemu Taplary, jak to zaczarowane, że jest wioska, a ja jej nie widzę!

To i mnie napiszcie, proszę jego: Bartoszewicz Kaźmierz!

On raz dwa pisze i pokazuje: kołeczka, kreseczki, litera za litero, a wszystko razem to ja? Jak to się zrobiło? Które z tych kulaskow moimi walonkami, które oczami, uszami, dzie nogi, dzie czapka? Przekręcę kartkę w te i nazad, do spodu i w bok i nic, nic nie widzę! Aż ręce drżą, bo nie wiadomo: zdusić to? porwać? zjeść?

<sup>194</sup>przystronek (gw.) — siasiek, oddzielona przegrodą od klepiska część stodoły, w której składa się zboże a siano. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>dyl — belka. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>reszoto (gw.) — rzeszoto, sito o dużych otworach. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>przystępy (daw.) — przystąpienie do kobiety branej za żonę, na jej gospodarce. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>nyć (gw.) — doskwierać. [przypis edytorski]

Ale dziad tłumaczy, jak czytać: pisze litery s, a, d, najpierw oddzielnie, potem razem i nakazuje mówić głośno. Mówie sad, sad, sad, ale, jej Bohu, nic nie widze. Teraz zamknij oczy, nakazuje, i przedstaw sobie jabłonki, gruszki, wiśni koło chaty. Widzisz? A teraz gadaj głośno: sad, sad, sad, sad! A teraz odemknij oczy i patrzaj, co napisane!

I prawdziwie: litery literami, ale pod literami, nad literami zobaczył ja gruszki, jabłonki i moje złamane wiśnie! I zaraz sad Dunajow, sad Maciejkow, wszystkie sadki przy drodze.

Gruby chwali, ogłasza że umiem już czytać: teraz pójdzie samo, jak z górki!

Na uczonego ten człowiek wyglądał, aż dziwne, że z torbami przyszed: Toż wy by mogli urzędnikiem być, wojtem, mówie jemu, ale on macha ręką: Najbardziej to bym gospodarzył, do gospodarstwa mnie ciągnie. I patrzy się po ścianie, a na kołkach wiszo cep, reszota, duga, lejcy, zgrzebło, widła, grabi. Pożyczywszy reszoto, poszed zmłociny przesiewać.

Praca

Ziutek różne dziwy przynosił ze szkoły, nie tylko literami się zajmowali. Raz mówi, że ziemia nie jest jedna na świecie, takich światów jak nasz strasznie dużo, jak gruszkow na gruszy, byle gwiazdka z nieba większa jest od ziemi, a maleńka się wydaje, bo daleko. A ziemia to okrągła jest, jak głowa!

Co ty, mówie, okrągła? Jakże okrągła, kiedy sam widzisz, że nieokrągła!

Ale pani mowi, że okrągła. Tylko że człowiek maleńki i nie widzi, że tam dalej to się ziemia zagina.

E, co ty! Sie było za rzeko, nic tam się nie zagina. I nic nie mówio, że się dzie dalej zagina.

Ale pani mowi, że wesz na głowie też nie wie, że głowa okrągła, lezie i myśli, że po płaskim lezie. Pani mowi, że jakby człowiek szed prosto i szed, to do żadnego końca świata nie dojdzie, tylko przyjdzie wkoło na to miejsce, skąd wyszed. Tak samo wesz, jakby szła prosto, to przejdzie o, tak: z czubka głowy, koło ucha, pod brodo, do drugiego ucha i znowu na czubku siedzi.

Ale ale, mówie, toż by się tam pod spodem człowiek urwał i poleciał!

Tak samo spytał się Kaziuk Dunajow. A pani na to: a wesz urwie się? A mucha z sufitu?

E, bajdy, mucha co innego. Toż człowiek pazurow nima!

Ale pani opowiadała, że zna człowieka, co tak ziemie wkoło objechał jak wesz głowe i pod spodem nie zleciał i na stare miejsce wrócił.

O, choroba! I żyje?

Żyje. No, to już pójde. Do widzenia.

Tak powiedział: dowidzenia! A co on, urzędnik? Co on, stary mężczyzna? Dowidzenia? Może dzie wyjeżdża, do wojska, na służbę, do więzienia? Dowidzenia! powiedział, nogo noge przybił, się skłonił, czapkę zdjąwszy, odyjść chce.

A chodźno tu, mówie, widać rozpuściło jego, że swojego ojca pisać uczy, za mądrzejszego ma się, czy co? Biore smurgla za ucho niezamocno: Ty widze szutki<sup>199</sup> stroisz, a? Jakie dowidzenia? Dzie dowidzenia! Tu bratku, tobie nie miejsce na śmieszki! Zapamiętaj: szkoła szkoła, ale śmieszkow z tatka to ty stroić nie bedziesz!

Buntuje się, wryywa, pani tak uczyła, krzyczy, ja pani powiem! Powiem!

Kręciwszy ucho, ucze smurgla, co to ojciec i że nie będzie mnie swojo panio straszyl. Aha, i żeby ty ani słówka nie pisnoł, co my tu w stodole robim. A to dla pamienci! Zgioł ja srała na kolano, przyklepnoł ze dwa razy, ale jakoś beku nie słysze, co to? Przyklepnoł ja mocniej, oho, widać zacioł się smurgiel. To jeszcze raz. Jeszcze raz. I jeszcze. Aż wrzasnoł. Nu, jak wrzasnoł, nie zapomni.

Uczeń

Obraz świata, Nauczycielka

Gniew, Przemoc, Ojciec

Na trzy dni przed świętami uczycielka wyjechała: zabrała się z Kramarem, a jechał do sklepu po gaz, mączkę, zapalki na hendel, sklep koło stacji, w Strabli<sup>200</sup>, dużo drogi, i to

Podróż, Zima

<sup>199</sup>szutka (gw.) — żart. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>Strabla — wieś w woj. podlaskim, w pow. bielskim, ze stacją kolejową na trasie Białystok–Lublin. [przypis edytorski]

kopnej<sup>201</sup>, bo śniegu nawaliło po kolana: wyjechali wcześniej, ledwo dniało, wrzuciła na sani waliske i torbe, szmatami nogi poobkręcywali i przepadli w białym polu.

W chacie zrobiło się bez niej pusto, przestronno, tymbardziej że i cielak przeszedł do chlewa, za specjalne przegródki, żeb krowie mleka nie podbierał, żłob się tam jemu wstawilo oddzielny z delikatniejszym jedzeniem.

W wigilje Handzia napiekła pierogow<sup>202</sup> z pytlowej mąki, cztery bóchenki, skore pomazała żółtkiem z mączko, pozapiekalo się, a wyjęła z piecy, aj jak zapachniało! Pierogi napieczone na święta, a na wigilje uszykowała barszczu grzybowego, grzybow z cybulo, zalewajki z suszonych gruszkow, kuci<sup>203</sup> i połamańcow<sup>204</sup> z makiem. Po wieczery mycie było w balei, szorowanie dzieci takie, że rozparzone, maku najedzone, w świeże pościel położone pozasynali od razu. I my z tatem się pomyli, poodziewali czyste koszuli, gaci, niedzielne spodni i marynarki, a budzienne odzienie i kożuchi nasze i dzieciow wrzuciła Handzia do piecy, żeb się wszy wyparzyli, póki piec gorąca po pierogach. Potem poszli tatko do Michałow posiedzić pogadać z drugim synem, synowo, drugimi wnukami. Ja siano spod obrusa wzięwszy, krowom niose.

A na dworze święto, zorki<sup>205</sup> wyroili się na niebie tysiącami, skrzy się, śnieg bieluśki, strzechi bieluśkie, zmierzch nie szary, ale sinawy, tylko okna żółciejo, i ciuchutko jest, cichuteńko, mięciutko, czasem pies zaszczeka, ale niegłośno i bez złości, ach, co za wieczór święty, noc prześwieta, Dzieciątko się Rodzi, Chwała na Wysokościach, pokój na ziemi, radość wszelkiego stworzenia i zgoda: tej nocy zajęczek swoje głowy na wilczym boku kładzie, jastrząb kuropatwe głaska pazurami, pies kota liże, krowy ludzkim głosem gadają o gospodarzach. Na palcach, żeb śnieg nie piszczal, podszed ja pod dźwi: a nuż i moja Raba z Mećko rozmawiają? Posłuchał ja, ale nic, żadnego głosu, tylko postękiwanie. A podścieliło się im na święta bogato, leżo w słomie jak w pierzynach, leżo, żujo i postękujo, z sytości: Mećka stęknie, Raba odstęknie, oho, czy oni gadać nie probują? Mnie zobaczywszy, łby do dźwiow obracają: widzo, że gospodarz przyszed, siano wilijne<sup>206</sup> przynios, wstają, a jakże, siano z ręki skubio nabożnie jak opłatek, po trawce, po dwie. Jedz, Raba, jedz, mówie, za rogami drapie, szyje gładze: jedz, ale pilnuj się, bydlaczku, żeby więcej takich fokusow nie było, jak z tym cielakiem.

Nu i karmie jeszcze mojego wyrodka, niech zje wilijnej strawy, będzie pewniejszy. A ładnie rośnie, żadnej skazy nima, wesolutki, rozbrykany, tyle że do Siwki częściej się lasi niż do Raby, o matce całkiem zapomniał, ech, różne dziwy dzieją się na świecie, nie obejmiesz ich rozumem.

Reszta siano do żłobu kładę i dźwi zamknąwszy, odchodzę, ale na niby: zaraz cichutko wracam, może teraz, po opłatku, bedo gadać? Nie, postękujo tylko, siano żujo.

Święta świętami, na kolędach zesłi, gadaniu, różańcach. Ziutek z szopko latał. Herody<sup>207</sup> jak co roku zaszli, śmiechu narobili, podwędzili pół pieroga, ale tak trzeba, jak pamięć pamiętam, zawsze tak samo dokazywali, to samo przedstawiali: każdy w wiosce, kromie małych dzieci, wie na pamięć, co robi i wygłasza Herod, co Śmierć, Anioł, Żyd, Koza, Cudzoziemiec, ludzi każde słowo, każdy krok pomiętają i ni zmylić się, ni przeznaczyć nie dają. I dziwne: choć się umie przedstawienie co do słowa, jakoś tak jest, że nie nudziejo nikomu Herody, za rok znowuś czeka się, żeb gadali, skakali, dokazywali.

Gody jak Gody, ale Bogaty Wieczor<sup>208</sup>, ten przed Nowym Rokiem, był wesoły. Wy-

Obyczaje, Wierzenia

Święto

Jedzenie

Zima, Święto, Gwiazda

Święto, Obyczaje

Żart, Obyczaje

<sup>201</sup>*kopny* — o drodze, gruncie: pokryty grubą warstwą sypkiego śniegu a. piasku, trudny do przebrnięcia. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>*pieróg* — tu: potrawa kuchni wschodniej: pieczony placek z nadzieniem przygotowany na słodko (z białym serem lub jabłkami) lub na słono (z ziemniakami, ziemniakami z serem, kaszą, mięsem, rybą lub kapustą). [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*kucia* a. *kutia* — tradycyjna potrawa wigilijna kuchni wschodniej, robiona z gotowanej pszenicy lub kaszy z utartym makiem oraz miodem i różnymi bakaliami. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>*połamaniec* a. *łamaniec* — tradycyjny wigilijny deser kuchni wschodniej, rodzaj kruchych ciastek pszennych podawanych z masą makową. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*zorka* (gw.) — gwiazda. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*wilijny* — wigilijny. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>*Herody* — grupy kolędników odgrywające bożonarodzeniowe przedstawienie o przyjściu na świat Jezusa, rzezi niewiniątek i śmierci króla Heroda Wielkiego, nierzadko z wplecionymi zabawnymi wątkami ludowymi. [przypis edytorski]



szed ja pilnować gumna, żeby chłopcy czego nie wyfigłowali. Akurat w pore, bo sypali słome od Jozika Dunajow do Mani Bartoszkowej: sypali grubo, całego okołota<sup>209</sup> nie pożałowali, oj, póki sie zadcpczo te słomki, pogadajo sobie ludzi, pogadajo, już sie młode nie wybronio przed wiosko: bedzie musiał Jozik iść do niej z rajkami.

Akurat kończyli sypać. A skończywszy, rozglądajo sie, co robić dalej. Podchodze ciszkim, słysze, zmawiajo sie zamazać okna uczycielki glino z popiołem.

Jej zamażecie, a ja bede czyścił? mówie raptem, aż podskoczyli. I podmawiam, że Michałowi wartoby co zrobić.

Zatkać dymnik<sup>210</sup> sianem, doradza któryś i wszystkie w śmiech! wiedzo, że u mnie i Michała dymnik jeden: u niego dym by sie kotłował, to i u mnie.

Sobie to ja nie bede zatykał, mówie.

To może woza wciągnąć na stodołę, podradza drugi i znowuś śmiech, bo wiadomo, że woz też mamy spolny.

Skończyło sie na tym, że woz wyprowadzili my ze stodoły Kozakowi, rozebrali na kawałki i po kawałku wciągnęli na dach: tutaj poskładali i stanął woz na stodołę, na koźlinach<sup>211</sup>, z hołoblami zadertymi do góry! Tylko konia brakowało. To zamiast konia postawili my pomiędzy hołobli kulik<sup>212</sup> słomy.

A dymnik zatkałim Dominowi.

Dalej czarnym Litwinom założyłim słomo drzwi: całe sterte ułożyłim gomłami na sztorc. A drzwi u nich odmykajo sie nie do sieniow, tylko na dwor!

Mazurowi Co to ja zawiązałim od nadworza drzwi lejcami: żeby wyjść z chaty, Nowy Rok zacząć, bedzie musiał dubeltowe<sup>213</sup> zimowe okna wyjmować! Szymonowi Kuśtykowi operlim o drzwi ciężki kloc: rano, jak naciśnie zamyczke, nachylony kloc zwali sie do sieni, na łeb Szymonowi, może i po kuśtyku haknie. Dalej poszli beze mnie, do Mazurowych dziewcząt poszli, przebierać sie: chłopcy za cyganki, wysztukujo sobie cycki i zady z siana, podkraszo burakiem policzki, słomiane kosy pozaplatajo i spod chustkow wypuszczzo, nałożo sukienki do piętow. A dziewczęta boty z cholewkami obujo, nogawki wpuszczzo i poodziewajo kawalerskie marynarki, i czapki na bakier, i wąsy podomałowujo węglem i ech, cyganow bedo udawać, pójdo po chatach z ręki wrożyć, z wody, czarować dymem, o dzieci sie targować, podpytywać ojcow, matki dzie ich syny, córki z domu pogineli, i przyśpiewywać, i tańcować, a i myszkować za plecami, z garkow wyjadać: tego wieczora wszystko dozwolone, wszystkie żarty. A potem tygodniami bedzie sie zgadywało, która była tym cycatym cyganiukiem, jakaż to pleczysta cyganka łokciem cegle z pieca u Dunaja wywalila, miesiącami bedzie sie opowiadało, jak Mazur co to ja oknem wylazil z chaty, Kuśtyk guza złapał, a Kozak zjeżdżał wozem ze stodoły, i wyglądać sie bedzie wesela Bartoszanki z Jozikiem.

Dzień po Nowym Roku Dunaj wysłali na stacje Natośnika. Wyjechał rano, a nie wracał i nie wracał, bojelim sie już z Handzio, czy uczycielka nie ostała sie w mieście na zawsze. A może ich wilki przestąpili? Ale przyjechała, tyle że noco, podobno pociong spóźnił sie: miał być przed obiad, a przyszed wieczorem. Z saniow wyladowali my ze dwa worki książkow, wielkie okrągłe gule<sup>214</sup>, worek jakichś brzękotkow i waliske. Uczycielka nogi pomrozila i trzeba było ich śniegiem nacierać, Handzia nacierała. Ale choć bolało, ona żartowała, pytała sie, jak święta przeszli, Handzi dała na prezent sześć talerzow z widelcami i nożami, dzieci pobudzili sie, dostali po cukierku, smoktali i sie przyglądali spod pierzyny, tatko dostali latarke, takie że jak pstryknąć świeciła: bawili sie, zapalali, gasili, zapalali i wypytywali o miasto. Handzia uszykowała mleka z pierogiem, specjalnie dla niej zostawionym, w chacie poweselało.

Gospodyni, Gość

<sup>208</sup>*Bogaty Wieczór* a. *Szczodry Wieczór* — tradycji ludowej na Podlasiu: wieczór poprzedzający Nowy Rok. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*okołot* (daw., gw.) — omlócony snop zboża. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*dymnik* — w chatach bez komina otwór albo rura do odprowadzania dymu. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*koźliny* — skrzyżowane drągi na szczycie strzechy wzmacniające poszycie dachu. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*kulik* (gw.) — mały snop słomy. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*dubeltowy* — podwójny. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*gula* (gw.) — przedmiot w kształcie kuli. [przypis edytorski]

Sześć talerzow i sześć łyżkow, nożow i widelcow sprezentowała Handzi uczycielka, ale czy kto wiedzieć mog, co dalej będzie? Wydawało się, że oni ni do czego, ot, do leżenia na policy i Handzi do chwalenia się przed babami. Aż tu w niedzielę staje uczycielka przy piecy za gospodynie, Handzia tylko ognia pilnuje i donosi jej: to woda, to cybule, to jajka, a ona coś szykuje, jedzenie jakieś niezwykajne. Gotowali w trzech sagankach: w jednym jakiś barszcz czy krupnik, w drugim kartofli, oskrobane, w trzecim buraki sterte na miazge. Jak się im ta miazga ugotowała, saganek zdjęli i zaczęło się najgorsze: postawili patelnie, a co na tej patelni?

Jedzenie

Kawał kumpiaka, taki, że kapuste można by na nim gotować przez pół miesiąca, pokroiła ona w plastry! Te plastry obstukała na desce polankiem i zaczęła smażyć. A smalcu to rzucała bez miary, jakby błotem chlapała, a nie sadłem topionym! Smażywszy, nałupiała cybuli i cybulo mięso obłożyła, prawda, strasznie skwierczało, pachniało, Handzia dzieci odganiała, bo całkiem zgłupieli, leżli do piecy jak muchi w mleko, tato zastygli na murku, patrzyli babom na ręce i postękiwali: O Kirelejson, cybula! Omatkoboska, jajko! aż z tego wszystkiego różaniec wyjęli i dawaj modlić się, oczy zapluszczywszy, tylko dychają, zapachi łykają. A mnie serce boli patrzeć, na język ciśnie się jedno: czy wy baby w Boga nie wierzycie? Tyle dobra na raz marnować! A może my dziś parszuka zakłuli i temu tyle smażenia, bo świeżyny dużo? Może dziś kłusty czwartek? Nie, cholera, toż wiem dobrze, że dziś niedziela, a do czwartku i do popielca z pięć tygodni jeszcze! A parszuka to my kłuli po kopaniu, parszuczka niedużego, jak on ma do postu wystarczyć, to po kostce trzeba brać, po troszku. A tu masz! Że uczycielka się szasta, pojąć moge, ale Handzia, czemu ona miary nima!

W głos powiedzieć nie wypada, trochu wstyd przed uczycielką. Ale tylko wyszła Handzia do komorki, ide za nią: Co tobie, babo, ty chcesz wszystko zmarnować na raz, pytam się, złapawszy ją pod boki i trzęsę, trzęsę nią po ciemku: Czy ty kobieto rozum za stodołę wyszła! Uch, walnęłoby się babe kulakiem, ale nie wale, rozbecz się jeszcze i ściągnij uczycielkę. Trzęsę, ale żonkę opętało: Puść, źli się, puszczaj, ona czeka na mąkę!

Kłótnia

Co wyrabiacie, szalone!

Zaraz spróbujesz, zabaczysz! chwali się ona bez wstydu brydu. I wyrывa się, ucieka.

Uczycielka nożem stoł oskrobuje, zeszkrobuje czarne, co się ułożyło od kapania z łyżkow i miskow. Oskrobuje, myje z popiołem i decha bieleje jak nowa! I zaraz talerki rozstawia, sześć, przy każdym kładzie łyżkę, noż, widelec. Do talerkow nalewa tego krupniku i odgarnawszy czub z czoła, pod boki się bierze, zaprasza: Proszę bardzo, siadajmy, pierwsze danie zupa jarzynowa. Handzia napęcza: Nu, siadajmo, Kaziuk, dzieci, tatu, siadajmo, spróbujęm jak w mieście jedzo.

Obyczaje

Napęcza, bo jakoś nikt się do tych talerkow i nożow nie rwie, choć każdemu kiszki myczo, tyle smakow i zapachow w chacie krąży. Patrze ją na sześć talerkow, sześć widelcow, nożow, łyżkow, blaszanych, z białym połyskiem, patrze na stoł biały, wyszorowany i widze, że z mojego stołu zrobił się stoł cudzy, nie moj! Jakże w swojej chacie do cudzego stołu siadać? Oj, czuje jak złość obejmuje mnie całego, wielka złość mnie w głowie huczy, i strach niemały ręce trzęsie. Sześć talerkow? Każdy sobie będzie jadł? Na co noży? A widelcy? A co zrobio z burakami, z to czerwono mamalygo<sup>215</sup>, jak jeść takie straszne hadztwo? Z kartofłami ją podadzo, czy do mięsa, czy do tej tu, jak to ona mówi, zupy? Czemu obiad nam zepsuli, obiad niedzielny!

Siadajcie, mówi Handzia, spróbujęm po paninemu!

A to już niedobrze po naszymu, pytam cicho, a uczycielka pódmawia: Cóż szkodzi spróbować, jakie gdzie indziej obyczaje. I na patelni mięso przewraca, dosmaża.

Handzia siada pierwsza i dzieci siadają, i tato, uczycielka staje za plecami, pewno ciękawa, czy pochwalim te jej zupe.

Posiadali, łyżki wzięli i na mnie czekają: żadne zacząć jeść nie może, póki ją, gospodarz, łyżki nie umocze.

Trudno, siadać trzeba, siadam przy tym stole cudzym, niby moim, a nie moim. Przeżegnać się trzeba, ale jakżesz żegnać się, kiedy tu jakieś widelcy, noży błyszczą, a deska bieleje, jakby z niej skóra zderli. Sześć talerkow w rzędach stoi, każdemu talerz, i jak to, każdy sobie ma się żegnać, każdy do swojego talerka? Ręka, co zawsze mnie sama że-

<sup>215</sup>*mamalyga* — potrawa z mąki kukurydzianej; przen.: nieapetyczna papka. [przypis edytorski]

gnała, cięży teraz jak polano. Próbuje przeżegnać się tym polanem, zaczynam i nie mogę skończyć, nie przeżegnawszy się, biore łyżkę, a blaszana ona, zimna, błyszczą.

Niechaj pani siada z nami, zaprasza Handzia, uczycielka dziękuje: dzisiaj raz dla odmiany ona gospodynią.

Bratniewola, zacerpam ja piersze łyżkę, niose, choroba, łyżka niegłęboka, ręka drży, póki ja donios do gęby, pół się wylało na podłogę i kolana. Druge łyżkę zacerpam, jeszcze gorzej! Trzecie niose, ręka tak skacze, że nic do gęby nie donosze, nie wiem nawet, czy dobra ta zupa, czy niedobra: łyżkę na stoł rzucam! I przygarbiwszy się na moim stołeczku, patrze się po tych sześciu talerkach, po blaszanych łyżkach, że moje dzieci nimi jedzo, moja żonka, że i moj ojciec łyżko musi się męczyć. To i tymi widelcami jeść bedo, i tymi nożami te zmarnowane mięso i te miazge? O niedoczekanie twoje, przyblendo ty kusa, łazego miastowa, czego ty swojego nosa między nasze miski wpychasz!

Ale już i tato cicho łyżkę kładło, już i Handzia, i dzieci, na mnie spojrzawszy, jeść przestali. Co się stało panie Kazmierzu, pyta się ona, zdziwiona bardzo, moja zupa wam nie smakuje?

Chce się powiedzieć: twoja dopa! ale jakoś słowo w zębach dusze, siedze zły, aż w oczach błyska, nie wiem, co zaraz będzie: może zgarne rękawem te talerczyki, może stołek przewroce, może świsne widelcami w uczycielkę!

Jeśli wam zupa nie smakuje, trudno, mówi ona zmartwionym głosem, to może najpierw drugie danie?

Drugie sranie! mówię i kułakiem łups w stołek, aż te nożyki widelczyki zabręczeli i z talerkow się polało.

Co ty, Kaziuk? pyta się Handzia i wstaje, a bardziej prosi, niż pyta się, a ja jak nie hukne: Milcz ty!

Uczycielka zakręciła się koło komina i stoi cichutko jak trusia. Wtem chwartuch odwiązuje: Ach, zapomniałam, że na trzecią obiecałam być w szkole, mówi cienko, pani Haniu, niech mnie pani zastąpi przy kuchni.

I raz dwa swoje kurtkę bierze, w biegu się odziewa i niby śpieszkami z chaty wychodzi. Tylko jej głowa mignęła za oknem, mówię do żonki:

Stawiaj miche!

Cichutko, wie Handzia, że nie żarty, miske stawia na środku między talerkami.

Zlewaj!

Zlewa ona z talerkow do miski, jeden po drugim, wszystkie sześć, miska duża, glinianna, pomieściła, talerki składa jeden w drugi, zabiera. Ale pozostali się na stołku i błyszczą tamte łyżki, noży, widelczyki.

Won i te pizdryki! rozkazuje.

Ona ich zabiera, a kładzie łyżki nasze, drewniane. I wybieramy, każdy swoje, moja największa, z trzonkiem trochu wykrzywionym na sęcisku. Wzięli łyżki, trzymają, na mnie patrze, kiedy łyżkę umoczywszy, jedzenie zaczne. Zaczne, ale przedtem rozkazuje:

Żegnać się od nowa!

Żegnają się, żegnam się i ja i łyżkę umaczam w tej jej zupie. Smakuje te zupie smakuje i czuje, że może ona i niekiepska, ale nie do jedzenia.

Zabieraj te hadztwo, mówię, syp kartofli!

Nasypała Handzia całe miche, zaskwarzyła kłuszczem z patelni.

A mięso wrzucisz jutro rano do kapusty, rozkazuje, mięso się gotuje w kapuście, rozumiesz? A teras rob kwas do kartoflow!

Prędko drugie miske stawia i nalewa z ładyszki zakwaski i zaraz nad miskę czosnek nożem drobi. Posoliła, zamieszała, siada do stołu. Pokazuje jej palcem jedno miche, drugie: O, to jest moje i moich dzieciow jedzenie! I zapamiętaj, mówię, palcem groziwszy pod nosem: żeby więcej takiej rozpusty jak dzisiaj nie było! Nu, jemy.

I jemy. Jemy zwyczajnie, po naszymu, jak Pambóg przykazał, jak święty Jozef z Matkobosko i Jezusem jedli: z jednej miski. Jemy i smakuje, i dobre, i jak trzeba!

A jak zjedli, obter się ja rękawem, przeżegnał się. Posłuchał, jak się w brzuchu odbija, odkachnoł i kazał Ziutkowi, żeby wody dał: podał cały kubek, ja odchyliwszy głowę w tył, pije, pije dużymi łykami, bo lubie, jak rozgrzane zęby drętwieją od zimnej wody i szkło na nich pęka, i lubie, jak chłód rozchodzi się kiszkami po brzuchu. Potem possawszy

Jedzenie

z zębów, bo dobre, splunąwszy na podłogę, bo lubie, oblizawszy się, bo trzeba, kładę ręce na kolanach i mówię:

Nie pódziesz więcej Ziutek do szkoły!

Czemu? pisno!

Bo ja tak mówię!

A Handzia, cicho jak trusia: Ale ona się obrazi.

A niechaj obraża się!

To jak my z nią będziemy żyli?

A może sobie iść od nas Kczortumatiery<sup>216</sup>!

Co ty, Kaziuk? I pieniędzy za kwatere nie żałujesz?

Czortbiery<sup>217</sup> i jej pieniędzy! Niepotrzebne mnie jej pieniądze. Zapłaciła za dwa miesiące i co? Leżo.

Leżo. Ale sol wychodzi, mączka, nafta, trzeba kupić!

Na to starczy samych jajków, co ona wyżera.

A trzewiki dla mnie? A kortu<sup>218</sup> tobie na odzienie? A płóg?

A dzie to chodzisz, że tobie trzewików trzeba? Na tancy? Walonki masz? Masz. Drewniaki na zimę dzieci mają? Mają. A mnie i stare odzienie dobre.

A płóg?

Tylko piętke<sup>219</sup> kupić. Dawniej rosochami orali i rosło, nie tatu? A te talerki i widelcy oddaj jej nazad albo wyrzuć. My nie panowie!

Ale czy nie można było raz spróbować jeść inaczej? Żali się Handzia.

Inaczej? zerwali się tatko: A co to, czy my parszywe jakie, że każde z innego koryta jadło? To krowy muszo mieć każda swój żłob, bo się nie dopuszczają. A toż człowiek nie krowa!

Razem żyjemy, razem robimy, razem jemy! zakończył ją. A ty Ziutek pamiętaj: koniec ze szkołą!

Pieniądz

Obyczaj

Znowuś Dunaj kluczek posłał od chaty do chaty, że wieczorem zebranie. Tym razem zebranie miało być z uczycielką, bo przywiozła ze świętów jakieś ważne nowiny, udumała, że ogłosi. Wszystkie gospodarze poszli, ja nie poszedł, na złość uczycielce, przejrzał już ja całe szczerstwo jej na wylot. Ładniutka, miłutka, cieniutka, panie Kaźmierzu, pani Haniu, ludziom się zdaje, że sama dobroć, sama prawda, a ona swoje robi! Po cichu, ale robi. Dziś podsunie w ręce latarkę, co się sama pali, jutro talerki, widelczyki, zupe, a pojutrze te maszyny! Czego wy boicie się elektryczności, mówiła Dominowi, toż będziecie sobie rodzili się, żenili, żyli jak żyli, tyle że w chatach będzie widniej, oczom zdrowiej, rękom lżej. Czego boicie się szosy? Do miasta będzie bliżej, łatwiej! Odpowiedzieli jej Domin: a beczka jak wyjąć jedne klepki, choćby najcieńsze, czy utrzyma wodę? Tak samo będzie z nami, Taplarami.

Na zebraniu przeczytała uczycielka z gazety, co pisało o bagnie i Taplarach: że za rok woda będzie spuszczone i zaczną się mejloracji, układanie szosy i stawianie słupów do elektryczności. I pokazała narysowane w gazecie: u góry było jak jest teraz, Narew ze wszystkimi odnogami i Taplary. A u dołu tak jak będzie: jedna rzeka koło Zawyków<sup>220</sup> i Suraza, a na bagnie łąki i drogi. Pokazywała też na tym zebraniu duże gule, że niby ziemia tak samo okrągła jak ta gula: sinawe miejsca na niej to morza, zielone ziemia, żółte centki na niej to góry, a sine wężyki rzeki, i pokazała małe ogonek, że to Narew, ogonek nie dłuższy niż włos na ręce.

Podstęp

<sup>216</sup>kczortumatiery — przekleństwo, dosł.: do matki diabła. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>czortbiery — do diabła, dosł.: niech diabeł weźmie. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>kort — tkanina wełniana o skośnym splocie używana głównie na ubrania męskie. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>piętka — element pługa, stalowa płytka na końcu pługu, zabezpieczająca go przed ścieraniem. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>Zawyki — wieś w pow. białostockim, na płn. brzegu Narwi. [przypis edytorski]

Jakto, pytam sie Domina, cała Narew krótsza od takiego włoska? Toż oreli<sup>221</sup> opowiadajo, że tylko do Tykocina<sup>222</sup> płyno dwa tygodni! A toż rzeka jeszcze dalej płynie, dzieś het pod Kanade! Jakże take rzeke w ogonek przemieniać?

Wytlómaczyli Domin, że to tylko tak sie przedstawia. A bagna podobno całkiem nie było na tej guli: bo za małe, mówiła ona, a że ludzi to złościło, wzięła i sama postawiła im na guli tej kropeczke.

Podobno znowuś była zajadła sprzeczka między nio a ludziami: ludzi ostro obstawali, że te mejloracje i elektryczność niepotrzebne, nam dobrze i na bagnie, my przyzwyczajone, na to uczycielka: wy nie chcecie zmiany, ale ludzie koło Bokin chco! Napisali podanie, żeb bagno osuszyć, jeździli, prosili. No i władza wysłuchała ich.

To my napiszmo drugie podanie: żeb nie osuszali, mówie, słuchawszy tego, a Domin: A umiesz pisać? Co, uczycielki bedziesz prosił, żeb napisała?

Grzegor napisze, mówie, a Domin, że podług uczycielki żadne pisanie już nie pomoże, bo za późno: już roboty zaczęte. Nie interesowali sie my światem i przegrali z Bokińcami.

Abodajesz tych bokińcow, rozkleli sie tatko: Może wybrać sie tam do nich po lodzie, podpalić, powybijać! Nie darować ancychrystom! A Domin: w więzieniach by my zgnili.

To co robić, stryku, pytam sie Domina, radźcie coś, musim bronić sie. A co sołtys na to wszystko?

I co słysze. Że Dunaj też nie chco tej mejloracji ni elektryczności, ale jak ludzi dawaj krzyczyć, żeby i szkole znieść, Dunaj zaczęli szkoły bronić: niechaj dzieci uczo sie, żeb umieli swojego dochodzić! I poprosili uczycielke, żeby coś nam doradziła, na to ona, że im prędzej sie zgodzim na to, co ma być, tym lepiej dla nas, nima co dmuchać przeciw wiatrowi, co ma być bedzie na pewno.

Tymczasem uczycielka całymi dniami mnie nie oglądała, ja jej. Z rana jak budziła sie, ja dawno był w stodole. Obiadem, jak przychodziła, w stodole. Wieczorem u Domina abo Kuśtyka. Abo już w łóżku. Specjalnie musiała zająć na gumno, żeb spytać, czemu nie puszczam chłopca: Dlaczego pan, panie Kaziku, nie pozwala Ziułkowi uczyć się?

Akurat ja młocił. Młoce, pościel<sup>223</sup> pomału obchodze, tak kręce, żeby do niej być plecami.

Niech mi pan powie, bardzo proszę, dlaczego pan nie puszcza syna szkoły, piłuje ona. Bo nie trzeba, mówie wreszcie.

Ależ on ledwo sylabizuje!

Starczy!

Ale co się stało, panie Kazimierzu? Za co pan się na mnie tak zagniewał?

Nic nie mówie, młoce. Niech mnie ona nie panuje, każmieruje, kazikuje, wiem ja, co sie szczyrzy pod to jej dobrocio. Prawda, szkoda jej trochu, po głosie słysze, że rozżalona bardzo, zbiedzona. Nu, pewnie, jak jej połowa dzieciow przepadła, za tydzień, dwa, sama ostanie sie w klasie, najwyżej z Dunajakami, Kramarukami, to nic dziwnego, że nie chodzi roześmiana.

Proszę mi powiedzieć, co się stało, błaga, może ktoś was namawia? Czy nie ten włóczęga?

Ja nic, młocił i młoce, plecami do niej. Widzi ona, że jak do ściany gada: postoją, postoją i poszła do chaty, przygarbiona z żalości. Może i dobre ma serce, ale co z tego, na co wciska sie nieproszona, taka nie wiadomo skąd i czego, łągęguje zamiast żyć, jak ludzi żyjo, tam dzie sie rodziła. Z litości tylko jeszcze nie wygonił ja jej na dwor, trochu wstyd człowieka ze swojej chaty wypychać, gość sam, jak sumienie ma, powinien wiedzieć, kiedy jego nie chco. A wszystko przez te zebranie, po zebraniu pół wioski nie puściło dzieciow do szkoły, drugie pół ważyło sprawe. Koło półpościa<sup>224</sup> szkoła opuściła, pięciu Dunajakow ostało sie uczycielce i Kramaruki. Probową po chatach chodź z sołtysem, namawiać, ale bez żadnego skutku. Szymon Kuśtyk nie wpuścili jej za prog, a Dunaja obezwali od judaszow. Z tydzień przesiedziła uczycielka w domu, tyle wychodziła, co do Dunajow, pogadać. Czeką, że sie może co odmieni, a smutna była, jakby jo pobito, tylko z Handzio

<sup>221</sup>orel (gw.) — flisak, człowiek splawiający tratwami drewno i in. towary. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Tykocin — miasto w pow. białostockim, położone nad Narwią, na zach. od Białegostoku. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>pościel — tu: rozścielone do młócki zboże. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>półpoście — środek Wielkiego Postu, środa w czwartym tygodniu postu. [przypis edytorski]

Szkoła

Ojciec, Nauczycielka

Gość

Nauczycielka

gadała: nauczyła się na prątkach<sup>225</sup> robić, uplotła sobie szalik z wełny. Ja chate omijał jak mog, w stodole czy w chlewach siedział z roboto abo i bez roboty, abo szed do ludzi, byleby z nio nie rozmawiać.

Aż raz szła od Dunajow i wyszed na droge Filip: szed za nio blisko jak przez chate i trąbił po swojemu. Co ona stanie, on stanie: stoi i trąbi. Ona coś powie, on odtrąbi. Ona idzie do niego, on odstępkuje, trąbić nie przestaje! Te, co to widzieli, nie dali rady opowiadać, na same wspomnienie kładli się ze śmiechu. Tak odprowadził jo pod nasze chate. Weszła i zaraz rozbeczała się, ślozy puściła, nawet Handzi nie przyznała się od czego. Plakawszy, poskładała szmaty do plecaka i choć Handzia podobno pocieszała, nie wypuszczała, poszła śniegami na las, w strone stacji. Ktoś nakazał Dunajowi, Dunaj prędko konia założyli i pognali za nio sankami, żeb nie zbłądziła, abo się nie utopiła dzie na oparzelisku. I tak Filip pomog mnie się pozbyć tej całej przybłądy miastowej i bardzo dobrze.

Łzy

W piątek przed Palmowo Niedzielo<sup>226</sup> poszło się do Domino w posłuchać Gorzkich Żalow<sup>227</sup>: lubie sobie wcisnąć się dzie w kątek między szmaty kożuchi, skulić się, zgarbić, oczy przypluszczyć i roić<sup>228</sup> sobie Męke Pańskie, serce kruszyć, o, tylko niektóre kołedy mogo równiać się z Gorzkimi Żalami. I może godzinki. Baby już zeszi się, chata pełna jak na kądzielnik, babskie to przeważnie nabożeństwo, z mężczyznow byli tylko Domin, Kuśtyk i ja. Lampe zawiesili Domin pośrodku na drocie, wykręcili na całego, baby poschodzili się z roboto: Natośnicha z wituszkami<sup>229</sup>, rozsiedli się kole pieca i talkowali szpulki, Kozaczycha Jej Bohu z workiem szmatow: derli szmaty na pasma do chodników, Szymonicha kołko<sup>230</sup> przynieśli, przędli wełne, drugie baby abo robili na drotach sfetry, szaliki, szkarpiety, abo łatali, abo wyszywali ręczniki na Wielkanoc, w rożyczki i koguty. Kuśtyk na progu łatali reszoto końskiego chwościno<sup>231</sup>, Dominicha przędli pakule<sup>232</sup> na worki. Tylko Domin przy piecy siedzieli bez roboty i drapali się po nogach i ja, w kątku przy dźwiach, na ceberkach. Aż ktoś pyta się, czemuż to Grzegor nie nadchodzi, czas śpiewanie zaczynać, ileż czekać.

Święto, Obyczaje

A czekali, bo miał przyść.

A Domin na to: Obrządził żywine, teras pewno Grzegoryche obrządza!

A Dominicha: Fe, plejto, łapiasz tym językiem w poście jak żydzisko!

A Kuśtyk: Nie obrządza, nie obrządza, toż on nie kiernoz<sup>233</sup>, nie bedzie w poście laz do baby.

A Natośnicha: Kiernoz! Bo bez ślubu żyje.

A Dominicha: Toż nie bedzie w poście ślubu brał. Ale zaraz po Wielkanocy, Grzegorycha gadała, zaraz ponioso na zapowiedź<sup>234</sup>!

Na zapowiedź? No, no! Dawaj baby obrabiać nowine: bedzie miała Grzegorycha nowego Grzegora.

Trzeciego!

Trzeci Grzegor!

I wtedy Dominicha mówio, że po prawdzie to kto on taki? Co za jeden? Przybłąda, ale zdaje się, że jakby znajomy. Jakby znajomy, ale bijcie, zabijcie, nie moge przypomnić,

<sup>225</sup>prątki (daw., gw.) — cienkie pręty do ręcznego przerabiania różnego rodzaju nici i włóczek na wyroby dzianinowe; druty do robótek. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Niedziela Palmowa — święto chrześcijańskie przypadające 7 dni przed Wielkanocą, obchodzone na pamiątkę przybycia Jezusa do Jerozolimy i rozpoczynające Wielki Tydzień, związane z tradycją wykonywania palm wielkanocnych. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>Gorzkie Żale — śpiewane nabożeństwo pasyjne w Kościele katolickim, odprawiane w okresie Wielkiego Postu. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>roić sobie — wyobrazać sobie. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>wituszki (gw.) — zwijadło, przyrząd do zwijania nici. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>kołko (gw.) — kołowrotek, urządzenie do wytwarzania przędzy z włókien. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>końska chwościna — włosie z końskiego ogona. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>pakule (gw.) — pakule, splątane odpady włókna lnu lub konopi, wykorzystywane m.in. do wyrobu grubego płótna. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>kiernoz — samiec świni domowej, knur. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>zapowiedź — tu: zapowiedzi, uroczyste ogłoszenie w kościele mającego się odbyć ślubu. [przypis edytorski]

skąd, kto, zabyło<sup>235</sup> się na śmierć. Kuśtyk na to, czy on czasem nie surażak, że widziało się jego w Surażu i to nie raz, i coś się zdaje, że w kościele. Jakby do księdza podobny? Ale nie, nie do księdza. Może do biskupa, co był bierznować? Nie, nie do biskupa. To do kogo? A Domin mówio, że Grzegor na pewno był w Taplarach, ale jakby za kogoś przebrany, kogoś ważnego, pańskiego. I mnie tak samo świdruje coś, że on znajomy. Grzegorychi się pytało, gada, że sama nie wie: próbowała wyciągnąć z niego, czemu z torbami chodził, ale podobno tylko machnie ręką: stare sprawy, mowi, szkoda język zdzierać. To było wiadomo tylko, co było widać: że człowiek z niego zgodny, sąsiedzki, nieleniwy.

Ale skończyło się gadanie, bo zahuczało w sieniach, słyszym: idzie, śnieg obtupuje. A jakże, czapke zdjął, powiedział co trzeba, siada z boku, wyjmuje listewski, nożyk, widze: struga treszczotke na Wielkie Subote. Nu to Dominicha zaczynają zza kołka i kądzieli: Gorzkie Żale Przybywajcie, i zaraz dołączają się baby: Serca nasze przenikajcie, serca nasze przenikajcie! I od razu taka żałość mnie łapie, żałość i nabożeństwo, że nogi drżą, ręce drżą: Rozpłyniecie się me żrenice, lejcie smutnych łeskrynice, lejcie smutnych łeskrynice!

I smutno się robi, uj, jak smutno, oczy mgło zachodzą. Żal dusze ścisła, serce boleść czuje, gdy słodki Jezus na śmierć się gotuje, klęczy w ogroju, gdy krwawy pot leje, me serce mgleje! Już kołko nie furczy, wituszki nie popiskują: uszy już słyszą co innego, babskie pojękiwanie, oczy widzą Kalwarię<sup>236</sup>, góry spiczaste, wysokie, na niej czternaście Stacji Męki Pańskiej, cała Droga Krzyżowa jak w suraskim kościele, długie brody, obcegi, młotki, między nimi święta głowa w cierniowej koronie, twarz umęczona, broda czarna pańska, ach, ubiczowany, cierniami koronowany, Jezus za trzydzieście srebników od niwdzięcznika Judasza przedany, Jezus mój kochany! Już na śmierć skazany, krzyż jemu na plecy wpychają, zaczęła się droga krzyżowa: Pan Jezus pierwszy raz pod krzyżem upada! I zaraz najsmutniejsze: Matkę swoją spotyka: Czemusz Matko ukochana, ciężko na sercu stroskana, czemu cała truchlejesz? Co mi pytasz, wszystkim w mgłości, mówić nie mogę z żałości, krew me serce zalewa! Aż litościwy Cerenajczyk krzyż dopomaga nieść. Potem Święta Weronika twarz obciera Jemu z krwi i potu i na płótnie twarz Jezusowa odbija się jej jak żywa! I jeszcze raz, i jeszcze raz Jezus pod krzyżem pada, droga ciężka, pod górę, na kalwarię. Aż napawają go żółcio i stacja jedynasta, najsmutniejsza: do krzyża przybijają tępymi goździami, oczy bólu patrzeć, straszno, ileż to razy, od małego, co Post, co Gorzkie Żali, ileż razy samemu się do krzyża przymierzało, ręce nogi na drzewo kładło w strachu, że takiego bólu nie wytrzymają, a On, On święty, delikatny, wytrzymał! Oby się serce we łzach rozplęwało, że cie mój Jezus sprośnię<sup>237</sup> obrażało, żal mi ach żal mi ciężkich moich złości, dla twojej miłości! Pod krzyżem Matka jego stoi, boleje. Ach mnie Matce Bolesciwej, pod krzyżem stojąc smutliwej, serce żałość przejmuje! I tak słowo po słowie śpiewanie kończy się: Dominicha przestają prząść, klękają, i my wszystkie klękamy, bijem się kulkami w piersi: Któryś za nas cierpiał rany, Jezus Chryste zmiłuj się nad nami! trzy razy odśpiewawszy, żegnamy się, siadamy, a usiadłszy, każde robi swoje robotę, tyle że tu tam trochę płakania, wycierania słozów, ale już wituszki popiskują, szpulki furczą, ale bez gadania, każdy jeszcze rozpamiętuje krzyż, cierpienie, o śmierci się myśli, że umrzeć trzeba będzie, że choroby, nieszczęścia, życie marne, proch z prochu.

Aż Grzegor odzywa się, że to wszystko przez złych ludzi: złe ludzi Pana Jezusa ukrzyżowali, złe ludzi wódkę wydumali, chfabryki stawiają. To przez nich świat zaginie: armaty, rowery, jeroplany<sup>238</sup> tak samo zły wymysł. A na co to wszystko? Czy to kiepskie życie starodawne? Czyż może być coś lepszego niż gospodarzem być, orać, siać, młócić, konia trzymać, krowe! Ach, żeby wrócili się dawne czasy, króle w koronach, hetmany, wojsko na koniach, dwory, dzwony, odpusty, herody, posty, pobożność. A pamiętacie dawniejsze lata, zimy? Jakie mrozy, jakie śniegi zimo! Jaki żar, ile słońca latem! A co dzisiaj? Zimno odelga<sup>239</sup> za odelgo, śnieg z deszczem, plagi, lata mokre, pochmurne, słońce zimne, wystygła, pomieszanie się robi. A Domin na to, że trzeba będzie dać na msze: niech kto

Modlitwa, Śpiew

Koniec świata

<sup>235</sup>zabyć (daw., reg.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>Kalwaria (z łac.) — miejsce kaźni, gdzie ukrzyżowano Jezusa (hebr. Golgota). [przypis edytorski]

<sup>237</sup>sprośny (daw.) — występny, odrażający, potworny, godny potępienia. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>jeroplan (gw.) — aeroplan, samolot. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>odelga (daw., gw.) — zelźnienie mrozu, odwilż. [przypis edytorski]

przejdzie się po wiosce fóro, zbierze ofiare na klebana i organistego, niech msza będzie z organami. Bieda wisi nad Taplarami, niechaj nas Pambóg chroni od wszystkiego złego, amen.

A Grzegorz: Bieda, nieszczęście wisi nad całym światem, koniec świata bliski, tak dalek być nie może. Któregoś dnia raptem zatrąbio trąby, ziemia zatrząśnie się, luna stanie na niebie i pokaże się Pan Jezus w chwale: Machnie rękę i niebo rozpruje się na pół: I wtedy on machnie prawą rękę na sprawiedliwych i pokaże im raj, szczęście wieczne po prawicy. Potem machnie rękę lewą na żydów, antychrystów, złodziejów i pokaże im ogień wieczny!

Opowiada, słuchamy w strachu, aż tu Kuśtyk: Ojezu! i rękę obraz na ścianie pokazują: widzicie?

Co? Co takiego?

Nie widzicie?

Patrzym, a Szymon spod proga to obraz palcem pokazują, to Grzegorza: na obrazie Święty Piotr wielki klucz trzyma w obydwóch rękach, klucz do nieba. Przyglądam się, to na obraz, to na dziada, to na obraz, to na dziada: alesz tak, tak, na pewno! Ta sama twarz, włosy siwe nie siwe, szczoki<sup>240</sup> pomarszczone, po bokach nosa po zmarszczce głębokiej jak broźna! I brwi takie same i oczy! Straszno się robi, baby wstają od roboty, każda co ma w ręce łapie, do proga odstępują.

Co? Co takiego? pyta się Grzegorz, rozgląda się po nas, po ścianach. Co tak patrzycie? Nu co? Co takiego?

Ale już dzwi branseli, jedno po drugim odstępuję, tyłem przez prog, Ostańcie z Bogiem mówim, głowy kłonię, wychodzimy przez sień, a cicho, a w strachu, jak przez zakrystię!

Święty

Całe subote nic tylko gadało się o Grzegorze. Takich obrazów jak u Domina było w wiosce więcej, Dunaj mieli, Litwin czarny i jeszcze paru, obraźnik kiedyś furo jeździł po żniwach, żytem ludzi kupowali, kto Matkeboske, kto Pana Jezus, a kto Pietra. Nu i masz tobie: taki sam święty między nami żyje! Straszno się zrobiło, coś wisiało w powietrzu, dobrego albo złego, cudem pachniało przed Wielkanocą! W Palmowe Nidziele jak co roku raniusko równo z kogutami chłopcy, kawalerka ruszyli po chatach z łozami, biczować. A jakże, i do nas wpadli, ale ja już przyodziął się, przyobuł, a palmuje się tylko tych, co śpio. Nu i z Handzi i dzieciów pierzynie zerwali i dalejże siekać łozami po nogach, po plecach, po dópie, sieko, podśpiewują Palma bije nie zabije, kości łamie nie połamie, pamiętajcie chrześcijanie, że za tydzień zmartwychwstanie! biczuj, a Handzia skacze i wiszczy w łóżku, poduszko się zasłania! Ziutek też oberwał, ale mniej, pożałowali, tatka tylko dla fasonu tknęli po kożuchach, dziadkowi się nie siecze. Pożytek z tego biczowania taki, że kto wypalmowany, całe wiosne lato będzie budził się ze słońkiem, wstawał letko.

Święto, Obyczaj

Śpiew

Palmowanie palmowaniem, ależ obiadem, rożaniec się odmawiało, a za oknami widzimy: dwa nowe dziady idą drogo!

A nawet dzieciak poznałby, że to nie dziady, tylko ktoś inny: nawet psy nie szczekali za nimi, jak za dziadami szczekają. On wysoki był, z czarno brodo, lat pod czterdziestkę, pańskiej postawy i pańskiego chodu, choć torbę powiesił, a odzienie poszarpane, brudne, walonki ubłocone do kolanów. Ona też większego wzrostu niż nasze baby, cieńsza, twarz delikatna, oczy mądre i pobożne. Oboje gadali nie po naszymu, po pańsku: byłem, poszedł, chodźmy, często wstawiali jakieś słowa całkiem niejasne, jakby żydoskie. Zaszli do Grzegorych i na wioskę już nie wyszli! A cóż to za dziady, co nie żebrają? Cóż to za dziady, co ręce, nogi, oczy mają, co po cudzym bagnie idą jak po swoim, ścieżki znają, nie potopio się na oparzelach<sup>241</sup>? Dwa dni mijają, trzy, oni z chaty nie wychodzą.

Żebrak, Święty

Wypytyuję się Grzegorych, co to za najazd żebraczego rodu, może klasztor u niej będzie? Tłómaczy, że nie wygania, bo co tam, jedzą jak pustelnicy, byle co, na słomie śpio, a, niech bedo. Grzegorz gospodarzy, po świętach da na zapowiedzi, kobieta tkąć na

<sup>240</sup>szczoki (gw.) — policzki. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>oparzel, częściej: oparzelisko a. oparzysto (daw., gw.) — bagno, trzęsawisko niezamarzające w czasie zimy. [przypis edytorski]



krosnach próbuje, tylko brodaty siedzi na stolku, dumki duma. Ależ czemu oni pojawili się w Wielkim Tygodniu? Co to za dziw? Co za cud wisi w powietrzu?

Jak mnie dzieciak umar, wspominam, stanął Pieter nad kołysko jak święty, ręce podnios i mowie wam: mało cudu nie było! Jeszcze trochu, a wstałob żywe!

Twarz ta sama, co na obrazie, mówio Domin, te dwie brożny od oczow przez twar, to od słozow, bo płakał zawsze, że Pana Jezusa sie wypar!

Tylko to jedno nie pasuje, mówie, że on jakoś niebardzo pobożny: raz, że z babo w jednej chacie żył bez ślubu. Dwa, że jakiś taki w obejściu sie zwyczajny, niepański.

A Domin: Ten zawsze zwyczajny był, toż z prostego człowieka wyszed, rybaczył!

Ale o brodatym słowa my nie wymówili: ze strachu, ze szczęścia język truchla! Jakże o Nim gadać, jak On tutaj, koło nas!

Przypomniało sie mnie, co kiedyś dziad gadał: czemu podług dziada sadomagomora robi sie na świecie: Pamiętacie jak wywodził, że przydałoby sie, żeby On, wiecie Kto, znowuś na ziemie zstąpił i piekło trochu uspokoił? Pamiętacie?

Nu dobrze, pytajo sie Domin, a w takim razie ta kobieta z nimi, kto ona?

Tu Szymona poniosło: Co wy, Domin, tego nie wiecie? Nie wiecie, kto Przy Nim żył? Kto Jemu Prząd, Tkał, Jeść Gotował?

Wiem, Kto Jemu Prząd, Tkał, Jeść Gotował, przyznajo sie Domin, wiem dobrze, ale boje sie powiedzieć!

I jak było między nami umówione, w Piątek ruszyli Szymon Kuśtyk z saniami po wiosce, od Mokrych Jurczakow poczawszy, zbierać ofiare na msze z organami. I dawali ludzi bogato, nie żalowali, bo wiedzieli, o co idzie: o calenie Taplarow, o bagno, o nasze rodziny. Jechali Szymon zajdami<sup>242</sup>, w obydwóch półkoszkach<sup>243</sup> stali worki i koszy: zajeżdżali Kuśtyk przed chate i zaraz gospodynia abo gospodarz wynosili abo pół kadłuszka<sup>244</sup> żyta, abo czapke jajkow, czy sitko grochu, kawałek słoniny, doniczke maku, sznurek grzybow, torebke suszonych gruszkow. Dominicha dali żywe kure, a Dunaj pół wentroby i saganczyk juszki<sup>245</sup>, bo akurat świnie zakłuli. Tylko Grzegoryche Szymon przepuścili, ona i tak zasłużona, darmo chowa całe trójke. Jeszcze przed zachodem zbiórke zakończywszy, zajdy w stodole postawiwszy, dary szmatami przed kotami i myszami okrywszy, bo wyjechać mieli rano, zachodzo do mnie Szymon i wiodo do Domina na rade i odzywajo sie tak mniej więcej: Wy nie wiecie pewno Domin, na co Kaziuka ja zawołał. Nu to powiem. Ha, jak ja dziś tak jeździł i jeździł od chaty do chaty, taka myśl mnie naszła: że wy Domin i ty Kaziuk, wy obydwu naznaczone!

Naznaczone? przestraszyli sie obydwu: Przez kogo naznaczone? Do czego?

A tak, naznaczone: ksiądz w kościele o was śpiewa! Nu przypomnijcie: czy ksiądz nie śpiewa Dominus Wobiskum<sup>246</sup>? Czy to nie o was Domin, że wy macie być naszym taplarskim biskupem?

Domin przestraszyli sie: prawdziwie, jakby o mnie, Dominus Wobiskum! Coś tu o mnie jest!

Jest i o Kaziuku, mówio Szymon: Czyż nie śpiewa sie w kościele Kirelejson? A jak na nich, na Bartoszkow, przezywajo? Nie Kierelejsony?

Domin aż wstali: prawdziwie, Kirelejsony! Nu i sam Kaziuk, czyż nie podobny do Kirelejsona? Mało gada, dużo myśli: usiądzie, podeprze brode: myśli, myśli!<sup>247</sup>

A Szymon, smutno: Tylko o mnie nic nima, ech, już widać taka moja doła kulawa, że ja zawsze na końcu.

Nie, mówie, jest i o was!

<sup>242</sup>zajdy (gw.) — dwuczęściowe drewniane sanie, połączone łańcuchem, wykorzystywane gł. do transportu kłoców drzewa. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>półkoszek (daw.) — wiklinowa plecionka w kształcie podłużnego kosza bez jednej ścianki, wstawiana na tylną lub przednią połówkę wozu i wyścielająca jego ścianę szczytową, burty i dno; także wóz wyścielony takimi plecionkami. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>kadłuszek (gw.) — kadłubek, dawne drewniane naczynie do mierzenia zboża, wykonane z wydrążonego, grubego pnia. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>juszka — zdr. od *jucha*: krew. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*Dominus Wobiskum* — fonetycznie zapisane łac. *Dominus Vobiscum*: Pan z wami; formuła używana podczas mszy katolickiej w obrządku łacińskim. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>czyż nie podobny do Kirelejsona? Mało gada, dużo myśli: usiądzie, podeprze brode: myśli, myśli! — mowa o popularnych w sztuce ludowej rzeźbach przedstawiających tzw. Chrystusa frasośliwego. [przypis edytorski]

Szymon podskoczyli: Jest? O mnie? Nu gadaj!

A czy ksiądz nie śpiewa Sekulase Kulorum<sup>248</sup>? mówie. Sekulase Kulorum! Czy nie słyszycie: coś tutaj jest o kulasie! Czy to nie o waszym, stryku?

Szymon prawie rozplakali się ze szczęścia: Patrzajcie, ludzi, i o mnie kulawym Pambóg nie zapomniał! Sekulase Kulorum! A jaż<sup>249</sup> tyle razy słyszał to w kościele i nic nie wiedział, że o mnie śpiewają! Patrzajcie: Dominus Wobiskum, Kirelejson i Sekulase Kulorum? Toż my teraz jak Trzej Królowie! Nu i co teraz? Usiedzieć nie można było z radości, chodzili my po chacie, głowami kręcili, dumali, Szymon co raz po kuśtyku się klepio, klepio. Aż mówio:

Ha! Rano niby powioze ja te dary do Suraza. Ale wiecie co? Nie pomyście, że ja boje się roztopow. Abo że lenie się rano wstać. Nie boje się, nie lenie. Ale wiecie, co radze? Na co nam ofiare Panu Bogu ofiarowywać przez księdzow, jak my sami możemy dać!

Jak?

A jak Trzej Królowie dawali! Dawajcie bierzem sani i jedziem do Grzegorychi: sami poprosim świętych o ratunek! Co wy na to?

E, bez księdza ofiarowywać, kręco głowo Domin, jakoś nie bardzo.

A na co ksiądz! rozpalili się Kuśtyk. A na co tyle drogi?

Żeby to się wiedziało na pewno, że oni święte, mówie, to możnoby i bez księdza ofiarować.

To ty jeszcze nie wierzysz, że oni święte? Ty, naznaczony? Chodźcie! wstają Szymon z pieńka i prowadzo na gumno.

Pomogli my Kuśtykowi założyć konia i jedziem o te pare domow dalej, do Grzegorychi.

A zima się przesilała, najczęściej tak bywa, że zima puszcza w nocy z Piątku na Subote Wielkiego Tygodnia: w Piątek jeszcze mroźno, śnieg, lody, i naraz w Subote ciepło jak w maju, wiaterek mięciutki, szpaki świergotają, a kury wrzeszczą jak szalone, niosą się na święta, ojcom chrzestnym, matkom chrzestnym, żeby mieli swoim chrześniakom włochebne<sup>250</sup>, a po cztery jajka daje się każdemu, Domin i Dunaj po kopie<sup>251</sup> rozdają, obydwaj po tyle samo mają chrześniaków, obydwaj równo szanowane. A i chłopcom trzeba jajków dać, jak przydo pod okna śpiewać Alleluja i Konopielkę, ach, co za dzień piękny, wiosna, radość, w pole niedługo, chłopcy odkrywają głowy, a co śmielsze bedo bose, bose stano na ziemi jeszcze niedogranej, zime naciskawszy bosymi nogami, żeby prędzej odchodziła, o wiosnie zaśpiewają, o polu, Ej cieńka leńka w polu konopielka, a jeszcze cieniejsza u ojca córeńka!

I tego Piątku tak samo czuło się na drodze, że jutro wiosna pęknie, kury się rozkrzyczą, na płotach pierzyny zabieleją, a kto niekto może i dubeltowe okna wyjmie i porozmyka chatę na oścież. Radość ma się zacząć na świecie, a czemuż Taplary mają być smutne? Ach, przypomnimy się jemu, Zbawcy Świata, żeby i o Taplarach pamiętał, poratował od zagłady! Zatrzymali Szymon fõre przed samym progiem Grzegorychi, żeby bliżej było nosić do komorki, lejcy zawiązali na kołku, straszno się nam robi, ale nic to: przeżegnawszy się, wchodzimy do sieniów, z sieniów do chaty, Domin na przedzie:

Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus!

Przy samym progu Grzegorycha nad koszem kartofli skrobała i drobila na piątkowy krupnik. Brodaty siedział na pieńku i do piecy chrost podkładał, kobieta pod lampo krosnami się bawiła, koło niej pod lampo Pieter chomont w kolanach trzymał, skórzane uścielkę<sup>252</sup> przy poduszce zszywał. O, powiedział, popatrzysz na nas, sąsiedzkie odwiedziny, siadajcie!

Usiedlim na ławie, patrzmy na nich. Pieter szyje szczerze, Brodaty podkłada do piecy, ale na nas popatruje skosa, podparczy się ręką na kolanie, kobieta tka, ale też spogląda.

Zima, Wiosna

Święto, Obyczaje

Śpiew

Wiosna

<sup>248</sup>*Sekulase Kulorum* — fonetycznie zapisane, z odmiennym podziałem na wyrazy, łac. *secula seculorum*: wieki wieków; wyrażenie używane podczas mszy katolickiej w obrządku łacińskim. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>jaż — zaimek osobowy „ja” z partykułą wzmacniającą -ż. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>włochebne — ludowy zwyczaj wielkanocny; w drugi dzień Wielkanocy chłopcy chodzą po domach z życzeniami i pobożnymi pieśniami, wyprasząc jajka i inne jedzenie; także same podarunki za takie śpiewanie. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>kopa (daw.) — sześćdziesiąt sztuk. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>uścielka (gw.) — wyściółka. [przypis edytorski]

A wystarczyło raz spojrzeć, żeby wiedzieć, kto Oni! On, jaki postawny, jaki ważny, oczy jakie czarne i mądre. Niestary, a ileż siwych włosów bieleje w czarnej brodzie, ach, wycierpiał On, wyplakał niemało. Ręce pańskie, figura pańska, spojrzenie pańskie! A ona! Jaka delikatna i dobra! Jaka twarz pobożna. Włosy rozczesane na środku, cienka chustka na szyje się zsunęła. Jak sprytnie białymi palcami łapie czólenko<sup>253</sup>, puszcza między osnowo, jak zgrabnie płoch<sup>254</sup> wątek przybija. A spokoj jak od Niej idzie, łaska, dobroć!

Na razie nie zaczynamy sprawy, boim się tej świętości w chacie, w kościele strach szepotać, a tutaj świętość jeszcze większa. Domin namyślają się, już już rozdziawio się, żeb mówić, ale ciamkno tylko i zacichno. Takie wygadane, wszystkich przegadają, a tym razem ich zatyka!

Aż szturcham ich w bok. Obterli się, jakbo im zachodziło, zaczęli, żeb łatwiej, to od Grzegorychi:

Ofiare my tu dla was przywieźli od całej wioski!

Grzegorycha skrobać przestała, noż o chfartuch wyciera: Dla nas? To wy nie na msze zbierali?

Na msze, mówio Domin, ale uradzilim, że lepiej będzie od razu przywieść ofiare Temu, Komu ona naznaczona. Fóra stoi pod progiem, Grzegorycha, bierzcie, noście sobie do komorki, Wam Wszystkim na zdrowie! I kłaniają się Domin Jemu, Jej i Pietrowi, my tak samo wstajem, i kłonię głowy jak w kościele.

Pieter szyc przestał: dla kogo niby ta ofiara, pyta się, dla niego? I pokazuje na Brodatego. Kiwamy głowami, że tak.

A za co?

Bo po ratunek my przychodzim!

Do mnie, udaje zdziwionego Brodaty. Do mnie po ratunek? A od czego?

Od zniszczenia i końca świata!

A to koniec świata ma być?

Toż wiecie: bagno spuszcza!

Aha, bagno. A może tylko straszno?

To już nie straszenie, za dużo znaków było.

Na przykład?

A dajmy na to ciele u Kaziuka? A to że nieboszczko Grzegor straszyl? A do tego jeszcze, hm.

I Domin urwali. A Brodaty pyta się, kto im doradził jego prosić o ratunek. Na to Kuśtyk: Nikt nie doradzał, my sami wiemy, czy to my nie chrześcijanie?

Nie odmawiajcie, panie, proszo Domin, nie zostawiajcie nas, wy wszystko możecie! A On wstaje i pyta się groźno:

Zaraz zaraz! Wy mi lepiej dobrzy ludzie powiedzcie, co wy o mnie wiecie?

I Ona, i Pieter, i Grzegorycha patrzyli na Domina jakby wystraszone. A Domin podchodzi do Brodatego, pochyla się i w rękę chco pocałować jak księdza, On rękę wyrwywa: Toż dziad ja, dziad tylko, od kiedy to gospodarz dziada w rękę całuje! A Domin: Święta Magdalena, choć święta, Panu Jezusowi nogi słozami skrapiała, włosami wycierała, On sam w Wielki Czwartek nogi mył swoim apostołom, a cóż ja, człowiek marny? Nie odmawiajcie nam swojego miłosierdzia, panie!

Teraz Pieter gadać zaczyna: Ludzie, nie szalejcie, spokojnie pogadajmy. Czy wy ludzie nie bierzecie nas czasem za kogoś innego?

Nie, nie, mówio Szymon, już my dobrze wiemy, kto wy!

Naprzykład że kto? pyta się Pieter i patrzy groźno. A Szymon pytają, czy on czasem rybaczeniem nie zajmował się kiedyś?

Czemu nie, odpowiada, rybaczyło się trochu.

Aha, to przy sieciach nauczyli się tak dratwo robić?

Nie tylko. Próbowano się w życiu, jak to w życiu, wszystkiego: i krawiectwa, i szewstwa, i ciesielki.

<sup>253</sup>czólenko — element krosna tkackiego o kształcie łódeczki, zawierający nawiniętą na szpulkę nitkę wątku, przerywany pomiędzy nitkami osnowy. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>płocha — część warsztatu tkackiego, rodzaj grzebienia, przez który przewleczone są nitki osnowy, dobijający każdy wprowadzony wątek do krawędzi tkaniny. [przypis edytorski]

A powiedzcie, czemu wy Taplary upodobali?  
Czemu Taplary? Bo tu cicho. Spokoj. Wszędzie po świecie strasznie się wyrabia: fabryki, pociągi, rowery, a u was po dawnemu. Jak sto, jak tysiąc lat temu.  
Tysiąc? tknęło mnie: To wy pamiętacie jak przed tysiącem było?  
Toż słyszało się, czytało, on na to. A Domin:  
Jak wam się podoba w Taplarach, jak wy chcecie żyć z nami po naszymu, to czemu wy nie chcecie pomoc? Toż jak oni nas zniszczo, to i was zniszczo!  
A cóż ja mogę zrobić, na to Pioter.  
Wy? Szymona rozpałiło, ręce złożyli, patrzy znad podłogi błagalnie to na Piotra, to na Nio, to na Niego. Wy? Wy wszystko możecie, a co Wam, Wam tylko powiedzieć słowo, a wiatr ustanie, rzeki popłyną nazad, dzień w noc się przemieni!  
I Kuśtyk klękają, Domin też, ja za nimi, Zmiłujcie się, prosim, pomóżcie! Nie odstawiajcie! Nie zostawiajcie samych!  
A Pioter bach ręką w chomont: Wy, widze, bierzecie mnie za kogoś innego. To ja was, prosze, zapamiętajcie: włóczęga jestem, co sobie nareszcie chatę znalaz, ja chce tu żyć jak człowiek i wy mnie w żadne swoje termedje<sup>255</sup> nie wciągniecie. Zrozumiano?  
A Brodaty nas pod pachy łapie, podnosi: Wierźcie mi ludzie, nie mogę wam pomóc, to wszystko trudniejsze, niż myślicie, a Szymon: Jakto, toż Wam tylko oczy w górę podnieść i poprosić, ale Brodaty głową kręci, z klęczkow zrywa, wypycha, Domin proszo: A wy, Matko, chociaż Wy nas wysłuchajcie! Ona ręce roskłada, a Brodaty za prog mnie wypycha, bez litości, nu to prosze: Pan Jezus krew na krzyżu przelewał, a wy? On na to jak popchnie, ja o prog zaczepiwszy, lece w śnieg na morde, koniowi pód nogi, leże, cały głupi, za co, czemu, co oni za jedne te święte, żal piecze i wstyd, a tu koń w szyje parodmucha, wszystko pomieszalo się, święte i nieświęte, w sieniach Domin i Szymon kotłują się z Brodatym, Matkaboska ich rozdziela, uciekać, uciekać do chaty, tak, zamknąć się w chacie, dźwi kolkiem podepszyć i siedzieć, siedzieć po ciemku, głowę rękami ścisnąć!

Z rana nowina: Brodaty i Kobieta noco zginęli, tylko Pioter w chacie ostał. Szymon od chaty do chaty latają, tłómaczo się przed ludziami, czemu ofiary nie oddali dla księdza: Poczekajcie, poczekajcie do jutra, jutro Wielkanoc, zobaczycie, on wróci, toż on nie zdrąca, wróci się i to nie sam, może z swoim wojskiem, swoimi świętymi, poczekajcie.

Ale Dunaj powiedzieli krótko: Uciekli. Przestraszyli się i uciekli.

Czego przestraszyli się, pytamy.

Tego wam nie powiem, na to Dunaj.

Ale przyszła Wielkanoc i nic: nie wrócili się święte ni noco, ni pierwszego dnia, ni drugiego, ani trzeciego, oblewanego.

W Przewodnie Niedziele<sup>256</sup> przyjechała uczycielka, sama przyszła aż ze Strabli, w gumowych botach przez takie roztopy, a jakim cudem nie zablądziła, nie utopiła się, tylko jej i Panu Bogu wiadomo. Zaraz dowiedziała się od Handzi wszystkiego: Nie może być, kręci głową, nie do wiary! A Handzia: To niech pani porozmawia z Grzegorycho.

Uczycielka polecała do niej do chaty, pobyła trochu, ale tylko wróciła się, zaraz przylatuje za nio Grzegorycha.

Nieprawda, nie uciekli! powiada, a prawie płacze, babsko z Grzegorychi prędkie, jak rozchodzi się, strach z nio zadzierać. A teraz rozpałiło jo nie na żarty!

Nie uciekli! Tylko noco, jak Dunaj przyšli powiedzieć, że zameldujecie na posterunek w Surażu, oni, święte, wstali obuli się, odzieli i naradzają się, co robić. Idziesz z nami, pytają się Pietra. On mówi: Nie, z Helko zostaje, gospodarzem bede.

A Pan Jezus: Znowuś chcesz mnie opuścić?

A Pioter: To wy mnie, Panie, opuszczacie. Zostańcie z nami, bedziem sobie dożywać jak zwyczajne ludzie!

Chrystus

<sup>255</sup>termedia (daw.) — zwyczaj w lm.: skomplikowane zabiegi; awantury. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>Niedziela Przewodnia a. Biała — niedziela po niedzieli wielkanocnej, obchodzona jako kontynuacja świąt wielkanocnych w prawosławiu, starokatolicyzmie i tradycjonalizmie katolickim; w Kościele katolickim od 2000 roku obchodzona jako Niedziela Miłosierdzia Bożego. [przypis edytorski]

A Pan Jezus: Oni mnie znowuś ukrzyżują!

A Pioter: Nie bojcie się, ja was obronię!

A Pan Jezus: Nu dobrze, ale co potem? Ziemię mam orać?

A Pioter: Czemu nie? Ziemię.

A Matkaboska: O tak, synku, tak, i mnie chce się żąć, len pleć, krowy doić, zostaćmo się!

A Pan Jezus: E, jaż nie na to po ziemi chodze, żeby w niej ryc się, toż ja nie Chłop Jezus, ale Pan Jezus.

A Pioter: To panem doktorem będziecie, toż umiecie leczyć, uzdrawiać.

A Matkaboska: O tak, doktorem synku, doktorem, a ja przy tobie akuszerko!

Ale Pan Jezus usiad na pieńku i jak to on, głowę renko podper i zadumał się smutny jak kirelejson. I taki zamyślony mówi: Całym światem się trzęsło, narodami, królami, i teraz tu w bagnie siedzieć jak dzik? Nie cudować, nie przemawiać? Czy na to ja krzyż cierpiał?

A Pioter: O, wa! Od tamtego czasu tysiąc tysięcy umierało straszniej niż wy czy ja: dusili ich, truli, wętroby odbijali, podpalali żywcem: a czy oni co z tego mają? Co z nich teraz? Proch! To jak wy, Panie, chcecie być naprawdę człowiekiem, to mięz ludźmi zostańcie: pożyjcie po ichniemu, marnie, i umrzyjcie po ichniemu, marnie!

Na to Pan Jezus: Ty Pioter jak chcesz, a my, mówię do Matkaboski, nima co, wracajmy się na swoje miejsce.

I jak siedział na pieńku, tak od razu w figurkę się przemienił, kirelejsonika. A Matkaboska, że to żąć chciała, przemieniła się w równiankę<sup>257</sup> z żyta, take, co święco na Wniebowzięcie<sup>258</sup> w kościołach!

Uczycielka słucha rozdziawiona: Czy to Piotr wam opowiada takie przypowieści?

Nie! tupie nogo Grzegorycha: Tak było prawdziwie, na moich oczach!

Brodaty w figurkę się przemienił?

A tak! I Grzegorycha odwija kozuch, spod poły wyjmuje co? Kirelejsonika! O, wte figurkę! mówi. A wianek Matkaboski wisi na goździu kole obraza.

Figurka, sprawiedliwie, całkiem jakby brodaty na pieńku siedział, tylko że maleńki i nieżywy: rękę brode podper, duma.

A może oni zapomnieli wziąć to, jak odchodzili? pyta się uczycielka.

Toż mówię, że oni nigdzie nie odeszli! tupie nogo Grzegorycha: Blask w chacie się zrobił i poprzemieniali się.

Blask blaskiem, ale czy to nie Pioter wam to wystrugał?

Ręce ma sposobne do wszystkiego, przyznaje Grzegorycha, ale takiej by nie wystrugał. Ta z Przemienienia Pańskiego jest!

Uczycielka to obejrzy figurkę, to pochodzi po izdebce. A nie odstąpiłaby mi tego pani na pamiątkę z Taplar? pyta się.

Nie, nie można. Dla mnie to tyż pamiątkę, po Nim.

To ja zapłacę!

Zaciekawiła się Grzegorycha: Pieniędzami?

A ile chcecie?

O, nie wypada brać pieneźdzow za świętego.

A uczycielka pyta, czy sto złotych wystarczy, kirelejsonika na książkach stawia, portfelik wyjmowa.

Grzegorycha spogląda to na figurkę, to na pieneźdzę, jak uczycielka przelicza.

A, weźme, mówi, na zapowiedzi dajem, będzie dla ksiendza.

Pieniędz

Szkoła ruszyła na nowo, Ziutek dowiedziawszy się, że pani uczyć będzie, poleciał, nie pytawszy o pozwolenie, tak samo inne: jedne z chętki do książki, drugie lubiwszy uczycielkę, trzecie wykręcawszy się od roboty, a z wiosno nie braknie jej i dla dzieci.

<sup>257</sup>*równianka* — tradycyjna wianka zniwna, spleciona ze zbóż, polnych kwiatów i ziół, przybrana kolorowymi wstążkami. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>*Wniebowzięcie* — tu: katolickie Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zwane też Świętem Matki Boskiej Zielnej, obchodzone 15 sierpnia. [przypis edytorski]

A nie puszczać ich nie wypadalo: jakoś tak sie zrobiło, że każdy wstydzil sie za Filipa, ja też po cichu żalował tego, co stało sie przed Wielkanoco. Wyszło na to, że sie do uczycielki odnosilo nawet delikatniej, milej niż zimo, żeb wynadgrozić, co sie wycierpiała, napłakała z naszej winy.

A jak sie wyszło z zimowej chaty w pole, całkiem inaczej sie na duszy zrobiło, jaśniej, letczej. Zasiał ja owies, groch, nawoził gnoju pod kartofli, zaorał. Pód koniec kwietnia poszlim z Ziutkiem na kurhan kartofli z jamy wybierać. Zdjoł ja rydlem ziemie, odrzucił słome, dobrał sie do kartofli, dawaj ich koszem na wierzch wywalać. Chłopiec siedzi na workach i przebiera bulwe po bulwie, na trzy kupki: mniejsze do sadzenia, większe do domu, zgnile na bok. Zrzucam ja kozuch, bo zgrzało, w koszuli robie. Wywaliwszy z pól jamy, wyłaże oddychnąć, zakurzyć. Ćmie i patrze sobie z góry po polach: na ludzi na płoskach, jak gnoj roztrząsajo, zaoruj, siejo, bronuj. Na mogiłkach ptaszki świszczą, w brzożach parzo sie. A rzeka błyszczą, aż oczy bolo. Na błotkach kaczeńcy żółciejo. Między rzeczko a krzywo rzeko krowy łażo, trawa jeszcze słaba, to przeciągajo sie, brujo<sup>259</sup>, bydłuj, a Filip leniuchuje, psa sztuczkow uczy, dobrze ma: póki rzeczka nie wyschnie, krowy chodzo mięż wodami jak w zagrodzie, nie przepływajo, bo woda za zimna.

Na wioske patrze: wróblu hurmami latajo z jesiona na jesion. Na sokorze bocianica klekocze, szyje wykręciwszy, a boćko raz za razem patyk w dziobie z lasu niesie, gniazdo podszykowuje. Drogo dzieci sie ganiajo, w krece sie bawio, w pikra<sup>260</sup>, ściżo, kaczo<sup>261</sup>, krasnepalczke. Ładnie, letko i dobrze, powietrze błyszczą prawie jak w niedziele.

A ona czego was teraz uczy, pytam sie małego.

Jakie bywajo zawody, mówi.

Zawody?

Co kto robi, co krawcy, szewcy, co stolarze.

To fachi, poprawiam, fachi nie zawody. A o jakich gadała?

Ślusarz: robi rzeczy z żelaza.

Jak z żelaza, to kowal!

Kowal bez maszynow. A ślusarz ma maszyny, że strugajo żelazo jak hebel.

E, i ty w to wszystko wierzysz?

Toż pani opowiadała!

A może ta wasza pani łże?

Ona dobra, ona nie łże. A żeby wy posłuchali tego radja, co pani przywiozła Dunajewi.

Dawała nam posłuchać, jak gra!

Ten drot, co Dunaj powiesił nad chato?

Ale to nie drot gra! Nakłada sie takie klapki na uszy i słychać: grajo, gadajo, śpiewajo!

Jak żywe! Dunajaki całymi dniami słuchajo!

E, każdy drot brzęczy.

Nie, to nie drot, pani mowi, że to też elektryczność.

Ech, ta elektryczność, przypomniało sie mnie zebranie, tamto gadanie iżyniera o maszynach, wójt, przypowieść o koniu: na stare chwoje patrze, a jakże, stoi ona, rosochaty jełowiec koło niej. A tu rydel przy nogach leży!

Przebieraj tu kartofli, ja zaraz bede nazad, mowie małemu, i wstaje, i z rydlem ide.

Ide po kurhanie, wierzchem, stare dziewanny trzeszczo pod nogami, ide coraz prędzej, bo ciągnie. Mijam mogiłki, ide pod chwoje, wrony z niej zlatuj, uciekajo. Staje pod staro chwojo, zadzieram głowe, czy co jeszcze na niej nie siedzi: nie, niczego nima, tylko chwoja szumi, ale ledwo, bo wiatru nima, i niestraszno, dzień, jasno, tylko co obiad minoł.

Pod jełowcem czapka moja leży, ale jaka! Zapleśniała przez zime, poszmaciała! Ruszam jo rydlem: nic! Przewracam: pleszka trawy sie odkrywa, zapóźnionej, białej. Brać te czapke, nie brać? Biore za kozerek<sup>262</sup>: jakaś hadka, fe! Odrzucam jo na bok, w dziewanny!

<sup>259</sup>bróć się a. bruć się (daw., gw.) — walczyć, zmagać się. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>pikier a. pikier — daw. gra, w której uczestnicy starają się strącić rzucanym kijem umieszczony na kółku przedmiot, strzeżony przez pikra, gracza, którego kij wylądował najdalej od kółka. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>zabawa w kaczo — zapewne zabawa dziecięca zwana w niektórych regionach zabawą w kaczkę i kaczo, czyli rzucanie po wodzie „kaczek”, płaskich kamieni, które mają odbijać się od powierzchni, czemu czasem towarzyszy wyliczanie liczby odbić: o dwóch odbiciach mówi się, że rzucający dał „kaczkę i kaczo”, o czterech, że dał „kaczkę, kaczo, gęś i gęsiora”. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>kozerek (gw.) — daszek u czapki. [przypis edytorski]

Staje pod jełowcem i rydel stawiam na ziemi i strachu nie czuje! Niestraszno! Tylko ciekawość, strachu prawie nima.

Naciskam nogo, rydel wstroił się do rąbka, czekam chwilkę: nic! Odrzucam piach na bok, drugi sztych: znowu nic! I trzeci sztych, i nic, nigdzie nic się nie odzywa. Tylko pot się leje, czuje mokre na czole, szyi i pod pachami.

E, teraz już kopie śmiało, prędko!

Piach idzie letko, tylko korzeni przeszkadzają, to ich odcinam rydłem jak siekierą, wyrrywam i kopie. Pokazał się żwir grubszy. Znowu żółty piaseczek. Potem biały. Już i do paska w jamie stoje!

Ty bardziej pód jełowiec kop! mówi ktoś, oglądam się: Kozak. Bicz ma w ręku.

Odważnij kopie, zawsze to śmielej z kimś niż samemu. Korzeniów dużo, tyle że cienkie, toż jełowcowe, najlepsze na koszyki, cienkie i długie. Przecinam, wyrrywam, kopie. Już pod pachy w jamie stoje.

Ty pokop, mówię do Stacha, będziemy mieli konia na dwóch!

To myślisz, że jest?

Myśle, że nima.

To czemu kopiesz?

Chcę wiedzieć na pewno.

Wyłaże, on żegna się, wskazuje. Kopie, a ja z góry patrzę. Ale już nie sam: już i Natośnik przyszedł, konia w polu zostawiwszy, Stach co to ja i Władko co je komosę i Jaśko Zębaty i Ziutek przyleciał.

Jakby się ziemia ruszyła, prętko podaj trzonek, wyciągnę, ostrzegają Władko Stacha w jamie.

E, studnie się kopało i strachu nie było, on na to z jamy.

Nie ruszy się, jak my nie uwalim, mówię i odpycham ludzi od jamy.

A głęboko kopać chcecie, pytają się nas ludzie.

A z półtora chłopca, ktoby co głębiej zakopywał.

Nasłuchuję, czy rydel nie zadzwoni, nie żdźgnie. Żdźga, ale o piasek, o żwir: prawdziwego żdźgu o żelazo, o blachę nima. Kozak stęka z jamy: Uf, zdaje się, że ten koń rozgnął!

Zdech i zgnił! Śmieje się ludzi na wierzchu.

Może dzie poszedł pod ziemię na piekielne łąki!

Uważaj Stach, bo do piekła się dokopiesz!

A ogona tam nie widać?

Za ogon ciągnij!

A może to kobyła! Uważaj, żeby zębów tobie, ha ha ha, nie wypierdziała!

Jak Filip Jadźce!

A zagłębuj w podogonie, złotne ono czy srebrne!

A co wy, kurwa, durnego ze mnie robicie! zezłościł się Kozak, trzonek w górę podnosi: Wyciągajcie!

A posiedź! śmieje się nad jamą: Tej kiełbasy, co wojt mówił, pojedz sobie!

Mączki weź w kieszeni!

Marmulady!

Ktoś mnie popchnął do jamy i zwał się ja Kozakowi na głowę, on przestraszył się!

Coś na nas zlatuje mokrego, podskoczyli, odbijamy rękami: czapka! moje stare czapke ktoś rzucił.

Podsadam ja Kozaka, wyłazi i mnie zaraz wyciąga jak z grobu, a na wierzchu mężczyzn ganiają się wkoło jamy, to tego napychają, to tamtego, obsypują się piaskiem, dużają się po ziemi, mocują jak chłopcy za koniami, a wrzasku, a śmiechu! Nas bioro w obroty, mnie i Kozaka, przewracają, nawalają się wielko kupo, jeden na drugiego: szarpiem się, siłujem, uch, walim kulakami, nogami dźwiergamy<sup>263</sup>, łośskie<sup>264</sup> dziewanny trzeszczo pod nami, ziemia stęka.

<sup>263</sup>dźwiergać (gw.) — wierzgać. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>łośki (daw., gw.) — zeszlroczy. [przypis edytorski]

Dzień, dwa później, z rana, śniadamy, uczycielka wychodzi z pokoju. Ale nie idzie na dwor: zatrzymuje się koło proga, stoi, coś chce powiedzieć, nie mówi: rozgląda się tu, tam na kwoktuche<sup>265</sup> w pałubce<sup>266</sup> patrzy. Ileż ona tu siedzi? pyta się aby pytać: Z tydzień, nie?

Już tydzień i jeszcze ze dwa! na to Handzia.

Ależ to ma cierpliwość!

Oj wej, na to tatko od miski: kiedyś jak kwoktuchi zabrakło, mama pod pachy parke wylęgli!

Ależ to trzeba mieć pachę! dziwi się uczycielka, głowo kręci. Zamyczke naciska, ale pomau. Aha! mówi, udaje, że przypomniła: Chciałam panu powinszować, panie Kaziku.

Jemu? zdziwiła się Handzia. A toż czego?

A tego kopania pod jałowcem.

Kiedy oni nic nie wykopali!

Wiem, że nic. Ale ja winszuję, no, odwagi.

Zatrzymuje ją łyżkę w gębie, nasłuchuje. Handzia śmieje się: A to on niby taki odważny?

Jeśli się nie bał duchów, co tego konia pilnowały, tłómaczy uczycielka, znaczy, że on już nie bardzo wierzy w czarymary. Czy nie tak, panie Kaziku?

Zacierke, psiakrew, dawaj, mowie ostro do Handzi, w pole czas!

A ona wychodzi, do szkoły idzie.

Do pół maja w polu głównie się siedziało: po owsie zasiało się len, konopi, posadziło się kartofli, uszykowało się zagon pod warzywa, na koniec zasiało się gryke i nastali dni wolniejsze, koło domu. Handzia nacisnęła, żeb szlabanek dzieciom zrobić, pewnie za namowu uczycielki. Prawda, pódraštali, Ziutek piętami po pachach nas szturał. No dobrze, zbił ją z deskow ten szlabanek, pód okno wstawił, wtedy Handzia dawaj pilić, żeby kurom kucze<sup>267</sup> sklecić przy stodole, takie jak u Dunaja. A na co, pytam się. Żeby lisy mięso mieli?

Ona na to, że z sieniow śmierdzi.

Ho ho, jaka pani, już jej kury śmierdzo! To niedługo może i mnie z chaty wyprawisz?

Ale koniec końców zbił ją te kucze przy stodole, żerdki wstawił, stare koszy wyszykował na gniazda. Akurat i Muszka okociła się, pięć psiakow przywiodła. Wybrał ją jednego z czarnym podniebieniem, sprawdził, czy nie suczka, a cztery zawiązał w stary rękaw i dał dla Ziutka, żeb wrzucił do rzeki. Poszedł, ale coś długo nima. Przychodzi: widze, że oczami ziemie zamiata:

Co, nie wrzucił?

Wrzucił, mówi.

Ej, łesz. Nie wrzucił! Dzie oni?

Chłopiec w bek.

Ty, ty, co ty taki litościwy, mówie, chcesz ty łazęgow nahodować, żeby kury dusili? Dzie oni?

Co zrobił? Za stodoło w słome schował! Wziół ja ten żywy rękaw i niose, chłopiec idzie za mno, popłakuje, choroba, miętki syn mnie rośnie. Tłómacze: Taki ty litościwy? Dobra, zobaczmy, jak tego jednego bedziesz doglądał. A co mus utopić, to mus!

I chluś rękaw na rzeke, niech woda odniesie nieboraczkow za wioske: bultneło i po wszystkim.

Ale widze, rzeka jakaś mała! Płyczny się poodkrywali do dna, wierzby wystajo koreniami nad wode: Matkoboska, to już?! Nigdy takiej niskiej wody w maju nie było, czasem, ale i to nie co roku, w żniwa rzeka dużo wysychała! Patrze na małe rzeke, tam jeszcze gorzej, kaczkki na piechote mogo jo przechodzić!

Filip, krzycze do pastucha, czy ja dobrze widze? Rzeczka wyschła?

A wyschła, mowi, co roku wysycha.

Ale nie w maju!

<sup>265</sup>kwoktucha (gw.) — kwoka. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>pałubka (daw., gw.) — zdr. od *pałuba*: nakrycie, w szczególności: nakrycie wozu (buda), drewniane lub słomiane nakrycie ulla, wiecheć do zatykania komina. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>kuczka (gw.) — licha chatka, szałas, szopa; zagroda dla prosiąt, cieląt, kur. [przypis edytorski]



Bo wiosna była sucha, macha rękę mnie na odczepne: dziećmi zajęty, w noży z nimi gra. A jakże, nie pomylił się ja! Pare dni potem zawurczało na drodze, wylatuje ja ze stodoły: motocykiel bach, bach, bach jedzie, siny dymek wypuszcza, siedzo na nim jakieś dwóch w beretkach, za nimi dzieci czeredo cwałują! Stanęli koło Dunaja: zleźli z maszyny, jakieś skrzynki odczepiają, wkoło nich zbierają się mężczyzny. I ja lece.

Jeden stary, lat z pindziesiąt, drugi ze dwadzieście pare, zuchowaty, rozgadany. Noszo skrzynki do Dunaja.

Ziemiemiery<sup>268</sup>, mówio Domin, bedo nas obmierzać!

Ale jak oni przez Topielko przejechali, pytam sie ja: toż tam błoto pod pachi, a ta maszyna prawie sucha!

Podobno Topielko wyszło, mówio Domin, ech zdaje sie, że bedzie, jak mówili: musi w tych Bokinach już przekopane.

Bagno spłynie?

Teraz, Boże ty moj, teraz zacznie sie! przepowiadają Domin: Złodzieje, łazęgi, każda zaraza wciśnie sie suchimi nogami.

Jeszcze tego samego dnia wyszli oni po obiedzie na łąki, Maniek Dunajow woził za nimi taczke z drewnianymi palikami, młody obuchem wbijał te paliki po drodze: koło Dunaja wbił, przy Kuśtykach, koło Litwina co zleciał z dachu, za Grzegorycho i na końcu przed mokrym Jurczakiem. Starszy miał na brzuchu deseczke zaczepione sznurkiem za szyję, na deseczce papier i coś rysował.

Z drogi zeszedli na pole i brzegiem, popod łąkami doszli do brzeziny. Stamtąd skręcili za kurhan, zgineli, aż wieczorem pokazali sie na wierzchu, koło mogiłkow: wetknęli tam długie tyczke z krzyżakiem i drogo, wbijawszy paliki, wrócili sie do Dunaja. Pytam sie wieczorem uczycielki, co też oni zaznaczają?

Plany robio, tłumaczy ona: Muszo mieć plany wsi, gruntów i bagna.

Żeb podatkami obłożyc!

Tego nie wiem. Wiadomo tylko, że nie można zaczynać ni mejloracji, ni elektrykacji bez planów. Niech sie pan nie boi, panie Kaziku, nikt nie bedzie pana krzywdził.

Ale w Bokinach przekopane!

I cóż z tego? Więcej łąk będziecie mieli.

Więcej łąk i więcej złodziejstwa, ja na to, wszystkie tałajstwo zacznie teraz nas plądrować!

A cóż wy tak boicie sie obcych. Ja też jestem obca, a ukradłam co komu?

Pani nie, włączają sie tatko. Ale inne?

Inni tacy sami.

Tu nie tylko o złodziejstwo idzie, mówio tato.

A czegoż jeszcze tak boicie sie?

A bandyctwo! Czy kiedy u nas kto człowieka zabił? A w miastach mordują sie co dzień!

Ja za tatem obstage: Żony mężow rzucają! W Boga nie wierzo. Z ludziow mydło sie robi! Gospody, kurestwo, sodomagomora!

Ona pociesza: E tam, nie wierzcie, naopowiadano wam strasznych bajek.

A te maszyny? pytam sie: podobno żyto końmi już koszo!

Żyto końmi? dziwujo sie tato: Konia w dośpiale<sup>269</sup> żyto wpuszczają? E, to chyba dzie u Niemcow.

Nie u Niemcow! Dunaj widział za Surażem!

E, u nas ludzi na to nie pójdo, przepowiadają tatko.

Uczycielka siedzi smutna, na nas spogląda litościwie. Aż jo Handzia bierze w obrone, czy to pani temu winna? Żeb wszystkie byli takie jak pani, nie byłob strachu.

Ucinam: Tu o pani uczycielce sie nie mówi.

A dlaczego niby inni mają być gorsi ode mnie, pyta sie ona.

Drugiego dnia geometry chodzili od palika do palika z blaszano taśmo: mierzyli i zapisywali. To samo trzeciego. Tego dnia uczycielka wróciła od Dunajow grubo po zachodzie.

<sup>268</sup>ziemiemiery (gw.) — człowiek zajmujący się pomiarami terenu, geodeta (dawniej nazywany geometrą). [przypis edytorski]

<sup>269</sup>dośpiały (gw.) — dojrzwały. [przypis edytorski]

Czwartego wyszli z maszyno: trzy długie nogi miała, na wierzchu pudełko z lornetko. Stawiali nad każdym palikiem i celowali, nazad i do przodu, na czerwone tyczki w białe paski: trzymali tyczki Dunajowe chłopcy. Młody celował, stary zapisywał i coś podliczał. Tego dnia uczycielka siedziała u Dunajow może do północy.

Piątego dnia też chodzili z maszynko. A wieczorem młody zaszed do nas.

Dzień dobry, ja do pani Joli, mówi i idzie przez zapiec jak nie przez zapiec, jak nie przez chatę, ale przez drogę, pole, na nas ani patrzy, sunie prosto w dźwi. Puka, uczycielka odmyka od razu, widać czekała, i już coś gadają, śmieją się za dźwiami.

A u nas zapieco ciemnawo, tyle blasku co od ognia w piecu i od oknow. Zawsze dotąd lampę wzięwszy, zostawiała ona drzwi nademknięte, było widno i u nas.

A tato szepoczo: Pewno narzeczony! Nareszcie ma kawalera, a to sama była jak zazula<sup>270</sup>.

A tam śmiechy i gadanie, ona śmieje się, on gada.

Aż się dźwi odmykają, prosi ona: Zrób, Handzia, jajecznicę, ale na dwoje, nie pożałuj. I daj dwa kubki.

Tato zbystrzeli od razu: Oho, bedo pili! i cmokają i na murku się kręcą. A Handzia jakby skrzydeł dostała, tak się nad patelnią zwija: sześć im jajek, choroba wybiła! A usmażywszy, puka!

Uczycielka wygląda, bierze przez prog talerki z jajecznicą, bierze chleb i widelce, bierze kubki. Na zdrowie, mówi Handzia i łyp okiem, oczko do niej puszcza, a ta śmieje się urwisowato! Drzwi się zamykają i u nas znowu ciemno.

A tam? A tam piją sobie, śmieją się, opowiadają, czasem głos ściszo, marmoczo coś, marmoczo, naraz jak nie hukno śmiechem! A na kogo oni szepoczo, przed kim się ściszą, z kogo, psiakrew, się podśmiewują?

Nie, nie usiedzę, nie będę słuchał, jak śmieją się, kto wie, czy nie ze mnie. Ot, cholera, znalazł się opowiadacz, narzeczony w cienkich nogawicach. Zajde do Domina, mówię. Czapkę bierę i idę.

Ale nie do Domina idę, tylko dużo bliżej, pód okno, tak, do swojej chaty, choroba, zaglądać będę!

A zaglądnąć nie łatwo, bo firanke zawiesiła sobie uczycielka na całe okno. Tylko od samej góry, gdzie się sznurek rozciągnął, szparka się zrobiła, wąziutka, ale wysoko, za wysoko.

Na szczęście klon przy ścianie rośnie: wsuwam się ja między pień a ścianę, za gałąź cichutko się łapie, podciągam się, oczami do szpary: siedzę!

Siedzę przy stole: butelka napoczęta, jajecznicę sobie jedzę pomału widelcami, chlebem zakąszają. Poczekam, aż wypiją. Ni to stoje, ni wisze, ręka drętwieć zaczyna, czekam. Na książkach, widzę, figurka stoi. Lampa wisi na goździku koło łóżka. Zygarek stoi na ławie.

Aż on nalewa, nawet niemało nalał: stuknęli się, wypila jak mężczyzna, głowę odrzuciła i hop! była wódka, nima wódki. Oho, numerek z ciebie, panienko, niewąski.

Ale ręka boli! Złazę po cichu i wychodzę na drogę. Niedaleko, pod Dominowymi lipami, dziewczęta śpiewają, Reczeńke śpiewają, pieśń tę kiedyś Dunaj od orełow przewioz, jak tratwy ganiał Narwio.

E, nic nie będzie, pocieszam się, ileż oni znają się, dzień, dwa. Posiedzi i pójdzie. A jakby co, to lampa zgaśnie. Aha, będę spoglądał, czy się okno świeci: w razie jakby zgąsło, zajde znowuś, posłucham czy poszedł, czy jest. A zlicić się nima czego, prawdziwie tato powiedzieli: męczy się dziewczyna całe dni z tymi bachurami, wieczorami zeszyty poprawia, albo ślepnie nad książkami, czyż nie ma prawa się rozerwać? Niech odpocznie raz, toż ona niestara. Że wódki się napiła? A czy to na weselach baby nie piją? Nawet niektóre druhnę probują. A co tam, zapoznała koleżę, niech sobie pogada, pośmieje się, co tam.

Schodzę z drogi nad rzekę, w łozy, żaby huczą, aż się błota huśtają od tego huk! Dzień na łąkach derkacz<sup>271</sup> derczy. Po wierzbach ptaszki krzyczą, parzą się. Toż czerwiec.

Ciekawe, co by było, żeb tak kiedy noco, jak Handzia zaśnie, zejść cicho na chatę. Ona spałaby, sama taka, pewno ręce rozrzucone. A wtedy ją ruszyć w ramie: odemknę

<sup>270</sup>zazula (gw.) — kukulka. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>derkacz — średniej wielkości ptak z rodziny chruścieli o charakterystycznym głosie, bardzo płochliwy. [przypis edytorski]

Gość

Śpiew

Pożądanie

oczy i co? Krzyknie? Wyskoczy z łóżka? Zawoła Handzie? He, a może posunie się? Nie, krzyku nie narobi, ale na pewno powiedziała by iść, wracać się! Za delikatna ona, za dobra dla Handzi, za wstydliva.

A lampa świeci się i świeci.

Dziewczęta śpiewają Z kołącego ostu można płoty grodzić, choć prawie ich tu nie słychać, bo żaby głośniejsze, wiem, słowa zna się: z kołącego ostu można płoty grodzić, z kołącego ostu można płoty grodzić, mężowej matuli nie można dogodzić.

Lampa świeci jak świeciła.

A może już poszedł, a ona czyta?

Ide znowuś, znowuś wlaże pomiędzy pień a ściane, ręko się za gałąź łapie i tak wi-siawszy, stojawszy, patrze:

Stół odsunięty aż do drzwi, dźwi stołem przyciśnięte! Butelka pusta. Ona na łóżku, pod lampo, goła!

Całkiem goła!

Ale on, dzie on?

Nima! Jego nima!

Ona kłęczą na łóżku pod lampo, cyckami i twarzą do okna, oczy zamknięte i kiwa się, jak baby w kościele się kiwają! Modli się? Czy pomieszania dostała? Tak, spiła się i pomieszania dostała: wtuliwszy głowę, kiwa się i kiwa, jak wyprostuje się, widać nad szczytkiem, jakie ręce ma cienkie, a cycki nieduże: chudziutka jak chłopiec, cieniutka, istna Konopielka.

Wtem nogę widzę!!! Jego kolano widzę, leżącego na plecach!!!

I tak jak ręko trzymał się ja dyla, tak od razu to ręko grechotnął w ramię, aż się szkło posypało, a pod drugo ręko gałąź się urwała, i ryms ją na ziemię, a z ziemi jak dzik hyc przez płot i zadudniwszy nogami, rzucam się w łoży, na łeb na szyję!

Rano Handzia ze trzy razy dobijała się do stodoły. Wpuść, prosi, mus pogadać! Nu wpuść, toż wiem, że tam siedzisz! I zamyczko kołocz. Trudno, niech kołocz, pokołocz i pójdzie. Ale nie, uparła się, klepie, huczy. Mówie wreszcie: Odczepże się, kurwo jedna!

Za co ty mnie tak, Kaziuk! Chodź, upiera się, trzeba coś zrobić z oknem, póki ludzi nie śmieją się.

A co, pytam, widzieli może coś do śmiechu?

Wstyd, że całe okno wybite! Plotkować zaczęto!

Ale nie o mnie, czy to mnie podglądali? Niechaj ona ładzi<sup>272</sup>, albo ten jej narzeczony.

Posiedział ja jeszcze niemało na worku, niemało czasu zeszło, zaczęłam wyszed ja ze stodoły. Jezu, co się robi, narzeka Handzia i pod chatę mnie prowadzi, na nasze panie napadają! Napadają? dziwie się: I ten jej kawaler nie obronił?

Zachodzimy pod drzewo.

Prawda to, pytam się uczycielki spod okna przez dziurę, że ktoś na panie napadł?

Tak, mówi ona, okno rozmyka: ktoś wlaż na drzewo i podglądał, a potem trzasnął w okno i uciek.

Mówi to, a na boki patrzy, oczy chowa.

To na drzewie siedział?

Tak, słychać było jak się zwałił.

Hm, pewnie ta gałązka jemu się urwała, mówie i gałązke podnoszę z ziemi: Aha, mówie, w górę spoglądawszy, to z tamtej gałęzi się urwało, pasuje. Co za świnia, podglądał, pani mówi, ciekawe, czego taki szuka! A to może i po nim ślady? dziwie się. A ślady na zagonku w cybuli jak po koniu! Patrze ja na te ślady, gałązke oglądam i myślę: lepiej było tobie na te drzewo nie wlażyć człowieku, oj, dużo lepiej byłoby dla ciebie, dużo. A ona:

Boję się! Może mnie co wieczór podglądano, tfu, okropność!

A jakby te gałąź obciąć? radzi Handzia. W chacie będzie widniej i już nikt się nie uczepli?

Gałąź, mówie i cały drze, zęby latają: Gałąź? A dobrze, już, zaraz! Zaraz się zrobi, tak się zrobi, żeby już nikt nie wlażył na te gałąź. Ziutek, piłę, siekiere raz dwa!

<sup>272</sup>ładzić (daw., gw.) — doprowadzać do ładu, porządkować. [przypis edytorski]

Trochę szkoda, mówi ona.  
 Szkoda? E, mnie tam już niczego nie szkoda, rzeki nie szkoda, chaty nie szkoda, drzewa nie szkoda! mówie, siekiere biore i od dołu pień obciopuje!  
 Co?! Handzia oczom nie wierzy: Co ty, co ty, Kaziuk całe drzewo? Nie tykaj, trzęsło się tato, nie rusz klona, bo źle będzie! Nie ścinaj, mówie, chatniego drzewa!  
 A co ono, święte?  
 Nieszczęście na dom ściągniesz! Nie ścinaj!  
 A to so jakieś nieszczęścia? dziwie sie. I obrąbuje.  
 Od piorunow broni, nie ścinaj! I próbuj za plecy odciągać, ale ich tak odpycham, że na Handzie polecieci.  
 Nie ścinaj! gwałtuje Handzia. Dziewczęta kiedyś dorosno, ławke dzie im postawim!  
 A im bardziej sprzeciwiajo sie, tym mocniej rąbie, obrębuje kore, żeby piła dobrze weszła, białe ciało spod kory sie świeci.  
 Nie ścinaj, bo ręka uschnie! straszo tato, nogami tupio, latajo wkoło, to z tej, to z tej. Y tam, pod jełowcem nie uschła, nie uschnie i teraz.  
 Ależ panie Kaziku, naprawdę szkoda, przemawia ona z okna, takie piękne drzewo! Cały dom w gałęziach! Naprawdę szkoda, co pan robi najlepszego!  
 Co tam gałęzi! ja na to, wyprostowawszy sie: Grunt, żeby nikt pani nie podglądał.  
 To wystarczy tę jedną gałąź!  
 A co sie bawić po gałązce: całe drzewo zetniem! Po co ono? O, podwaline rozsada. Strzecha gnije od cienia. I pani będzie miała widniej w izbie. Widniej, mówie, pani nie lubi, jak widno? Mnie sie zdaje, że pani lubi, jak jest widno.  
 Ona na mnie patrzy, patrzy.  
 Jak widno, to lepiej czytać, mówie, oczy sie nie tak psujo. Pani tak dużo czyta, a mnie paninych oczow szkoda. Klękaj, Ziutek!  
 Nie! broni sie: Nie bede drzewa ścinał!  
 Klękaj, mówie!  
 Wołajcie Michała! jęczo tato: Michał, Michał!  
 Klękamy, pile przykładamy. Pociągam, drasnęło zębami białe, chłopiec pile wypuścił.  
 Beczy.  
 Trzymaj, zasańcu!  
 Nie bede! Toż to tatowy brat! Nie bede!  
 Trzymaj! i w łeb go: Ciągnij, psiakrew, bo zatłuke!  
 Co ty robisz! huknoł zza plecow Michał: Co ty robisz, człowieku!  
 Ślepy? Nie widzisz, że drzewo ścinam?  
 Nie ścinaj! I za pile łapie. Ja za siekiere: Odczep sie, mówie, to moje drzewo.  
 Babka posadzili, ono i moje!  
 Ale komu posadzili, kto sie wtedy urodził, ty czy ja? A po czyjej stronie chaty ono? Po twojej?  
 Ty zdurniał! mowi Michał, spoglądawszy na siekiere. I odstępuje.  
 Ciągaj, Ziutek, nakazuje ja małemu, spokojnie. I już nie słucham, co gadajo za uszami, ciągam pile, za dwóch ciągam i pcham, bo ileż chłopiec pomoże. Tyle że naciska. Nie wiem, czy ona patrzyła z okna, czy nie, mnie zdawało sie, że patrzy. Przepiłowali my śnit z jednej strony, przepiłowali z drugiej, od ściany, drzewo ruszać sie zaczęło.  
 Na bok! ostrzegam. Zaruszało sie, a nie leci. Jeszcze pare razy przeciągamy piło, odskakujem: rusza sie, a nie leci. Jakby żyć prosiło.  
 Właze między drzewo a chate, kolanami naciskam pień, plecami wpieram sie w ściane: kiwnęło sie, chylił pomału. Naciskam, patrze w górę, ruszyła zielona czapa, widze, jak jedzie, jedzie, i w głowie mnie sie kołuję liści, chmury i myśl jedna: na co mnie kiedyś babka rękę przypalali, babka, na co, rękę, babka, kiedyś, przypalali, na co, czuje, że zaraz płaczem, bekiem rykne: gołe niebo sie odsłania, ktoś krzyknoł: Uważaj! podobno w gałęzi patrzawszy, chylił sie ja za drzewem jak przywiązany, a kiedy huknęło, odziomek buchnoł mnie w bok, w kość, i pociemniało.

O, leżało mi sie jak królowi! Nigdy w życiu nie wylegiwał sie ja tyle: leże sobie,

Choroba

a oni chodzo wkoło, jak przy jajku, na dybkach, półciszkiem, o zdrowie pytają, skwarki podtykają, sieduch podstawią jak sralowi. Handzia Kazikiem nazywa, kaziuje, kazikuje, choć tylko Kaziukiem był ja u niej bez<sup>273</sup> lat dziesięć.

Królowanie królowaniem, a co ja się nacierpiał, tylko mnie i Panu Bogu wiadomo. Żebro mnie wyszło i coś pękło w kulszy<sup>274</sup>, chyba kość się nadłupała, bolało od najmniejszego ruszenia się, od dychania nawet. Uczycielka naparła do szpitala mnie wieść, do miasta, abo choć doktora przywieść z Suraża, ja na to, że doktora może przywieść, ale sobie. Ona: Po co mi doktor? Ja: A pogadać sobie wieczorem, o książkach, o miastowym życiu. Ucichła, patrzy się pod nogi, wie, że ja wiem!

Tak po prawdzie, to zdychać się chciało, a z tej przyczyny, że żyć się nie chciało. Drzewo leżało przez ogród aż na drogę, drogę zagradzało, póki Ziutek z Handzio czuba nie upiłowali. Upiłowali, odciągnęli, drogę dali. A jeść to się przeważnie rybe jadło, dzieci pełnymi koszami nosili z rzeki płoć, jazia<sup>275</sup>, szczupaka, okońki, rzeka przemieniała się w sadzawki. Nie mog ja tego nijak sobie przedstawić: tego, że rzeki nima, prawie nima! Tato przyłazili z nadwora zgłupiałe: Po Marcinowej Jamie, mówio, dzieci brodzo i majtkow nie zamocz!

Po Marcinowej Jamie? Toż jo mało kto zgruntował!

Tak, półplaczo tato, po Marcinowej Jamie, po Stawisku, po Gaju, ryby leżą w błocie jak w oleju, zdychają w słońcu, Boże, Boże, była rzeka, nima rzeki! Słucham i nie wierze: że zalewy wyschli wierze, że mała rzeczka, że Mazurowe koryto, że chlapa za wierzbę też jakoś uwierze, ale że duża rzeka zginęła? Jaktó, Narwi nima? Jakże może Narwi nie być!

Naszej nima, mówio tatko, wybałuszywszy się, dziw, że im oczy na podłogę się nie sypio, naszej nima. Mówio, że ostała się tylko ta, co płynie koło Strabli, przez Zawyki. A wszystkie poboczne gałęzi pousychali. Z Hołowczańskich<sup>276</sup> moczarów zrobiło się błoto, Ciekuniska<sup>277</sup> topiel przemienia się w rzeczke, Kowalskie<sup>278</sup> grzęzawy też zeschli się w rzeczke: z całego Rozgnoju<sup>279</sup> ostało się trochu wody mięż Uhowem<sup>280</sup> i Bokinami.

Handzia rybe smaży i na oleju, i gotuje krupniki, i suszyć próbuje. Rybo śmierdzi i w chacie, i za chato, i chata.

A do Strabli można wozem jechać jak po klepisku! mówio tato.

Ale czy prawda, że i Topielko suche?

Gadają, że suche, błoto obsiadło i sucho.

I co oni w tych Bokinach zrobili?

Tam progi byli. A oni podobno wzięli rozkopali te progi mięż górami. Nu i progów nima i bagno spłynęło.

Choroba, jak oni w wodzie kopali, dziwi mnie: A co z naszymi łąkami?

Te wyższe podsychają. Ale już na szlamach trawa pokazuje się, jeszcze rzadka, ale rośnie nawet ładnie.

I czyje bedo te nowe łąki?

Nie wiadomo, ziemiomierzy obmierzają.

To nie wyjechali?

Ha, jeszcze dwóch przyjechało!

Młode, stare?

Same młode.

A żeb ich małanka popaliła! To wy naprawdę mówicie, że już rzeki nima? Nijak nie mogę przedstawić sobie widoku na kurhan, że się wody nie odbijają! Chce do okna wstać,

<sup>273</sup>bez (gw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>kulsza — kość biodrowa. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>jaz — ryba z rodziny karpionowatych. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>Hołowki — wieś w pow. białostockim, w gm. Juchnowiec Kościelny; istnieją dwie wsie o tej nazwie: Hołowki Duże i Hołowki Małe. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>Ciekuny — daw. wieś, dziś pole i pastwisko we wsi Juchnowiec Dolny, w pow. białostockim. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>Kowale — wieś w pow. białostockim, w gm. Suraż. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>Rozgnoj — rozlewisko Narwi koło wsi Bokiny, w pow. białostockim. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>Uhowo — wieś w pow. białostockim, na płn.-wsch. brzegu Narwi. [przypis edytorski]

ale dzie tam, plecami ruszyć nie mogę. Póki moje oczy nie widzieli, wierze i nie wierze. Matkoboska, to my już nigdy, tatu, nie pojedziem po rybe z brodniami<sup>281</sup>? Z kłomlami<sup>282</sup>?

Nie! Chiba weźme połamie! Abo spale!

Nie łamcie, może jeszcze co odwróci się? A pola, jak na polach?

Pod kurhanem rośnie po staremu, ale od łąkow jęczmieni marniejo. Tak samo koniuszyny<sup>283</sup>, konopi. Podsychajo.

A żeb ich, tych dobrodziejow, spaliło! Że to nima na nich kary!

Nie bojs, mówio tato, Pambóg im szykuje gościne, już tam w piecach dla nich palo.

I biero tatko różaniec, ale popaciorkujo trochu, znowuś wzdychajo: Mnie co tam, wzdychajo, ile mnie zostało, ale co z wami? Co z dziećiami? Boże zmiłuj się!

Boże, Boże, a co święte? dycham: Puciekali! Chiba prawdę gadał Pieter, że Pambóg coraz starszy.

Ludziom rozumy mieszajo się. Co ciebie naszło, że ty klona ścioł?

At!

Jakże święte drzewo ścinać?

A jakie ono święte.

A nie pokarało?

Okaleczyło, bo zapatrzył się.

A czemu zapatrzył się? W zwyczajne drzewo nie zapatrzyłby się. Wiesz, jak teraz chata wygląda z nadwora? Łysa. Jak pół sraki.

Handzia w polu siedziała, len pleła, warzywo, oborywała z Ziutkiem kartofli. Uczycielka czasem siadała z nami: przypodchlebiała się, ale ni tatko, ni ja za bardzo z nio nie rozmawiali.

Może dać panu książkę? dopytuje się: Poczyta pan sobie.

Nie umiem!

To może ja poczytam na głos?

Nie chce.

Ale trochę, na próbę?

Kiedy ja naprawdę nie chce paninych książkow! Przez te panine książki Taplary czort wzioł!

Nie wziął, nie wziął, pociesza słodziutko, teraz dopiero żyć zaczniecie! Tyle nowych łąk, nowej ziemi! Do świata blisko, łatwo!

A cóż tam dobrego w tym świecie? krzywio się tato: Judasz na Judaszu.

A jacy znowu judasze! źli się ona. Porządni pracowici ludzie!

Porządni?! Uch, usiadby ja teraz, żeby jej krzyknąć prosto w oczy: Porządni? Już raz nam pani opowiadała o tej porządności! Już ja wiem, jaka ona, ta porządność!

I chce dodać: porządność, ale do góry nogami, taka, że baba na chłopą włazi, a chłop jak baba na plecach leży, ale w pore gębę zamykam.

Owszem, ciągnie ona, ale w oczy nie patrzy: inne obyczaje tutaj, inne gdzie indziej. Ale myślicie, że tylko wasze życie święte?

I książkę odmyka.

Odwracam oczy na ściane, na muchi patrze, jak po glince łązo, ona czyta o jakichś panach, jak na koniach jado, ścigajo się, strzelajo niedźwiedzia, potem jeden między nimi staje, gra.

Odwracam głowe do ściany, bo nie chce tego fiubzdziu słuchać. Co ona wie, co o naszym życiu ona wie, jak tylko raz z nami przezimowała, między stołem a szkoła, nawet czterech por nie widziała! A ja trzydzieści razy, a tato siedymdziesiont, a może i osimdziesiont razy obesli wiosne, lato, jesień, zime, i to nogami i rękami w błocie, w piachu, w rzece, w śniegu, w słomie, w gnoju! A co ona wie choćby o gnoju? O podrzucaniu słomy, dojeniu, cierpliwym przez krowy udeptywaniu, o soku, o zapachu, czy ona z raz gnoj wywalała? Ładowała na fure? Siedziała na furze, spodniami na gnoju, czy wie, co za radość. Ściągała gnoj na zagony, wie jak pola pachno, kiedy gnoj wożo? Rozrzucala

<sup>281</sup>brodnia — sieć rybacka z podłużnymi skrzydłami bocznymi, którą dwójka osób, brodząc, włóczy po dnie. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>kłomla a. kłomka — sieć rybacka rozpięta na drewnianej trójkątnej ramie. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>koniuszyna (gw.) — koniczyna. [przypis edytorski]

Drzewo

Książka

Obcy, Obyczaje

Wież, Kondycja ludzka,  
Natura

kiedy gnoj palcami! Ona nawet widłami brzydziłaby się! Przyorywała? Bronowała? Siała? Chodziła podglądać, jak wylało białe czubeczki? Jak przeczerwieniają się? A potem przezieleniają? Jak się listki wywijają, potem kłos, jak kłos rosuje<sup>284</sup>? Jak pole pod sierp bieleje? Jak z gnoju ziarka się zrobili?

A ona mi tu fiubzdziu czyta o jakichś alegantach i pańskich pieskach w kaftanikach!

I do tego w boku łupie, aż w oczach ciemnieje! Odwracam głowę i pytam wprost:

Na co pani żyje? To tu, to tam, to z tym, to z tamtym? Dzie panine dzieci? Dzie panina ziemia? Panine krowy? Świni? Kury? Panina rzeka, panina chata, panine drzewo? Dzie?

Nic nie gada.

Mało, że sama nima, to i drugim zabiera! Dzie nasza rzeka? Kto kłon zmarnował? Komu ryby przeszkadzali!

Ależ panie Kaźmierzu, zaczyna tłumaczyć się, wystraszona, czy to ja was niszcze? Ja tylko ucze pisać i czytać.

At, co tu gadać. Wszystkie wy dobre!

I już nie odzywam się więcej. Posiedziała, podumała i poszła. I przestała zaczepiać.

Noco leżał ja jak baba: od ściany, żeby chorego boku żonka nie trąciła, bo boli. Przy-suwa się, odsuwa, kręci się z dopy na dopy, nogo po łydce mnie szoruje. Co z tego, kiedy kłoc ze mnie, drgnąć nie mogę. Za ścianą tamta poskrzypuje łóżkiem, czerwiec, krew babom się burzy, a ja, ech wyszło: dwie baby w domu, jedna gruba, druga cienka i nie mogę z żadno! O, teraz to i do tamtej ja by się dobrał, żeby zdrowy był, a co! poszedby do niej w nocy, Jej Bohu poszedby, toż nie odepchnęłaby taka, uch, wysmulalby ja jo, bladziuszkę, trochu inaczej niż tamten pizdryk!

A Handzia kolanami grzebie. To mówie: Jak tak chcesz, to leż na wierzch.

Ja na wierzch?

A co!

Jak?

A odsuń pierzyne, ja na środku się ułożę.

Co ty!

Leż, mówie, już mnie napaliło, już widze tamto, co pod lampo było: Nalaż!

Wstydze się.

Kogo? Dzieci śpio, tato śpio. A tamta nie słyszy. A jak i posłyszysz, to co? Takie ogierowe koryto!

Co ty Kaziuk!

Nu wlaż, mówie!

Ale tak nie można!

Czemu?

Ja tak nigdy jeszcze.

To zaczniesz.

Nie!

I odwraca się plecami. I nie wiadomo czemu popłakiwać zaczyna, chlipie po cichutku, pochlipuje.

Czego beczysz?

Ona nic, chlipie.

Czego beczysz?

Za Jadzio.

Ot, tobie masz, przypomniała! Ona dawno tam, dzie jej dobrze.

Ja chce znowuś.

Co?

Nu, zaciężyc.

Zaciężysz, nie bojs. Bedziesz jeszcze miała tego dobrego, aż za dużo.

Ale ona mowi, żeby więcej nie rodzić: troje jest, starczy.

Jaka ona?

Uczycielka.

O, psiapara, jak to wszędzie nos wtyka! Sama rucha się jak krowa, a komu odradza!

Rodzina, Dziedzictwo

Choroba, Pożądanie

Pożądanie

<sup>284</sup>rosować (gw.) — o zbożu: kwitnąć. [przypis edytorski]

Nie odradza. Tylko mówi, żeb na pusto.

Na pusto?

A ja chce zaciężyć.

No to włącz.

Ale wstydze sie.

Wstydzi sie, cholera!

A zatkaj ty sobie kolanem! mowie zły, no bo psiamenda jedna zacznie, napali, a potem ze wstydem wyjeżdża!

Tak męczył sie ja do pół czerwca. Po Antonim trochu chodzić zaczął, na razie po chacie, wieszawszy sie rękami na ścianach. Potem z kija ładne kulasko wystrugał i z czasem na gumno wyszed. A jak zaczął na słońcu przesiadywać i po ziemi chodzić, to już z dnia na dzień letczało.

Rzeki, prawdziwie, nie było! Dno sterczało karpami<sup>285</sup> i kłodami szczeriałymi na węgiel, trawy, bluszcz leżeli zwałami, wyschli na siano. Gdzieniedzie na błocie gnili ryby, kaczkki czaplali sie w grzęzi, wybierali padło jak z koryta. Tylko głębiny przemienili sie w sadzawki i błota: tu dzieci buszowali z koskami, koskami rybe łapali! Nie, tego jeszcze nie było! Spojrzawszy na wschód, na północ, widziało sie plechy czarnego szlamu, ale więcej zieloności, dawne moczary, co ciągnęli sie hen, pod Turośń<sup>286</sup>, Juchnowiec, Ryboły, przemieniali sie w dzikie łąki. Suchimi nogami można było iść i iść, droga łatwa: tylko kto tymi suchimi drogami nadjedzie, nadejdzie i czego? Urzędniki, kolchoz<sup>287</sup> robić! Przyjado jakim pociągiem, jak straszko Domin, załadujcie całe Taplary i wywiozcie dzie zechco!

Przechadzał sie ja z kulasko jak biskup: pomaluśku, po pół krocisku, bolało jeszcze. A lato było na całego.

Dzień po Janie<sup>288</sup> przychodze z łąkow, widze: na podworzu stoi fóra, Orelow Antoch na niej siedzi.

A co ty tak siedzisz? pytam sie ja z boku.

A czekam.

A na kogo?

A na uczycielke.

A co?

A powioze na stacje.

Uczycielke?

Toż mowie.

Na stacje?

Nu na pociąg. Dunaj mnie naznaczyli.

To odjeżdża?

Jakby nie odjeżdżała, to by ja nie odwoził.

Wchodze, prawdziwie, upycha szmatki w torbe i waliski, Handzia nad nio, dzieci!

Ach, wrócił pan nareszcie, mówi, myślałam, że wyjadę bez pożegnania.

To pani wyjeżdża?

A tak, nareszcie koniec roku! mowie radośnie. Wakacje!

A w cieniutkiej sukience jest, w czerwone kwiatki: w talji przewiązana paskiem, ręce nogi gołe, opalona mocno, ale nie tak czerwono jak nasze baby: skóra jakby przydymiona. Zwija sie po chacie bardzo wesoła.

Ale chyba nie na zawsze? pytam sie: Jesienio nazad wróci sie?

Kobieta

Rozstanie

<sup>285</sup> *karpa* — pniak i korzenie pozostałe po ścięciu drzewa. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> *Turośń* — wieś w pow. białostockim; istnieją pobliskie wsie o tej nazwie: Turośń Kościelna i Dolna. [przypis edytorski]

<sup>287</sup> *kolchoz* (ros. *колхоз*, skrótowiec od *коллективное хозяйство*: gospodarstwo kolektywne) — rolnicza spółdzielnia produkcyjna w ZSRR; kolchozy tworzone pod przymusem w okresie kolektywizacji rolnictwa; tu pot. na określenie podobnie przymusowo tworzonych w PRL w latach 1950–1956 Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych (RSP), które po dojściu do władzy W. Gomułki i zaprzestaniu przymusowej kolektywizacji pozwolono likwidować. [przypis edytorski]

<sup>288</sup> *dzień po Janie* — tj. 25 czerwca, nazajutrz po dniu św. Jana Chrzciciela, charakterystycznym ze względu na ludowe obchody nocy świętojańskiej (z 23 na 24 czerwca). [przypis edytorski]



Wróć albo nie wróć, ona odpowiada bez żadnego smutku: Może ktoś inny tu do was przyjedzie. Lepszy.

Stoje jak zamrożony! Jak to? Wyjedzie i nic? I po wszystkim? Niby niczego ja nie spodziewał się od niej, ale jak to: szast prast i nima? Nu a my? A chata bez niej, jak to będzie! Niby się z nią nie gadało, ale cały czas, choroba, cały czas jakby się z nią kłóciło! W chacie jej nie było, a jakby była, i to zawsze najważniejsza. I jak to: siądzie sobie na fóre, pojedzie i nigdy jej się nie zobaczy? Aż mnie żebro zakłuło, co to, jakoś tak jest, jakby coś zginąć miało, przepaść! Coś ważnego!

Wychodzę z chaty. Jedź, mówie do Antocha.

Bez niej?

Ale do domu. Ja odwiozę.

Abo dasz radę?

Moja rzecz.

Szkoda czasu na gadanie: już woz od Michała ciągnę, spodówkę, laterki<sup>289</sup> wkładam, wrzucam półkoszki, grochowiny, przykrywam radnem<sup>290</sup>, już i Siwke z chlewa wywodzę, prętko czyszcze, raz dwa chomont naciągam, zakładam duże, lejam: pódjeżdżam pód chate, przywiązuje. I do chaty! Kubek wody, myje się z ręki nad ceberkiem, z gęby, i do sieni: cholewki naciągam, bierę lepszy palczik, lepsze czapkę. I na dwór, na wóz.

Wychodzą obydwoje, za nimi dzieci. To pan? dziwi się ona, pan mnie odwiezie?

Nie dasz rady, Kazik, po co to tobie? szkodzi<sup>291</sup> Handzia.

Ja nic nie mówie, czekam.

Kłado w półkoszki plecak, torbę, walisek, figurka do rączki przywiązana, papierem owinięta. Handzia wciska jej koszyk przykryty obrusikiem, cały czas słozę obcierałszy. A ta nic, uśmiecha się jeszcze, zimna jak z kamienia. Pocałowała dzieci w czoło, Ziutkowi rękę podała, a kiedy do Handzi przystąpiła, ta rozryczała się w głos, po dzieciaku chiba mniej płakała. Nawet tato czapkę oczy wycierają: A niech panienska przyjedzie do nas latem, zapraszają.

Kto wie, może wpadnie, tak pod koniec lipca.

Na Anne<sup>292</sup>, mówio tato, będzie odpust<sup>293</sup> w Turośni. Przyjedzie? Niech przyjedzie!

Przyjedzie! śmieje się ona i macha palcami.

To ja lejce szarpie, ruszamy. Uczycielka jeszcze im rękę pomachuje: rozryczeli się cało hurmo, wychodzą za nami na drogę. Objeżdżamy klon. Ona siedzi przy mnie jak żonka. A wzdłuż plotów widzę głowy: baby stoją, mężczyzny, rozniosło się, że ona odjeżdża. Czekają.

Dowidzenia paniencie! krzyczą za nami.

A kiedy przyjedzie?

A niech tam o nas nie zapomni!

Co złego to nie my!

Jaka ładna para!

A niechaj się pani szczęści!

Boże prowadź!

Niechby na żniwa ostała!

Ona coś im odkrzykuje, to to, to tamto, rękę pomachuje, śmieje się. Dojeżdżamy do Dunajów, tu zeskakuje z fóry, gibka to ona jest, a w tej sukience to się, choroba, przegibuje jeszcze bardziej. Całuje się z cało rodziną, a z piętnastoro ich stało: Dunaj, Dunaicha, chłopcy, dzieci, babka, Jozik z młodo żonko.

Nie chcemy nikogo innego, pani musi wrócić! dopominają się Dunaj. Pani jak nasza druga córka, popłakują Dunaicha. A babka skrzeczo zza płota: Ładna para, ładna para.

Dowidzenia, dowidzenia! mówi ona, wskakuje zgrabnie boczkiem na siedzenie: Dzięki za wszystko. Dowidzenia, nigdy was nie zapomnę!

A niech przyjedzie kiedy w odwiedki! zapraszają.

<sup>289</sup>laterka (gw.) — latarka. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>radno (daw., gw.) — grube, zgrzebne płótno. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>szkodować (gw.) — żalować. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>na Anne — w dniu św. Anny, obchodzonym w kościele katolickim 26 lipca. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>odpust — tu: lokalna uroczystość kościelna połączona z urządzaniem z tej okazji kermaszem, festynem itp. [przypis edytorski]

Ruszam, ona odkręcona jeszcze macha ręką, odkrzykuje: Może na Annę, na odpust. Dowidzenia!

Jeszcze się ogląda, za wiosko. Ja siedzę wyprostowany, naprzód patrze.

Jedziem. Na wygonie Filip lata wkoło topolki. Nasze turkotanie posłyszał: Pszczoły, krzyczy, pszczoły, cały roj siedzi! O Jezu, uciekno!

Wołaj Maciejka na pomoc! radze.

Uczycielka śmieje się, macha jemu rękę, ale na pusto, on lata jak opętany, kozuszkciem się opędza. Wtem myczenie słysze z tyłu! Oglądamy się: cielak, ciele za furo leci, stąpa sobie jak żrebaczek! Do kobyły meczy, ona się ogląda, rzy do niego!

Nie dziwne to, mówie. Nie straszne?

Nic straszego, na to ona, w jednym chlewie stoję, żyli się.

Ciele z kobyło?

Czemu nie, czytało się i o dziwniejszych rzeczach. I cichnie, duma. Jedziem, ciele stąpa przy kobyłe bok w bok, jak przyprzężone! Objeżdżamy kłode, bo podrzuci, a boje się bolu w kości. Jarzębinka Jurczakowa. Wierzba, co Wrona zamarz. Sokory. Kurhan, mogiłki, stara chwoja, jełowiec z rosochami: żółty, usycha, korzeni ja popodcinał. Z kurhana zjeżdżamy, judaszowa osina, Marysia, dęb. I las już.

Nic nie mówimy, nic nie gadamy. Nasza brzezina. Mazurowa. Woz na korzeniach podrzuca, choroba, boli, w kulszy boli. Las kończy się, już i bagno. Ale co to za bagno! Dzie błoto, wody, dzikie kaczki, czapli? Czemu ciasto nie ciamka na szprychach, nie chlupie o spodówkę? Siwka sucho nogo idzie, stąpa sobie równusieńko jak panienka, jakby szła po gumnie, nie po bagnie, ciele przy niej drypcze, rabe<sup>294</sup>, zgrabniutki, łasi się. A wkoło trawy i trawy, łąka, zieloniutko, tylko pierwsze trawy rośno tak zielono.

A dlaczego pan jedzie starą drogą, dziwi się ona. Przecież sucho, można by już na przelaj!

Prawdziwie, droga kręci się, zawija od kępy do kępy, od olszynki do brzezinki, o, niełatwo było kiedyś znaleźć dla woza trochu suchszego gruntu między błotami i grzęzawami. Kręcić trzeba było, chytrzyć, objeżdżać, nawracać.

Droga drogo, mówie.

To co: będzie pan okrążał wody, których nie ma?

Tak wszystkie jeżdżo. A ona:

Ale ktoś musi tę nową drogę zacząć!

Dojeżdżamy do Topielka. Prawdziwie, jak gadali: ziemia obsiadła, widać to po drzewach, karpysie wydeśli. A błoto porozpękało się, dziury, szczelubiny, jakby kto siekiero nasiękał, wkoło trawy rośno, pierwsze, ale już całkiem gęsto. Szuwar pod olszynę posiwiał, schnie. Nawet kobyła się rozgląda, jakby i ona okolicy nie poznawała.

Topielko, mówie w głos. Ale czyż to Topielko? Jezu, latem tutaj koń do brzucha grzęznął! Osi w błocie się chowali. A wiosno, jesienio? Niejednego konia, niejednego woz łańcuchami się ściągało z tej topieli, ech, była droga! I nima! Ot, psiapary, co zrobili, nima Topielka! Co oni, cholery, wyprawiają, a żeby ich! Takie bagno, takie okolice zmarnować! Toż tu teraz dzieciak przejdzie, Matkoboska, co się robi. Czy napewno już co było, nie odstanie się, nie wróci? pytam uczycielki: Nie odmieni się? Ona nic nie gada. Nu pewnie, co dla takiej Topielko. Niby w Taplarach żyła, ale ileż żyła, jak żyła, onaż nie taplarska. Jak się radowała, że wyjeżdża! Tak to z nimi włóczęgami: przyjedzie, naszkodzi, jedzie dalej.

To prawdziwie namyśliła się pani nie wracać już do nas? pytam się i słysze, że nie, raczej do Taplarów nie wróci.

Czy to u nas tak niedobrze? A może pani na nas obrażona?

Nie, bardzo ładnie będę was sobie wspominała, odpowiada, ale chciałoby się gdzieś w nowe miejsce.

A to w nowym będzie lepiej?

Nowe miejsce, nowi ludzie.

To do nowych miejsców panie ciągnie?

Lubię zmieniać, mówi ona, to ciekawe.

U nas też by było ciekawie, jakby pani z nami dłużej pobyla, żyła się. Nawet kamień jak długo na jednym miejscu, to mchem porośnie, a co gadać o człowieku!

Błądzenie

<sup>294</sup>raby (gw.) — o zwierzęciu, zwł. o krowie: łaciaty, czarno-biały. [przypis edytorski]

Właśnie, odpowiada ona, zasiedziałam się u was, murszeję.

Tak? To woli pani ciągać się z miejsca w miejsce, od ludzi do ludzi, i pozostać się kamieniem gołym? Nie zakwitnąć?

Sichła, coś tam myśli, дума, grochowinke wyciągnęła, pogryza. Aż tłumaczy się, że my, taplarskie, to co innego: siedzim jak kamienie w trawie, nie śpieszym się, bo mamy w zapasie niebo i wieczność. Ale jak ktoś wie, że po śmierci nic, tylko piach, to żałuje życia na powtarzanie jednego, na nasze kręcenie się w kółko, taki chce nowego i tylko nowego, jak najwięcej nowego.

Ale, machnęła ręką, nie czas, nie miejsce, żeby gadać o takich smutnych sprawach, tak ładnie dziś jest, zielono!

Przestraszyło mnie, że ona w niebo nie wierzy! A jak w niebo, to i w Boga! Pierwszy raz ja widział na swoje oczy kogoś, kto w Pana Boga nie wierzy! Słyszało się, że bywają takie na świecie, opowiadali ludzi, podobno nawet żenio się takie i dzieci majo! Słuchało się, ale nie dowierzało: jakże można w niebo piekło nie wierzyć! W aniołów, świętych, Matkeboske! Jak się w to nie wierzy, to nic tylko nóż brać i ludzi rżnąć, i sobie głowę urżnąć, albo się powiesić, utopić. Na co żyć! Patrze ja z boku na te uczycielke: ładna, uczona, ale to nie dziewczyna! To łojma<sup>295</sup>, czarcicha!

A pani z nami różaniec mówiła, pytam się cicho, toż pamiętam: modliła się pani!

Tak, odpowiada, przepraszam was za to, z ciekawości to zrobiłam.

Z ciekawości?

Jak ja słuchał o takich, co w Boga nie wierzo, przedstawiali się mnie zawsze ludzi nieszczęśliwe: jeden oczow nima, czerwonymi jamami świeci, drugi bez języka, trzeci z obciętymi rękami, inny z oberwano paszczęko, a każdy smutny, głodny i jęczy! O tym, że i baba abo dziewczyna może nie wierzyć w wiare, nigdy ja nie myślał, to całkiem nie do pomyslenia, żeby baba abo dziewczyna w wiare nie wierzyła!

A ta tu siedzi przy mnie, w cieniutkiej sukience, ręce gołe opalone, twarz opalona, czarniawa. Może od tej bezbożności ona czarniawa, inna niż nasze dziewczęta, cygańska jakaś. Ciekawe, czy cygany w Boga wierzo.

I znowuś lasek, przez Borki jedziem, na korzeniach podrzuca, a bok mnie boli coraz bardziej. Patrze przed konia i boje się każdego korzenia, każdego kamuszka, co sterczy w koleinie. Chciał ja, to mam, cierpie za czarownice, nie trzeba było Antocha odprawiać. Ale jęczyć to ja nie bede: zęby zaciskam, boli psiakrew, uch jak boli! Ale ona pyta się:

To pan, panie Kaziku, nigdy z Taplar nie wyjeżdżał i nie wyjedzie?

Nie wyjade, mówie, a jakby mnie chcieli siło wygonić, to poprosze, żeby mnie przedtem oczy wylupili. Abo skóre zderli.

Oj, panie Kazimierzu, coś mi się zdaje, że nie tyle panu żal starego, co strach przed nowym. Nie chce pan zmiany, bo boi się pan, że nie poradzi sobie z nowymi ludźmi, z nową robotą. Tak, żeby w świat ruszyć, trzeba być trochę przygotowanym. A pan nawet pisać nie umie.

Ja już niemłody, mówie na to, ja chce dożywać po swojemu.

Niemłody? Ledwo trzydziestka panu minęła, a pan już starego udaje? Toż z pana zdolny człowiek, raz dwa może szkołę skończyć. I nie musi pan siedzieć do śmierci w Taplarach.

A dzie?

A choćby do miasta wyjechać! Potrzebują robotników w fabrykach, na budowach.

Jakto? A żonka? A dzieci? A gospodarka?

Gospodarstwo można sprzedać, żonę i dzieci zabrać z sobą, tylko na tym zyskają.

A tu boli, boli nie do wytrzymania: Uff, bliżej mnie na mogiłki niż do miasta! jęcze i trudno: kobyłe strzymuje i chce nie chce w grochowiny się obsuwam, bol kulsze rozsadza, w boku skręca!

Ona nade mno się pochyla przestraszona: I po co było, po co było?

I co się nie robi? Kiedy tak leże i jęcze, ona mnie czapke zdymuje i po włosach gładzi i przestaje ja syczyć z bólu: truchleje ze strachu.

Niech pan zjedzie na trawę! mówi ona i zeskoczywszy z fóry, dźwigać mnie chce na

Zaświaty, Życie jako  
wędrówka

Wiara, Zaświaty, Strach

Wiara

Seks

<sup>295</sup>łojma — demoniczna istota z przedchrześcijańskich wierzeń zach. Białorusi, szkodząca kobietom w ciąży i pólgu i podmieniająca niemowlęta na własne potomstwo. [przypis edytorski]

ziemie. Matkoboska jedyna, co sie robi! Szarpie ja za lejcy: Jedziem! Nie, nie, niech pan odpocznie! zapiera sie ona i, widze, wszystko idzie do tego, o czym ja bojal sie mysliec. I kto to robi, ja, ona, czy kto inny, kto sprawil, ze leze juz na trawie, a ona mnie wlosy gladzi? Rękawem oczy nakrywam, żeby nie widziala, nie bol chce zataic, ale strach, strach!

Gładzi po włosach, po rękach, a ja czuje, że to wszystko rozdygotane w środku układa sie, uładza. Zdyjmuje ręce z oczow i łokciami sie podperszy, patrze na fóre: wszystko w porządku, Siwka na poboczku trawie skubie, ciele sobie listki z brzezinki obgryza, chwościkiem fajta, droga pusta. Słonko prześwieca sie smugami przez chwojki, stoi wysoko. No i wyciągam ja ręce i przyciągam uczycielkę do siebie, jak ona w Boga nie wierzy, to pewnie i nie grzech z tako. I prawdziwie, nie opiera sie: oczow nie zamykawszy, sune rękami po nogach i sukienkę podciągam i ściągam: żeby goła była, jak łojma, i zaraz jednym szarpnięciem zrzucam i resztki, ona mnie całuje po głowie, fe, tego nie lubie, a sobie tylko pasek rozszpilam i rozchyłam sie trochu, bo tu nie o to idzie, żeby ja był goły, ale żeby ona, i nie o zwyczajne tam i nazad, ale o coś jeszcze: robie to, co sie robi, ale już pomału przekręcam sie, kładzie sie na zdrowy bok, z boku na plecy: tak kręce, żeby i nade mno pokiwała sie rozmodlona jak pod lampo.

Grzech

Jak z tamtym z miasta: nade mno. A było widniej niż pód lampo, słońce nas z góry oglądało. Ale wcale nie stanęło od tego, dalej zachodziło i wschodziło, żyta dośpieli i przyszła ta subota, zażyńkowa<sup>296</sup>. Tato rozsiedli sie w trawie: trzymajo w kolanach sierpa i ostrzo, a zapalczywie, jakby pół wieku zrzucili! Aż przestawszy skohytać pilnikiem, patrzy sie na mnie: Ot medyk<sup>297</sup>, zadumał sie. Jak baran w czolnie! A może ty znnowus chory Kaziuk, a? Co z nim Handzia, co on taki?

Siedze na odziomku, a przede mno pieniek, w pieńku babka<sup>298</sup> żelazna: na takich babkach klepio kosy. Ale czemu ja w ten pieniek zapatrzył sie jak baran w wode, czego ja chce od żelazka. Handzia czeka już gotowa, w ręku koszyk, w koszu jedzenie, Ziutek konewkę niesie z wodo, czas iść: rosy nima, słonko het, stoi w pół nieba. A subota, Matkoboska dziś patronko, do zażyńku dzień najlepszy: ludzi ido za plotami, radość, śmiech, prawie święto, Koleśniki hurmo wyszli, całym gniazdem, całym rodem, wyruszawszy zaśpiewali W Imie Ojca i Syna już sie żniwo zaczyna, Matkoboska we złocie dopomagaj w robocie! Chata za chato puścieje, wszystko, co ma nogi, w pole idzie, tylko ja, czemu ja siedze, rozum marnuje, zamiast swoje drużynie w pole wieść!

Obrzędy

Śpiew

A temu ja siedze, że w stodole na goździu wisi kosa prawie gotowa: kabłąk obsadzony, płachta przyszyta. Tylko wyklepać i w pole brać! Siedze, bo nie wiem: klepać czy nie?

Jego jeszcze w boku boli, gada Handzia. A może my sami pójdziem, niech on lepiej w domu siedzi, jak on taki doniczego?

O, nie, pójde! I to powiedziawszy, wstaje, jeszcze nie wiem, co ja zrobie, co ja wezme, sierp czy kose. Co tu dumać, niechaj samo sie przeważa: iść zaczynam. Nu i widze, że mnie nogi wiodo prosto do stodoły: wchodze z niczym w rękach, a wychodze z koso!

Obyczaje

I staje na środku gumna i patrzawszy na kose, sam zdziwiony bardzo pytam sie ich wszystkich:

Co by ludzie powiedzieli na takiego, co wyszedby dzisiaj z koso?

Tatko patrzy przestraszone: Jakby z koso taki wyszed, co by ludzie powiedzieli? Powiedzieliby, że złodziej!

Jakto złodziej?

Nu bo z koso między sierpy? Toż to gorzej niż złodziejstwo!

Ale co w tym złodziejskiego? Grzechu jakoś ja nie widze.

Bo tobie rozum zacząło, wurkneli tato, gadasz już jak uczycielka! Nu, nie żartuj, odnieś kose i wychodzim. Toż wstyd słonka! Jezu, ono już za wierzbo!

Ale ja przy pieńku siadam. I rozklinowuje zamek: jedno ręko trzymam kose za piętkę na żelazku, młotkiem w drugiej zaczynam stukać po brzeżku, drobno, gęsto, równo,

<sup>296</sup>zażyńki — rozpoczęcie żniw, połączone z różnymi ludowymi obrzędami i zwyczajami, jak np. zaczynanie zbioru zbóż zwykle w sobotę. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>medyk (daw. i gw. żart.) — mądrala; por.: medytować. [przypis edytorski]

<sup>298</sup>babka (gw.) — płaskie kowadełko do klepania kos, stosowanego w celu zmniejszenia grubości krawędzi klingi, co ułatwia ostrzenie. [przypis edytorski]

i dzwonię równie, drobne leci po gumnie i za płoty. Tato za głowe sie łapio, uszy rękami zatykajo! Stanęli nade mno, wyraczyli sie, nie wierzo.

Handzia, wołajo, ty zobacz, może mnie oczy zaćmiło: Czy Kaziuk kose klepie?

Jakby klepie, mówi Handzia, też nie wierzy. Tato odstępujo: Kaziuk! odzywajo sie jak z grobu: Tu mnie Handzia powiedziała, że ty kose klepiesz!

Kaziuk! dopominajo sie jeszcze raz: Może ty nie klepiesz, może ty stukasz ot tak sobie. Czy mniej więcej wiesz, co robisz?

Kiwam głowo, że wiem, wiem ja, co robie. Zakręcili sie tato w miejscu, jak koza w Herodach latajo zbaraniałe, pytajo sie to Handzi, to Ziućka, to powietrza: A może on nam sfiksował? Na co on te kose klepie? Na łąke pójdzie? Toż sianowanie skończone, w tamte środe my skończyli. Do otawy<sup>299</sup>? pytajo sie i sami sobie tómaczo: Do otawy z sześć tygodni! E, ty Kaziuk myślisz groch kosić! Ale jak to, czy ty nie wiesz, że groch kosi sie po żniwach? Nu to co on kosić chce? Nie Daj Boże co, serdele? Na serdele<sup>300</sup> też nie pora! Nu to co ty możesz kosić, co tu jeszcze do koszenia!

Dobrze tatu wiecie sami, mówie cicho, co tu jeszcze do koszenia.

E, o życie ty nie myślisz! Kręcę głowo: Jak chcesz gadaj, nie uwierze! Żyto koso?

Nu to zaraz zobaczymy, mówie niegłośno i sprawdzivszy pod słonko, czy brzeżek równo sklepany, osadzam kose w kosisku<sup>301</sup>, zaklinowuje, osiolke<sup>302</sup> biore, ostrze i próbuje kose na trawie, czy kosi jak trzeba. Tato dalej gwałtujo, latajo wkoło, bose, ale w czapce, w swoim kożuszku, co im jest za koszule i za paltocik, i za palto: To przyznaj sie, naciskajo, ciebie znouś naszło coś takie jak wtedy, co ty klona ścio! Ja tobie Kaziuk radze prosze: ty przeżegnaj sie i zrob trzy razy Boże Bądź Miłościw Mnie Grzesznemu! Żegnaj sie radze!

Nie gadajcie tyle, mówie, za dużo tej gadaniny: dobra kosa dla łąki, dobra bedzie i dla żyta. Skończym żniwo za pół czasu! Ale Handzia też coś gada, Kaziuk, prosi, bedzie pośmiewisko, zostaw kose, ale ja zabieram jej obydwia sierpy, wtykam w szczelubine nad dźwiami, rękę zagarniam wszystkich, dzieci, Handzie, tata do drogi. Idziem!

Tato sierpem wymachujo, leco naprzód, klno, dychajo, chco być pierwsze, zająć żyto, dyrdao przygarbione, oglądajo sie na kose, dawno byli w takiej złości!

Wioska pusta, ani żywej duszy, już wszystkie w polu. Ide z koso na ramieniu, płachta świeci sie nad głowo jak chorągwia, ide ważny, strachu mało. Coż takiego koso kosić, straszniejszych rzeczow ludzi probujo i żyjo. Jeszcze na fôrze, po drodze ze stacji, pomyślało sie mnie: trzeba bedzie poprobować kosy. I akurat nawinęła sie pod oczy leszczynka, różga równa, prosta, w sam raz dobra na kabłączek. W domu wygiół ja ten kabłąk, spróbował osadzić w kosisku, wyszło. A zaraz po niedzieli zechciało sie mnie ten kabłąk płachto obszyć: usiad ja pod szczelubino, tam dzie z Ziućkiem sie pisało, obszył kabłąk po kryjomu. Tylko kosy ja nie klepał, do ostatka nie wiedział, z czym wyjde, z sierpem czy z koso. Nu i z rana sie przegielo, przeważyło na kose. Ide z koso, przede mno Ziućek, Stasia, Władzio drypczo, wesolutkie, rozbrykane, to w cudze warzywo włazo, to w len, to w konopi. Nie leżcie, strasze, nie deptajcie, bo was Konopielka wciągnie, załachocze. I żyta nie tykajcie, bo Kózyćka zakózyć<sup>303</sup>! Tylko Handzia człapie stylu jak pokutnica: głowa spuszczone, oczy w ziemie. A przed nami het tato, już do żyta dolatujo. A wzdłuż drogi gęsto w zbożu, już sie ludzi trochu wżeli, rodzina przy rodzinie, śpiewanie, krzyk, gadanina, nachylajo sie, prostujo, czapki, chustki, głowy plecy. Już sie jakby oglądajo, czy już kose zobaczyli? Pot na czole, pod pachami, ale wszystko to od słonka, bo wysokie, praży z wierzchu, dzień lipcowy, żarko<sup>304</sup>, duszno.

Już i pole, i pierwszy ucząstek<sup>305</sup>, Kozaki, Kozakowe gniazdo, płoski wążutkie, za to długie het, pod kurhan. Ale Kozaki nie żno: stojo, postawali, cichno, patrzy. Jakby było co straszego. Ja podżartowuje trochu, czy to kosy nie widzieli, i ha ha ha śmieje sie, niby śmieszne to, co mówie, ale choroba sam śmieje sie, coś Kozakom nie za śmieszno.

<sup>299</sup>otawa (gw.) — drugi pokos trawy. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>serdela (gw.) — seradela, roślina jednoroczna z rodziny bobowatych, uprawiana na paszę dla zwierząt. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>kosisko — drewniany trzonek kosy. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>osiolka (gw.) — osielka, narzędzie do ręcznego ostrzenia narzędzi. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>kozytać (gw.) — łaskotać. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>żarko (ros.) — gorąco. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>ucząstek (daw., gw.) — częśćka, udział. [przypis edytorski]

Mówie Boże Dopomóż, odburkujo mnie Bógzapłać, ale cicho, aby zbyć. Przestraszone? Obrażone? Tak ich kosa obraziła?

Ale i Dunaje też, ledwo ledwo odburkujo, za to wszystkie swoje oczy na kose, na plachcie wytrzeszczają jak na gryfa<sup>306</sup>!

Litwiny tak samo postawali zadziwione. Boże Dopomóż, mówie i pytam sie, co tak stoicie jak nieżywe, uważajcie, bo poprzemieniacie sie w figury, ale znowuś nic, żadnego słowa nie słysze, ni złego, ni dobrego ani Bógzapłać.

Orele tak samo: do roboty sie plecami obróciwszy, mnie oczami jedzo. Tak samo i Mazury. Ale Koleszniki? Panie Boże Wielki Dopomóż, mówie głośno, i tyle mam, że Domin głowo kręco, a Dominicha spluwajo w rżysko. A za plecami Handzia cichutko, żeb nie dosłyszeli, prosi mnie, wracajmo sie Kaziuk, ja ze wstydu spale sie, wracajmo, póki można!

Nie jęcz kobieto, mówie, rozzłoszczony, że mnie ludzi za nic majo, nawet Bógzapłać żaluj! A już nasza płoska blisko, tato żać zaczęli, z pół snopka nażeli, oni jedne sierpem robio, nie oczami. Grzegorycha sie ogląda, Grzegorpioter popatruje, Michał patrzy sie spódelba. I Bartoszki, i Jurczaki, czego psiakrew oni chco, patrz jakby na bandyte! Czy ja, psiamać, co im ukrad?

Władzio ze Stasio polecili do drugich dzieciow na jamy, Ziutek, Handzia chowajo konewke i jedzenie w trawie, w cień, ja osiolke wyjmuje i trudno, toż uciekać nie bede, dzwęg, dzwęg zaczynam ostrzyć kose, tato odrazu odwracajo sie: Kaziuk! proszo, straszo, Kaziuk nie ostrz! Ja nic, prętko kończe ostrzenie, i przystępuje do żyta. Żegnam sie, żeb dobrze szło, żyta nigdy ja nie kosił, ależ tato zalatuje z przodu, stajo w życie, ręce rozpościerajo: Kaziuk, proszo, nie zaczynaj!

I ja prosze: zejździe tatu, nie szalejcie.

Ty chcesz mojej śmierci Kaziuk?

Żyjcie sobie, ile chcecie, ale zejździe! Bo skalecze.

Michał! krzyczcie oni i jakby mnie biczem chlasneli, bo psiakrew jęknęli na całe pole: Broń ojca, krzyczcie, czy ty nie widzisz? Tu jakiś szalony przyszed, chce twojego ojca zarżnąć! O, czai sie, czai sie z koso!

I prawda, zęby ściskam i zamachnąwszy sie koso, patrze, czy tato zdązo odskoczyć, ale oni ani drygno! Kose dziobem skręcam w piach, pod samymi ich nogami! Nie czekawszy, cap za kołnierz i wynosze tatka z żyta, na droge! Ale widze, hurma zbiera sie na drodze, nie żniwujjo jeden z drugim, tylko do mnie lazo, patrzeć! Michał podlatuje z sierpem, obrońca, sierpem wymachuje, szanuj ojca, krzyczy, szanuj starego! Ale ja nie myślę bić sie ani z bratem, ani z nikim: wracam sie, biore kose. Zaczynam: pierwszy zamach, dobrze poszło, pierwsza garstka ścięta, drugi zamach, trzeci, wiem, że oni stojo, patrz, czuje z tysięd świdrow w plecach, ale już mnie wszystko jedno: już ja ruszył żyto koso! Raz za razem ciacham dalej.

Ale słysze Pietruczyche: Nie podbieraj tego Handzia, podmawiajo swoje córke, czy nie widzisz, że szalony?

I Szymona słysze: Jemu, Handzia, uczycielka coś zadała!

Słysze i Domina: Miej swój rozum, Handzia! Nie podbieraj!

Oglądam sie i mówie: Bogu Dzięki to moja żonka nie wasza i nie wy Domin, nie wy Szymon i nie wy Pietruczycha z nio śpicie! Podbieraj Handzia. A Ziutek nie oglądaj sie, rob przewiąsła<sup>307</sup>!

I kosze. I jak to w robocie, złość ustępuje, ciacham i coraz bardziej mnie sie podoba: odwieść kose i żach, i pół kroku! Odwieść kose i żach, i pół kroku! A żyto dośpiało, kosa aż dzwoni, chręst bardzo przyjemny, ostry. A ścięte słomki plachta nagarnia i chyli na łan. A za mno Ziutek idzie, przewiąsła kręci, układa w rżysku, a Handzia nagięta idzie i skoszone zbiera sprytnie pod pache, a jak pełne przygarść<sup>308</sup> uzbiera, na przewiąsło kładzie. I całkiem zgrabnie kręci sie robota, a te wrony niech tam sobie graczo na drodze. Kosze coraz bezpieczniejsze, już oni i droga daleko, kosa nie sierp, prędko. A może już poszli, odczepio sie?

<sup>306</sup>gryf — mitologiczne zwierzę: skrzydlaty lew z orlą głową i szponami. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>przewiąsło — powróślo; pasmo słomy rozdzielone na dwie części i skręcone, służące zwykle do przewiązania snopków zboża. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>przygarść (daw., gw.) — tyle, ile można wziąć w dwie garści. [przypis edytorski]

Zatrzymawszy się poostrzyć, nie słysze śpiewania, co to, żniwujecie i nie śpiewacie? Oglądam się i widzę, że połowa żniwuje nad moim przekosem<sup>309</sup>: gadają, sprzeczną się, machają rękami. Czemuż to ich tak obeszło! Czy którego ja obraził? Czy któremu zrobił szkoda?

Dokosiwszy do dziczki<sup>310</sup>, a rośnie ona w środku płoski między końcem a początkiem, zawracam się do drogi. Widzę, że czekają hurmo. Cóż to, wojna się szykuje? Ale o co taka wojna? O te sierpy? Czy o kose? Czy o tata? Uczycielko przygadujcie, czy kto może nas na bagnie widział, w lesie? Czegoż mnie się z nimi kłócić, toż my tutaj same swoje, Domin, Dunaj, Kozak, Michał. Same swoje, dzie tu wrogie? Tato w broźnie siedzą biednie, łeb spuściwszy, a wkoło gromada. Ale nikt się nie odzywa, tylko patrzą. Ja zaczynam kose ostrzyć, staje do nich jakby bokiem, żeb plecami nie obrazić, a oczami nie chce świecić, boby oczy mnie wyjedli, z taką złością, nienawością patrzą się, że kose ostrze! Nu to ostrze jak najciszej. Ostrze, ostrze. Aż nie mogę!

Jak nie tupnie! Nu i czego, krzycze, czego tak się wyraczyli! Czyż, cholera, ja któremu ukradł co?

Stoję, patrząc, złość mnożę trzęsie.

Domin głową pokiwali: Nie choleruj przy żniwach, paskudnie Kaziuk rугać się<sup>311</sup> dzisiaj, taki dzień, a tu cholery!

Czego wy ode mnie chcecie!

Domin dziwio się niegłośno: co tak krzyczysz? Czy to kosa tak cię męczy?

Kosa mnie nie męczy, mówcie hardo, koso dużo łżej niż sierpem.

Pokiwali Domin głową i podchodzą do mnie blisko. Słuchaj Kaziuk, zaczynają, ja twój chrzestny, rajko twój. Może Ziutka też wyraża. Ja coś tobie chce doradzić, dobrze będzie, jak posłuchasz: odnieś kose! Zanieś kose do stodoły, przyjdź z sierpami.

Co wam moja kosa szkodzi!

Ty nam Kaziuk żniwo psujesz!

Toż waszego ja nie tykam!

Ale żniemy cało wiosko, razem, zgodnie, każdy sierpem. Jak co roku, jak zawsze, jak Bóg przykazał. A ty jeden koso chlastaszt!

Pambóg nie zakazywał kosy, stryku.

Zakazywał czy nie zakazywał, ale przykazywał szanować żyto. A ty do żyta z koso jak do trawy!

Kosy w gównie ja nie maczał, kosa też nieobrażliwa.

Ale kosa nie do żyta! Koso żyta się nie kosi!

Nu to będzie się kosiło.

Nie, nie można. Koso, Kaziuk, nie wypada!

Ale czemu? Wytłumaczcie, stryku, czemu? Wytłómaczcie, jak uwierzę, to Jejbohu kose rzuć, będę sierpem!

Domin ręce rozłożyli: Jakże takie coś tłumaczyć? To każdy wie, od małego!

A ja nie wiem, mówcie cicho.

Nie udawaj ty takiego, co zapomniał, czym się sra! rozłóścili się Domin. Nu weź, popatrz: Grzegorzpioter z świata przyszedł i żniwuje po naszymu! A ty? Czyż u Niemców ty chowany?

Widzę, że ich nie przegadam, at, macham rękę, i zaczynam nowy pokos. Już nie słucham, co gadają, tylko ciacham, co robota to robota, lepiej robić, niż się sprzeczną. Ale słyszę za plecami, Ziutek wypytuje matkę, czemu żyto mus szanować, a ona opowiada, podbierawszy, że kiedyś żyto miało kłosa od czubka do samej ziemi. Aż raz w żniwo jedna matka takim żytem podterła dzieciaka, bo się zgnoił w pieluszki, a Pambóg zobaczył i zgniewał się: zabrał żyto. I zostaliby się ludzie całkiem bez chleba, jakby nie pies i kot: pies hau, kot miau do Pana Boga, że głodne, chleba nimają, i Pambóg ulitował się i dał im od głodu żyto, ale tylko z jednym kłoskiem. Nu a przy nich i my ludzie pożywiemy się, toż mówi się, że człowiek żyje z psiaczej i kociaczej doli.

Chłopiec przestraszył się: To jak teraz Pambóg zobaczy, że my żyto koso kosimy, może znowuś żyto zabrać i chleba nie będzie?

<sup>309</sup>przekos (daw., gw.) — rząd ściętej kosą trawy a. zboża. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>dziczka — dziko rosnące drzewo owocowe. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>rugać się (gw.) — przeklinać, używać wulgaryzmów. [przypis edytorski]

A kto wie, co Pambóg zrobi.

Nu to trzeba iść po sierpy, radzi Ziutek przestraszony: niechaj tato już nie koszo!

Obracam się ja i mówię Handzi, żeby nie straszyla chłopca. A ty Ziutek jej nie słuchaj, żyto było, żyto będzie, a to bajka. Ładna bajka, ale bajka. Taka jak o złotym koniu.

I spokojny kosze dalej, aż do dziczki. A wracawszy się, widzę, że hurmy już nima: tylko Szymon i Domin siedzą z tatem w broźnie, inne poszły do roboty: widać w zbożu chustki, czapki, nawet słyhać i śpiewanie. Nu i dobrze, już po krzyku. Ostrze kose śmiało, głośno, nie boje się ich patrzenia. Od razu staje do żyta, kosze.

Ale stare się zawzięli, znowuś jęczo za plecami:

Żeby on miał z tyłu oko, to by widział, co zostawia.

Jakie rżysko.

Pośmiewisko, a nie rżysko!

Ha ha, góry i doliny, same ręby! Koń zębami lepiej strzyże. Oczy boło na to patrzeć.

Ano, czego chcieć, wiadomo kosa nie sierp!

Same prawdę mówisz Domin. Starczy spoglondnąć za miedze.

O, Michałowe rżysko to rżysko!

Aż przyjemnie oczom patrzeć!

Gadają tak, szyderują, język świerzbi, żeby się odciąć.

A co patrzeć, radzę głośno, lepiej weźcie pogłaskajcie. Abo, ha ha ha, abo grzebień weźcie i poczeszcie! Tylko to mnie dziwi, choroba, że wy stare gospodarze i nie wiecie, że każde rżysko, i spod sierpa, i spod kosy, będzie w końcu zaorane. Nu to co wam za różnica, równe ono czy nie równe?

A ta różnica, odcięli się Domin, że póki co hadkie wygląda hadko! Ty obejrzyj się za siebie: czy nie widzisz, jakie twoje rżysko hadkie? Wprost rzygać się chce!

To rzygajcie, zaorze się, będzie lepiej rosło, śmieje się ja, całkiem już swojej kosy pewny, nie pomyślawszy wcale, że Domin się obrażo. A ich poniosło:

Ty, wurkneli zajadle, z takim słowem do mnie ty? Do chrzestnego, że rzygajcie? O, psiamać, ty widzę już całkiem wstyd zatracił, zasańcu? Żeby Handzi tu nie było, ja by tobie coś powiedział, ty parszuku nieskrobany!

Ależ stryko obrażalskie, mówię, żeby ugłaskać ich trochu, nima co tej sprzeczki ciągnąć, choć ciekawe, czym mnie straszo? Ktoś mnie z uczycielko pódglondał tam na bagnie? O, psiapary może jakieś plotki robio, jeszcze Handzie mnie skołujō. Kosze ostro, aby dalej, trzeci przekos, już ostatni, trzy przekosy płoska ma, nieszeroka. I dokosiwszy do dziczki, prostuje się, oczy napaść: pół mojego żyta w garściach, drugie pół na pniu, tyle kosić, co skoszone.

Ziutek leci po jedzenie, wodę, przyprowadza dzieci z jamow: rozsiadamy się pod dziczko, w chłodku. Żujem placki, oj gliniaste, to kartofli z otrębami. Póki chleba nie nakosim, nie namłocim, nie napieczem, trzeba żuć te zakalczyki. Dzięki Bogu już niedługo tego żucia: niezadługo młody chleb, aj, młodziutki, toż to będzie! Żujem placki, mleko pijem, ależ Handzia, spoglądawszy na droge i na tamtych, gada, że prawda, koso prędzej, ale trochu szkoda, że nie żniem w gromadzie.

A to czemu, pytam.

Pośpiewałoby się z kobietami.

A to ty nie wyśpiewana? Jak tak bardzo chcesz, to śpiewaj, posłuchamy sobie z Ziutkiem.

Aha, mądry? Weź śpiewaj za koso, jak ledwo uspiejesz<sup>312</sup> podbierać!

Nima prędzej bez ciężej, mówie. Za to wcześniej żniwo skończym, bedziesz mogła się naśpiewać.

Co z tego, krzywi się ona: żniwki śpiewa się do żniwa, nie po żniwach. I przypomina sobie, że Domin nie chcieli czegoś przy niej gadać. Ja kręce głowo, że nie wiem, ale ona podpytuje: Czemu niby ty bez wstydu? Czy ty Kaziuk co nabroił? Ty coś taisz!

Co ja mam taić! Łże śmiało: Ot, bresze<sup>313</sup> coś stary plejta. A może, choroba, może noco kto pódgląda nasze grzechi?

Jedzenie, Bieda

Śpiew, Obyczaj

<sup>312</sup>uspieć (gw.) — zdążyć, zdołać. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>breszyć (daw., reg.) — mówić głupoty. [przypis edytorski]



Handzia zaraz czerwienieje, w bok się patrzy: Co ty gadasz! Toż po ciemku nic nie widać.

Może dzieci wygadali? A ty Ziutek czasem noco tata z mamą nie poglądasz?

Nie! broni się odrazu, głową kręci: Ja noco śpie.

Może udajesz?

A dzie tam! Jak wy z mamą zaczynacie, to ja zawsze dawno śpie!

To pamiętaj, śpij bo jak przyłapie, to oberwiesz, mówie. Nu tak, to może tato co napletli z zemsty za kose? A zreszto, macham rękę, czy ty nimasz czym głowy suszyć?

I wstaje do košby. Jeszcze ręce niezmczone, plecy też nie boło jeszcze, znowuś kosze, teraz przekos aż pod kurhan. Sierpy z tyłu się zostali, z nikim sprzeczać się nie trzeba. Machawszy ostro, pod wieczór mam skoszone całe płoske, akurat w porę: Handzia idzie gotować wieczerze i świniam, my z Ziućkiem bierzem się do wiązania snopków.

Wiążem od końca, od kurhana. Ziutek podciąga snopki w kupy po dziesięć, i zaraz ustawiamy: trzy na trzy, a dziesiąty rozchyłam w kłosach na boki, żeby był jak czapa i te czape nasadzam na wierzch. I tak jeden po drugim wyrastają za nami środkiem płoski dziesiątki, jak słomiane budynećki, równiusieńkie, pod oko.

A słońko siada już czerwone na suraskie lasy, gaśnie ogromniaste, za drzewami chłodek się rozciąga, smugi ścielo się po polach. A na mokrzejszych miejscach mgły wylało z trawy: na Stawisku, w Gaju, na małej rzeczce i chłapie za wierzbo, na Mazurowym korycie, wszędzie tam bieleją, dzie była rzeka, stojo białe jak dusza nad nieboszczko. I jak to przed noco, ziela pachno. A dziewczęta śpiewają Czas do domu czas, zamknął się nam las, a baby odśpiewują jęklawie, niesie się: Na trzy kłódki, na dwa zamki, czas do domu taplarzanki, czas do domu czas!

Słońce

Śpiew

I na innych płoskach staneli dziesiątki, ale nikt tyle nie naźniwował co my! Michały żeli we czworo, tato pomagali im na piątego, a wszystko jedno: nas tylko trójka, a naźeli my ze dwa razy tyle co Michały.

Wiązawszy, ustawiawszy, podchodzimy bliżej do drogi, między ludzi. Ale nikt nas nie zaczepia, jakby kosa zapomniana.

Tylko tato stojo prosto, korco ich moje dziesiątki.

Aż nie wytrzymują: łapio jeden snopek, stawiają gomlem na rżysku, jak nie krzykno: ej, sąsiady! widzicie? Widzieli wy, jakie snopki Kaziuk wysztukował? O, w talji jak panienka, a w kłosach jak mietła! Michalicha z siostrami śmieją się: cha cha, jak mietła, poszturchują się.

Nie snopek, ale wierzba! krzyczą Domin, rozpaliwszy się na nowo, i niosą swój snopek przez szóste miedze: Snopek, bratku, ma wyglądać tak! I stawiają swój snopek koło mojego.

I prawdziwie, ładniejszy jest, mało przewężony, ściśły jak równianka na Zielne<sup>314</sup>, słomka do słomki przylega jak zapalki w pudełeczku.

O, to jest snopek! chwalo tato. A tamto? Mietła, kołtun<sup>315</sup>, marnowanie żyta!

Jakież marnowanie, odpowiadam ja spokojnie: Czy z mojego snopka gorsza sieczka będzie? Gorsza słoma na podścioł?

Ale porównaj wagę, chwalo się Domin: mój snopek, o, jaki ciężki, z pół puda<sup>316</sup>! A twój, hehe, toż to puch! Pierzyna! Moj ze trzy twoich roztrzępalców w sobie ma! Moje snopki ułoży się w stodole jeden przy drugim jak zapalczki! A twoje? Najeżone takie, że i dwóch stodołów mało.

E, zmieszczą się, zmieszczą, próbują godzić nas Dunaj: nie taki tam z Kaziuka bogacz.

Nie bogacz i jeszcze tyle marnuje, złośczo się tatko: Ty zobacz Dunaj, nu obejrzyj się, ile on koso słomy, ile kłosków narozciągał po rżysku. A ile kłosów naobijał, tu w piachu ziarka aż świeco! Wróblu tu zleco się z całego Rozgnoju!

E tam, nie świeco się, pocieszam tato, pod cepem kłos ledwo puszcza, a od płachty ma wysypać? A te słomki rozwleczone jutro Ziutek pozbiera: ot, przeleci się z grabiami i po biedzie.

I wzięwszy się pod boki, mówie do nich wszystkich, co się zeszedli szyderować:

Kłótnia

<sup>314</sup>równianka na Zielne — wiązanka żniwna na święto Matki Boskiej Zielnej. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>kołtun — zbity kłęb splątanych i pozlepianych brudem włosów na głowie. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>pud — daw. rosyjska jednostka wagi, równa ok. 16 kg. [przypis edytorski]

Wymyślicie tamto i różne owamto, a najważniejszego nie widzicie: że sie koso kosi prędej! Ze trzy razy prędej niż sierpem!

Prędej, prędej, przedrzeźniają mnie Domin: a czy to o prędej idzie człowieku?

A o co?

Żeby było po bożemu! Tak jak trzeba, ładnie i z poszanowaniem! A ty żyto ponie-wierasz!

Nu to dobrze, jutro przyjde z nożycami, co? Bede ścinał żytko po żytku każde słomke pocałuje i dopieroż na przewiąsło położe.

A Domin na to kościelnym głosem: Posłuchaj, co ja, człowiek stary, tobie powiem. Czy ty naprawdę Kaziuk nie wiesz, że nie prędej w robocie najważniejsze? Jakby szło o prędej, to można konia puścić z bronami, całe płoske wytrachtuje tobie do obiadu, jeszcze prędej niż koso!

Grzegorzpioter bierze mnie pod łokieć: Na co tobie ta kosa, pyta sie smutno. Ty więcej już koso nie koś, prosi, pojutrze ty przychodź z sierpem.

A tato: Pojutrze? On i jutro robić wyjdzie, w niedziele! Jak on kosy sie nie wstyda, to on i niedziele naruszy!

A Domin: Prawdziwie, jak ty z koso do żyta wyszed, to już tobie nic nie święte!

W piątki bedzie mięso jad! przepowiadajo Grzegorycha.

Przed krzyżem czapki nie zdejmie!

Obrazy pozdejmuje!

Żonke porzuci!

Bez ślubu żyć bedzie!

Boga wyprze sie!

Posłuchaj mnie Kaźmierz, odzywa sie znowuś Grzegorzpioter: Żyjesz w ludziach, żyj jak oni. A ty mądrzysz sie, wywyższasz: sierpy masz ty za nic! A tych, co sierpami żno, bierzesz, bratku, już za durniów!

Gadaj od razu, że my dla ciebie durne, napluj nam w oczy, to my sobie pójdziem, odzywajo sie Szymon z broźny, ale tak smutno, że nie chce sie mnie ani żartować, ani mądrzyć sie: Nie stryku, mówie, wcale nie, czy ja mówił, że wy durne?

Rozżalili sie wszystkie:

To czemu nas nie uszanował, czemu nie żoł z nami?

Czemu Handzia z nami nie śpiewała, toż w śpiewaniu ona piersza!

Czemu ty nam żniwo zepsuł!

Czyż ja zepsuł? bronie sie jeszcze.

Zepsuł ty! łupnoł Michał kułakiem w kułak: Jak jest judasz na weselu, nima wesela!

Okrażyli mnie w pietnaścioro, męzczyzny, baby, dziewczęta, Ziutek ze strachu szarpie mnie za nogawke. No to mówie głośno, że nie dla obrazy wyszłem, a oni od razu, nie dawszy skończyć: Słyszeli? On powiedział: wyszłem! Jak urzędnik!

Jego ta uczycielka oduczyla wstydu brydu!

Ludzi, ja nie dla obrazy wyszed, mówie jeszcze raz: czy ja wróg wasz? Czy nie sąsiad? Ja chciał wcześniej poźniwować. Sierpem żałby ja do Zielnej, a koso skończe na Anne, koso ze trzy razy prędej.

A co ty z tym prędej, rozżłościli sie Domin, dokąd tobie tak śpieszno, człowieku?

Prędej, ale do piekła, szydzi Grzegorycha. A tato rozwścieklili sie: prędej, prędej, gada o tym prędej, a psiamać, wcale nie prędej! Nastawiał dziesiątkow, toż to puch nie snopki. Wcale koso nie prędej, nie wiercie, on łże!

Jakże nie prędej, mówie, toż starczy tatu popatrzeć na płoske Michałowe i na moje: dokąd który dożął.

A pewnie, że nie prędej, krzyczy i Grzegorycha: Nabortał, naczapierzył snopkow, a wcale nie prędej!

Nu co wy Grzegorycha, dziwie sie kobiecie, dziwie sie ludziom, co z nimi, czy im w głowach pomieszalo. Czyż nie widzo? A tu Michał ogłasza: Koso nie prędej. Prędej sierpem! Ja więcej nażo!

Tak tak, sierpem więcej, krzyczjo już cało gromado: Michał więcej nażo! O, duzo więcej sierpem nażo!

Próbuje przekrzyżyć: Co wy, ludzi, jakże nie więcej, toż widać! Ja skosił do końca, a Michał do połowy nie doszed!

Łżesz!

Łżesz po ciemku!

Chwalisz sie, bo ciemno!

Michał do końca, a ty do połowy!

Jak wam ciemno, to chodźcie, wołam, chodźcie, zobaczym z bliska, kto więcej nażoł!

A chodź! Chodź! I tak nasza prawda!

Sierpem więcej!

W oczy łże!

Ide pierwszy, oni za mno hurmo, a gadajo, za plecami, klno, jakby na bitwe! Idziem, idziem i dochodzim tam, dzie Michał skończył żniwo: koniec rżyska, żyto rośnie. Nu a u mnie rżysko jeszcze i dziesiątki ciągnio sie hen, gino w ciemku.

I kto więcej? pytam sie.

Michał więcej! krzyczto tato. Sierpem więcej Michał nażoł! Jak nie wierzysz, pytaj ludziow!

Tak, tak, potakujto z cicha, Michał więcej! I coraz głośniej jeden drugiemu tłómaczy: Pewnie, że Michał! O, sierpem dużo więcej nażoł, co sierp, bratku, to nie kosa!

A ty Kaziuk łżesz po ciemku!

Łgun!

I judasz!

Faryzeusz<sup>317</sup>!

Ludzi zmiłujcie sie, prosze, co wy tu wygadujecie! Toż moje dziesiątki ciągnio sie pod kurhan! Kto nie wierzy, niech idzie ze mno!

Ja nie wierze!

Nikt nie wierzy!

A co wierzyć judaszowi!

A że ide, ido za mno, dychajo, kaszłajo, klno, idziem kupo przygarbione, czy mnie rozum pomieszalo, myślę, ale patrze: nie, Michałowe żyto rośnie, widze dobrze, a pod naszymi nogami rżysko chręści, i co trochu to dziesiątek! I tak dochodzim do końca, do ostatniego dziesiątka pod samym kurhanem. Koniec. Brożna. W piach wstromiona czeka kosa.

Biore kose. Stoim cicho ponad brożno. I co teraz?

Michałowego dwieście kroki, naszego pięćset! ogłasza cienko Ziutek i tate znowuś poderwało: A pójdiesz ty, czercie nasienie! zachrypieli i cap rękó za koszule, ale wyrwał sie, za dziesiątek odskoczył, tato za nim: i naraz jak nie złapio snopka, jak nie machno w cudze żyto! I drugiego, i trzeciego! I Michał podskakuje, i Domin, i Szymon, szarpio przewiąsła, rozrywajto moje snopki, rozrzucajto, przeklinajto! Aż mnie w głowie zahuczalo.

Won, wynocha! chrypie do nich i nachodze ostro z koso. Won, bo zarżne, ach wy hady! Odskoczyli, odstępujto do gromady, ja nachodze na nich białe, ręce trzęso sie ze złości, kosa brzęczy: Uh wy, co ode mnie chcecie!

Rzuc te kose, proszo tato, odstępujto krok po kroku: Koso, Kaziuk, Śmierć żniwuje! Kaziuk! Ty jak śmierć w Herodach!

I nachodze na nich z koso, nachodze jak Śmierć w Herodach, i odstępujto ze strachem, całkiem jakby przed Kostucho, a każdy patrzy sie w kose, czy nie ciachne po gołeniach, rżysko chręści pod nogami, Ziutek w ciemku popłakuje, a tato mówio do tamtych, że nic to, nic, co tam kosa, sierpem prędzej, o, ludkowie, sierpem lepiej!

Gniew

<sup>317</sup>faryzeusz — członek żydowskiego stronnictwa polityczno-religijnego; przen. człowiek obłudny. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/redlinski-konopielka>

Tekst opracowany na podstawie: Edward Redliński, Konopielka, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1973.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5533-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.